



W serii ukazały się:

Majgull Axelsson *Daleko od Niflheimu* ·  
*Kwieciana czarownica*  
Attila Bartis *Spokój*  
Samuel Beckett *Sen o kobietach pięknych i takich sobie*  
Thomas Bernhard *Wymazywanie*  
Javier Cercas *Zołnierze spod Salaminy*  
Michel Faber *Bliznięta Fahrenheit* · *Jabłko* · *Pod skórą* ·  
*Szkarłatny płatek i biały*  
Jonathan Safran Foer *Strasznie głośno, niesamowicie blisko* ·  
*Wszystko jest iluminacją*  
Laurent Gaudé *Słońce Scottów*  
David Gilbert *Normalni*  
Jan Guillou *Zło*  
Michel Houellebecq *Cząstki elementarne* · *Możliwość wyspy* ·  
*Platforma* · *Poszerzenie pola walki*  
Daniel Kehlmann *Beerholm przedstawia*  
Imre Kertész *Fiasco* · *Ja, inny* · *Kronika przemiany* · *Kadysz*  
*za nienarodzone dziecko* · *Likwidacja* · *Los utracony*  
Michail Kononow *Góła pionierka*  
László Krasznahorkai *Melancholia sprzeciwu* · *Szatańskie*  
*tango*  
Karel van Loon *Ojciec i ojciec*  
James Meek *Ludowy akt miłości*  
Harry Mulisch *Odkrycie nieba* · *Procedura*  
Wiktor Pilewin *Generation „P”* · *Mały palec Buddy* ·  
*Omon Ra i inne opowiadania* · *Święta księga wilkołaka* ·  
*Życie owadów*  
W.G. Sebald *Austerlitz* · *Wyjechali*  
Zeruya Shalev *Mąż i żona* · *Życie miłosne*  
Władimir Sorokin *23000* · *Bro* · *Dzień oprycznika* · *Lód*  
Jáchym Topol *Nocna praca* · *Siostra*  
Mo Yan *Kraina wódki* · *Obfite piersi, pełne biodra*  
Oksana Zabuzko *Budania terenowe nad ukraińskim seksem*  
Juli Zeh *Instytut gry* · *Orły i anioły*

## DORIS LESSING

Lato przed zmierzchem

Przełożyła  
Barbara Rewkiewicz-Sadowska

w  
ab

**BIBLIOTEKA PUBLICZNA**

im. Królowej Jadwy  
w Dzielnicy Miasta Starego  
Wypożyczalnia i Czytelnia  
Wypożyczalnia i Czytelnia  
Wypożyczalnia i Czytelnia Nr 4

Nr inw. 55747

Tytuł oryginału: *The Summer Before the Dark*  
Copyright © Doris Lessing 1973  
Copyright © for the Polish edition  
by Wydawnictwo W.A.B., 2008  
Copyright © for the Polish translation  
by Wydawnictwo W.A.B., 2008  
Wydanie II, poprawione i uzupełnione  
Warszawa 2008

W domu

Stała na schodkach prowadzących z kuchni do ogrodu, ze złożonymi rękami, czekając.

Czy rozmyślała? Nie była tego pewna. Starła się uchwycić i obnażyć pewną myśl, aby móc się jej przyjrzeć i ją zidentyfikować. Od pewnego już czasu przymierzała myśli tak jak sukienki zdejmowane z wieszaka. Pozwalała, aby z ust jej spływały słowa i zwroty wyświechtane jak rymy kołysanek, gdyż w przełomowych momentach pewne postawy są całkiem stereotypowe, podyktowane przez zwyczaj. „O tak, pierwsza miłość...! Dorastanie jest zawsze bolesne...! Moje pierwsze dziecko, wiecie, jak to jest... Ale byłam przecież zakochana...! Małżeństwo jest kompromisem... Nie jestem już taka młoda, jak kiedyś...”. Naturalnie dobór tego czy innego uświęconego zwrotu rzadko kiedy ma coś wspólnego z osobistymi uczuciami, raczej z pozycją człowieka w społeczeństwie lub z ludźmi, z którymi akurat się przebywa. Prawdziwe uczucia można wyczytać z czyjegoś nieświadomego uśmiechu na twarzy, ze sposobu, w jaki gorycz napięła mięśnie ust, lub z westchnienia, jakie wydobywa się z czyjejś piersi po wypowiedzeniu słów: „Nie chciałabym być znowu dzieckiem!” Te zwroty, które mogłyby być

ukute w jakiejs szczególnie efektownej kampanii propagandowej, mają taką siłę, że prawdopodobnie wielu ludzi wciąż powtarza: „Młodość jest najlepszym okresem życia” lub: „Miłość jest treścią życia kobiety”, do chwili aż ujrzą siebie w lustrze w czasie wypowiadania tych słów lub uchwycą reakcję na twarzy przyjaciela.

Stała na schodkach prowadzących z kuchni do ogrodu, ze złożonymi rękami, czekając, aż zagotuje się woda w czajniku.

Z powodu strajku prawie przez cały dzień nie było prądu. Tim, jej najmłodszy, i córka Eileen wczesnym rankiem wyjechali autem na wieś, zebrali chrust w lesie Epping, po czym, traktując to wszystko jak świetną zabawę, rozpalili ognisko na wyźwirowanej ścieżce i umieścili nad nim trójnog zrobiony z żelaznych prętów, które znaleźli w głębi garażu. To ognisko, gotowanie na nim, przyglądanie się płomieniom, żarty na ten temat dostarczyły im zabawy na cały dzień. Dla niej jednak to wszystko było irytujące. Dwadzieścia minut minęło, nim czajnik zaczął syczeć; od lat nie pamięta, aby słyszała syczenie czajnika. Elektryczność w minutę doprowadza wodę do wrzenia, a śpiew czajnika jest nieuchwytny.

A może była niewrażliwa? Może Tim i Eileen, którzy przecież byli dorośli, liczyli dziewiętnaście i dwadzieścia dwa lata życia, nie bawili się tym wszystkim tak bardzo, jak by się to wydawało, może udawali tylko, kierując się uczuciem stadnym? Czy ich zachowanie nie jest w gruncie rzeczy ekwiwalentem któregoś z dawnych zwrotów, konwencji, której ludzie nie potrafią się pozbyć dla dobra sprawy, obojętnie jakiej?

A więc zupełnie tak jak i u niej.

Coraz bardziej, to prawda, uświadamiała sobie przykry fakt, że to wszystko, co robi, i wiele z tego, co myśli, zostało po prostu, jak suknie, wyjęte z szafy i nałożone, a co więcej, że to, co naprawdę czuje, jest jeszcze czymś innym.

Opuściła ręce, zrobiła kilka kroków w kierunku absurdalnej kuchenki na środku ścieżki, podłożyła kilka gałązek pod czajnik, wiszący na kawałku zagiętego żelaza w trójnogu, i wsłuchiwała się w jego śpiew: czy nuta jego się zmienia? Pomyślała, że tak. Jeśli, jak to groziło, wyłączenia prądu nastąpią i jutro, będzie rozsądniej zdobyć kuchenkę campingową lub coś w tym rodzaju. Takie harcerskie urządzenia nie są złe, ale gdyby padało... mówią, że strajk będzie trwał jeszcze przez pewien czas. Te serie przerw w dostawie prądu nastąpiły bardzo szybko po poprzednich. Wydawało się, że kryzysy energetyczne - ograniczenia ogrzewania, światła, paliwa - będą coraz częstsze, a więc byłoby chyba rzeczą rozsądną zrobić jakieś zapasy? Być może Tim i Eileen mieli rację: zapas drzewa to dobry pomysł.

Wróciła znowu na swój stopień, oparła się o ścianę i splótła ramiona.

Na świecie i w kraju miały miejsce takie zdarzenia jak wojny, strajki, powodzie, trzęsienia ziemi, które uważano za dopust boży. Za granicą istniało przekonanie - irracjonalne lub nie - że te zdarzenia, niegdyś intensywne i rzadkie (może wcale nieistniejące, może wytwory fałszywych wyobrażeń?), zajmowały teraz główne miejsce w doświadczeniach każdego człowieka, tak jakby atmosfera jakiejś odległej i katastroficznej

gwiazdy zawiadnęła naszą biedną planetą. Było oczywiście, jeśli zaczynało się o tym myśleć, że te kataklizmy dotyczą coraz większej liczby ludzi: inwazje, wojny, walki domowe, epidemie, głód, powodzie, trzęsienia ziemi, zatrucia gleby, jedzenia i powietrza. Postawy, jakie przyjmowano wobec tych kataklizmów, były jeszcze bardziej stereotypowe. Nikt nie posuwał się poza: „Musimy coś zrobić w tej sprawie” lub „Och, co za nieszczęście, niestety!” Nie ma wielu niuansów takich stwierdzeń jak: „Moja rodzina zginęła w obozie koncentracyjnym” lub „Czworo moich dzieci zmarło z głodu”, lub „Moja siostra i jej dziecko zostali zabici przez żołnierzy”. Wydawało się jednak raczej, że stereotypy towarzyszące wypadkom publicznym były uczciwsze niż te, które stosowano w życiu prywatnym. „Och, co za nieszczęście, niestety!”

Zauważyła, że czajnik uspokajał się, więc sięgnęła ręką do kuchenki za sobą, aby unieść duży porcelanowy dzbanek, w którym była już kawa. Stała, trzymając go w ręku, obok ogniska, i czekała, aż para zacznie stukać pokrywką czajnika.

Nonsensem było oceniać rzeczy w kategoriach wzlotów i kryzysów; zarówno zdarzenia osobiste, jak i publiczne były przecież sprawami ciągnącymi się w czasie. Narastały wolno... Dopiero po miesiącach, a zazwyczaj latach, ktoś mógł powiedzieć: „O Boże, całe moje życie się zmieniło”, mówiąc o miłości, nienawiści, małżeństwie, pracy. „Moje życie zmieniło się, ponieważ ja się zmieniłam”.

Para uderzyła teraz energicznie o pokrywkę czajnika, ulatniając się przez dzióbek naczynia.

Chwyciła rączkę czajnika przez ściereczkę i zaalała kawę syczącą, gotującą się wodą. Postawiła czajnik tuż obok ogniska, nie na trawniku, aby nie zostawić na nim złotego, okrągłego śladu, po czym odsunęła od ognia nadpalone patyki; gdyby padało, musi pamiętać, aby schować je z resztą drew pod dach. Nie była skautką, nie umiała więc rozpaść ognia z mokrego drewna.

Wzięła czajnik w jedną rękę, a dzbanek w drugą i weszła z ogrodu do kuchni.

„Byłam w tygłu, zostałam doszczętnie zmiażdżona...” Nie bez pewnej satysfakcji mówiło się i odczuwało takie rzeczy. Czyż naprawdę nie był to fakt nadzwyczajny? Czy świadomość dokonania nie była czymś nadzwyczajnym? Bo przecież odczuwali to zarówno ludzie będący wśród tych (stosunkowo nielicznych) mieszkańców świata, którzy wyznawali pogląd, że życie człowieka nie jest ważniejsze niż życie robaka, jak ci wyznający dawne poglądy, że to, co robimy, ma wagę, ponieważ złączymy coś w oczach Boga. Lub bogów. Dlaczego jednak miałby ktoś się przejmować, że on, ona zmienili się, nauczyli się czegoś, dojrżeli, dorosli, jeśli on lub ona są robakami? Lub nawet motylami? Bez wątpienia bowiem istnieje przekonanie – prawdopodobnie najgłębsze ze wszystkich – iż najistotniejsze jest to, że poprzez życie uczymy się. Czy to przekonanie należy przypisywać nawykowi, przeżytkom wcześniejszych, bardziej prymitywnych czasów? Czy poczuciu własnej ważności robaka? Jednak ono istnieje, nie ma co do tego żadnych wątpiwości, nawet jeśli Bóg został wypędzony lub uznany za martwego. Ale komu robak będzie składał sprawozdania?



Jesteśmy tym, czego się nauczymy.

To często wymaga długiego i trudnego czasu.

Na nieszczęście nie ma również wątpliwości, że mnóstwo czasu, mnóstwo trudu schodzi na nauczenie się bardzo niewielu rzeczy...

Czy czuła to rzeczywiście? Tak, czuła.

Dlatego, że była przygnębiona? Czy była przygnębiona? Być może. W pewnej mierze była; odczuwała coś boleśnie, coś, na czym nie mogła położyć ręki.

Postawiła dzbanek z kawą na tacy, na której były już filiżanki, spodeczki, łyżeczki, cukier i sitko. Podniosła tacę i przed wyniesieniem jej z kuchni popatrzyła za siebie na stół, na którym piętrzyły się stosy naczyń z obiadu. Były tam również naczynia ze śniadania. Może poprosić Tima, aby znów rozniecił ogień, zago-tował czajnik i zawołał ją, kiedy będzie już dostatecznie dużo wody na zmywanie? Nie, lepiej nie; w takim nastroju, w jakim jest teraz, lepiej będzie, jak później wszystko sama zrobi.

Wyszła przez drzwi kuchenne i poprzez trawnik pięknie zabarwiony stokrotkami, lecz wymagający już strzyżenia, podążyła w kierunku drzewa w ogrodzie. Tą osobą, która ostrożnie niosła tacę i myślała o zmywaniu naczyń, nie przerywając swoich osobistych rozrachunków, była Kate Brown. Mówiąc ściślej, Catherine Brown lub pani Michaelowa Brown... W tej chwili Kate życzyła sobie, aby niezależnie od tego, na jakim teraz etapie życia się znajduje, móc przeżyć ten okres jak najprędzej, gdyż miała wrażenie, że trwa on bez końca. Jeśli trzeba było patrzeć na życie, oceniając momenty najważniejsze czy szczytowe, to od dłuższego

czasu w jej życiu nie zdarzyło się nic; nie mogła też oczekiwać niczego innego, jak przechodzenia od pełnej aktywności gospodyni domowej do inercji starości.

Czasami, jeśli człowiek ma szczęście, jakiś proces narasta, przeżyca się zagęszczają. Dla Kate właśnie to lato miało się stać takim okresem zagęszczonych, intensywnych i skoncentrowanych przeżyć.

Czego mogła jeszcze doświadczyć? Chyba niczego więcej poza po prostu starzeniem się; tego dziedzictwa i kontynuacji procesu dorastania. Jest to naturalnie udziałem każdego – „O Boże, jak ten czas płynie...! Ani się obejrzyysz, jak życie przeleci... Dojrzałość, oto, co mi zostało”. I tak dalej. Ale w wypadku Kate ten proces wcale nie miał trwać dziesięć czy dwadzieścia lat i być procesem ledwo zauważalnym, przejawiającym się tylko w desperackich próbach zatrzymania przypiływu – poprzez farbowanie włosów, kontrolowanie swojej wagi, staranne podążanie za modą, tak aby być elegancką, lecz nie ubraną głupio jak podłotek. Starzenie się jest prawie dla każdego człowieka kwestią lat, chyba że powala go nieszczęście, ziemia usuwa mu się spod nóg, woda zatapia miasto, bomby zabijają jego dzieci, a serce obojętnie na życie. Najpierw jest się młodym, potem dojrzałym, ale trudno określić moment przejścia z jednego stanu w drugi. Potem jest się starym i człowiek nie zdaje sobie sprawy, kiedy to nastąpiło. Zmiany – o tak, bardzo istotne – zachodzą w nastawieniu do ludzi wokół nas, lecz my prawie nie jesteśmy tego świadomi, ponieważ lody tak wolno zsuwają się w dół. Dla większości ludzi problem zamyka się w zdaniu: „Niestety, nie jestem już tak młody jak niegdyś”.

Lecz dla Kate Brown cała sprawa miała zakończyć się w kilka miesięcy. Bo chociaż wszystko, co przeżywała, wydawało się rzeczą tak osobistą i wszystko uderzało w nią samą – w jej cierpliwość, jej dobry nastrój, jej czas – w istocie to chyba nacisk czegoś zupełnie innego, nacisk otoczenia czy sfery, na jej mało znaczące życie, miał spowodować tę raptowność przeżywanych zmian. W każdym razie nie ona sama, nie jej cechy charakteru miały kształtować wypadki tego lata.

Wtedy kiedy już wszystko było poza nią, z pewnością nie chciałaby innego toku zdarzeń; nie potrafiłaby jednak z góry dokonywać wyboru, ponieważ brakowało jej doświadczenia w wybieraniu i wyobraźni. Nie, nie mogła pragnąć tego, co miało się zdarzyć, chociaż stojąc pod drzewem z tacą w ręku, myślała intensywnie: czas iść naprzód i naprzód! To właśnie jest złe: musi istnieć coś, co mogłabym teraz dostrzec, co mogłabym teraz zrozumieć, jakaś linia postępowania, którą mogłabym wybrać...

Wybrać? Czy kiedykolwiek wybieram? Czy kiedykolwiek wybierałam?

Stała pod drzewem i trzymała pełną tacę, tak jak robią to kobiety od setek lat. Umieściła tacę na ogrodowym stole zrobionym z jakiegoś materiału, który wymyślono w ostatnim dziesięcioleciu. Stół wyglądał jak z żelaza, ale był tak lekki, że można go było unieść dwoma palcami, tak stabilny, że nie przewracał się, nawet jeśli postawiło się coś bardzo ciężkiego na jednym brzegu.

Nie wybierała tego stolika; został wybrany dla niej, tak jak i plastikowe filiżanki robiące wrażenie porcelanowych.

Cofnęła się na środek trawnika i zanim nabrała powietrza, aby zawołać w stronę okien na piętrze, uświadomiła sobie wyraźnie, co zobaczy jej mąż, kiedy wychyli się przez okno, aby krzyknąć: „Idziemy!”

Kobietę stojącą na trawie, w białej sukni, białych pantoflach, z różowym szalem na szyi.

Tu właśnie istniało dla niej pole do świadomego i rozmyślnego wyboru: jej wygląd wynikał z wyboru, z doskonałego wyczucia, co jest odpowiednie dla tej mieszczańskiej, willowej dzielnicy, dla jej pozycji tu, jako żony swojego męża. I, naturalnie, jako matki swoich dzieci.

Jej suknia pochodziła z półek magazynu „Jolie Madame”, była twarzowa i niekrzykliwa. Do tego pantofle i pończochy. Jej włosy – i tu dochodzimy do punktu, gdzie najwięcej energii włożyła w wybór – a więc jej włosy ułożone były w grube miękkie fale wokół twarzy, na której pozwoliła sobie zostawić kilka piegów na czubku nosa i na policzkach. Jej mąż zawsze twierdził, że podobają mu się te piegi. Włosy miała rude, jednakże nie za bardzo. Była ładną, zdrową, przedsiębiorczą kobietą.

Stała na trawie, przysłaniając ręką oczy i wołała:

– Michael! Michael! Kawa gotowa!

Za szybą, oślepiając słońcem, ukazała się niewyraźna twarz, rozległ się okrzyk:

– Idziemy!

Przeszła z powrotem przez trawnik, ubrana w tę swoją suknię odpowiednią na popołudnie w rodzinnym gronie, stąpając uważnie, tak aby trawa nie zostawiła śladów na jej pantoflach. Gdyby mogła wybierać

zgodnie ze swoimi chęciami, biegłaby bez pończoch, boso, z włosami opadającymi na ramiona, i miałaby na sobie coś w rodzaju hinduskiego sari czy sarongu.

Nie pozwalała sobie na wygląd ekstrawagancki, ponieważ zauważyła już we wczesnym okresie dorastania dzieci, jak bardzo nie lubiły, kiedy kierowała się popędami własnej natury. Mary Finchley, mieszkająca naprzeciwko nich, ubierała się tak, jak ona sama pragnęłaby się ubierać, gdyby nie miała dzieci i męża; jej dzieci nie znosiły tego stylu i okazywały to wielokrotnie.

Niemniej jednak Kate zawsze zgadzała się z Mary, kiedy ta mówiła: „Dlaczego miałybyśmy ograniczać swoją osobowość, nie powinno się pozwalać dzieciom, aby nas tyranizowały”; w istocie jednak pozwalała na to zawsze, stale ograniczała swoją osobowość. Nie zauważyła jednak, aby jej dzieci były z tego powodu choć trochę lepsze niż dzieci Mary Finchley.

Kate siedziała w cieniu drzewa, tylko nogi wyciągnęła do słońca, tak jakby nie miała na nich pończoch. Przypatrywała się swojemu wielkiemu, kwadratowemu domowi w wielkim ogrodzie. Patrzyła, jakby się z nim żegnała, gdyż ostatnio razem z mężem rozważała plany nabycia czegoś mniejszego. Czy mieszkania? Mogliby teraz, kiedy dzieci będą wkrótce zupełnie dorosłe, kupić dom na wsi i dzielić go z przyjaciółmi – powiedzmy, Finchleyami.

Kate często o tym myślała, ale tak, jakby to miało jeszcze nieprędko nastąpić.

Tymczasem był maj, przed nimi kapryśne i nijakie angielskie lato, a jeśli wybiegało się myślą do jesieni, w życiu rodziny, tego organizmu, który spokojnie

pulsował w południowej dzielnicy Londynu – ściślej, w Blackheath – pojawiała się luka. Każdego roku o tej porze, zwłaszcza kiedy dzieci dorosły, następowała jakby eksplozja tej komórki czy organizmu osiadłego w Blackheath, rozrzucająca jego cząsteczki coraz dalej po globie. Było to jak coroczny odlot ptaków, który rozpoczynał się późną wiosną, a kończył przylotem we wrześniu.

W zeszłym roku Michael, który był dość cenionym neurologiem, wyjechał w lipcu na konferencję do Ameryki, po czym skorzystał z propozycji pracy przez trzy miesiące w szpitalu w Bostonie, skąd wrócił dopiero w październiku. Kate pojechała z mężem na konferencję, potem z przyczyn rodzinnych wróciła do Anglii, a odwiedziła go znowu we wrześniu; jej podróże, jak zawsze, związane były z poczynaniami dzieci, co naturalnie było nieodzowne. Całe lato wyjeżdżały one i wracały ze swoich wypraw po Europie.

Tego roku Michael miał pracować przez cztery miesiące w tym samym szpitalu w Bostonie, w ramach wymiany pracowników naukowych. Najstarszy syn, Stephen, dwudziestotrzyletni student ostatniego roku uniwersytetu, wybierał się z przyjaciółmi na czteromiesięczną wycieczkę do Maroka i Algierii. Dwudziestodwuletnia Eileen miała towarzyszyć w podróży ojcu, ażeby odwiedzić przyjaciół, których poznała zeszłego lata na campingu w Hiszpanii. Drugi syn, James, rozpoczynający tej jesieni studia na uniwersytecie, został zaproszony na wyprawę archeologiczną do Sudanu. Jeśli chodzi o nią samą, to zdecydowała się tym razem nie jechać do Stanów. W pewnej mierze postanowiła

tak dlatego, że nie chciała krępować swojej córki w jej trybie życia. Również koszty podróży dla trzech osób byłyby zbyt wysokie. A także nasuwało się pytanie, czy nie krępowałaby swojego męża w jego trybie życia... Do tej myśli pasował szczególny uśmiech, raczej grymas, dostosowany do słów: „W każdym małżeństwie trzeba czasem dawać, a czasem brać”; zdawała sobie sprawę, że w tej chwili nie ma ochoty na zbyt dokładne rozważanie tej kwestii.

Tymczasem Tim, chociaż już dziewiętnastoletni i zachęcany przez wszystkich do samodzielności, nie miał żadnych planów. Był, jak zawsze, tym dzieckiem „trudnym” i przysparzającym problemów. Dom w Londynie miał więc być prowadzony dla niego. Oczywiście przez Kate. Nadchodzące miesiące zapowiadały się dla niej tak jak wiele poprzednich wakacji letnich. Będzie bazą dla członków rodziny przyjeżdżających do domu z uniwersytetu lub wpadających tu przelotnie na dzień czy tydzień w drodze dokądś; będzie prowadziła dom dla nich, dla ich przyjaciół, dla znajomych tych przyjaciół. Będzie tkwiła tutaj do dyspozycji każdego.

Myślała o tym z przyjemnością; nie o wizytach rozmaitych osób, ale o prowadzeniu domu, o poczuciu własnej sprawności; myślała również z przyjemnością o letnich zajęciach w ogrodzie, w których była ekspertem. Kiedy oni – to znaczy Kate i Michael – naprawdę opuszczą ten dom, jako para wycofująca się z aktywnego życia, będzie jej wtedy brak nie domu, ale ogrodu, który jest tak piękny, jak może być angielski ogród po dwudziestu latach starań i poświęceń. Wyglądał tak, jakby to nie człowiek sadził w nim rośliny, ale sam ogród

stworzył trawniki i kępy lilii, altany z róż i grządki ziół. Ptaki śpiewały tu przez cały rok. Wiatr owiewał go łagodnie. Nie było piędzi ziemi, której Kate by nie знаła, nie uprawiała sama – naturalnie z pomocą robaków i pogody.

Siedziała, wdychając zapach róż, lawendy, tymianku, i patrzyła, jak jej mąż wychodzi z domu ze swoim znajomym.

Był to Alan Post, który nie miał nic wspólnego z medycyną, lecz był pracownikiem jednej z międzynarodowych organizacji związanej z ONZ. Alan i Michael poznali się w hallu portu lotniczego w Los Angeles, kiedy czekali na samolot opóźniony wskutek mgły. Grali wtedy w szachy, pili whisky i wymienili zaproszenia. Tydzień temu spotkali się przypadkowo na ulicy i razem zjedli lunch. Michael zaprosił Alana na rodzinny lunch w niedzielę.

Gdyby nie przerwy w dostawie prądu, przygotowałaby tradycyjny angielski lunch niedzielny, nie ze względu na własne upodobania rodzinne, ponieważ nie stosowali się już do dawnych zwyczajów, lecz ze względu na gości; domownicy często żartowali, że kiedy podejmują licznych przyjaciół z zagranicy, podają zawsze tradycyjne dania, jak wieśniacy ciągnący zyski z turystów. Tego dnia jednak to Eileen, zanim wyniosła się gdzieś z domu, przyrządziła posiłek z pomocą Tima. Zrobiła zimną ogórkową zupę na modłę turecką; krostki mięsne upieczone nad ogniem i morelowy sorbet, gdyż lodówka działała, zasilana gazem. Wypito potem dużo hiszpańskiego napoju sangria, którego przepis zdobył ich najmłodszy syn zeszłego roku w Hiszpanii.

Michael i Alan Post usiedli, kontynuując rozmowę, którą prowadzili już w czasie lunchu i potem na gorze, w gabinecie. Nalała kawę do ładnych plastikowych filiżanek, których używała zawsze w ogrodzie, od czasu gdy pies sąsiadów, w pogoni za innym, wskoczył do ich ogrodu i wytłukł najlepszy serwis ustawiony na tacy. Po podaniu kawy i czekoladowych wafli przystroiła swoją twarz w uśmiech pełen uwagi, tak jak wartownik na służbie. Pod przykrywką tego uśmiechu mogła nadal oddawać się swoim rozmyśleniom. Teraz myślała o mężu.

Zawsze kiedy widziała go w takiej sytuacji z kolegą, szczególnie z kimś zza oceanu, czuła, że odchodzi od niej daleko. Nie dlatego, że należał do ludzi zmieniających swój sposób bycia zależnie od towarzystwa, wcale nie; ale gdy był z Alanem, wydawało się, że jakieś mocniejsze i piękniejsze wiatry wieją wokół niego, on sam rośnie, wygląda, jakby za chwilę miał ulecieć w górę... W zeszłym roku w Stanach, kiedy była z nim, czuła, że i ją ogarnia ta świadomość urastania; czuła, że ten człowiek przez tyle lat małżeństwa chował w zanadrzu jakąś siłę, która nigdy nie mogła znaleźć warunków do rozwoju w rodzinie; oczywiście, rozmawiała o tym z Michaeliem. Trochę się nawet spodziewała, że może on czasami odczuwa to samo w stosunku do niej, ale myliła się. Teraz myślała, że tego roku będzie przez cztery miesiące bez niej, a tylko od czasu do czasu ze swoją córką; suchy i ironiczny uśmiech, odpowiedni dla tej myśli, ukazał się znowu na jej twarzy. Wiedziała o tym, wypracowała go, wypracowała też uczucia, które ten uśmiech miał odzwierciedlać. Gdyby była po

temu właściwa okazja, gdyby na przykład młoda kobieta zadała jej pytanie (nie kobieta w jej wieku, nie Mary Finchley) – mogłaby oprzeć się o poręcz krzesła, przymrużyć ironicznie oczy i powiedzieć: „Może my wszystkie, kiedy jesteśmy młode, zbyt zawracamy sobie głowę takimi rzeczami – to są małe sprawy, rozumiesz, one są bez znaczenia w prawdziwym małżeństwie.” Wiedziała, że temu uśmiezkowi, który był na wpół grymasem, towarzyszyło uznanie dla samej siebie, a również ulga, jaką odczuwa ktoś po szczęśliwym uniknięciu pułapki czy niebezpieczeństwa... Siedząc teraz pod drzewem i trzymając w ręku dzbanek, aby pokazać, że jest w nim jeszcze dużo kawy, pomyślała z uśmiechem: to są najokropniejsze kłamstwa! Straszne! Dlaczego to robię? Jest tu coś, czego nie chcę widzieć. Czasami, kiedy jestem z Mary, to coś jest przy mnie blisko, nigdy jednak, gdy jestem z kimś innym. Teraz popatrz na to wszystko, spróbuj uchwycić to niewiadome, nie wymyślaj sobie nadal tych historyjek, wszystkich tych postaw – przestań wyjmować te same stare sukienki z szafy... Słuchała, uważnie już teraz, co mówili mężczyźni; miała wrażenie, że ich słowa dotyczą w pewnej mierze jej samej, że już od kilku minut rozmowa toczy się wokół niej.

Konferencja, na którą Alan Post przyjechał do Londynu, napotkała trudności lub raczej – jeden z komitetów tej konferencji. Organizacja, pod której auspicjami toczyły się obrady komitetów, nazywała się „Żywność dla Świata” i zajmowała się problemem, jak odżywia się ludność – co je, a czego nie je. Na skutek serii nieszczęśliwych przypadków – grypy, złamanego

zebra, śmierci jakiegoś faceta w Lizbonie - okazało się, że nie ma tłumaczy, i to w momencie kiedy członkowie komitetu zasiedli już wokół stołu, oczekując rozpoczęcia obrad. Otóż nie było rzeczy łatwiejszej niż znalezienie wyspecjalizowanych tłumaczy z francuskiego, niemieckiego, hiszpańskiego, ale dużo już trudniej było znaleźć ludzi, którzy płynnie mówią po portugalsku i po angielsku i posiadają wystarczające wykształcenie do tej odpowiedzialnej pracy. Musiał to być koniecznie język portugalski, ponieważ komitet zajmował się sprawami kawy, a Brazylia - najważniejszy producent kawy na świecie - używa tego języka. Komitet odroczył obrady do czasu zaangażowania tłumaczy. Dwóch już znaleziono, brakowało jeszcze dwóch. Alan Post i Michael patrzyli na Kate, oczekując, że zgłosi się ochoczo jako ten trzeci. Trzy lata temu Kate przepisała na maszynie na prośbę znajomego, który sam źle pisał, książkę o uprawie i sprzedaży kawy. Wiedziała więc dużo na ten temat. Co więcej, miała zdolności do języków. Znała dobrze francuski i włoski, po portugalsku mówiła doskonale, ponieważ jej ojciec był z pochodzenia Portugalczykiem. Tak się złożyło, że będąc zdolną uczennicą, skończyła szkołę wcześniej i dopiero po trzech latach miała rozpocząć studia na uniwersytecie, co zresztą nie nastąpiło, gdyż poślubiła Michaela. Po ukończeniu szkoły spędziła rok w Laurencio Marques ze swoim dziadkiem, naukowcem. Rozmawiała tam tylko po portugalsku. Jako córka Johna Ferreiry, Portugalczyka naturalizowanego w Anglii, który wykladał literaturę portugalską w Oxfordzie, zdawała sobie sprawę ze skarbów spuścizny

kulturalnej swojego kraju, ale na tym kończyła się jej wiedza; dopiero dziadek zapoznał ją z tym bogactwem, tam też zasmakowała w literaturze portugalskiej, poezji portugalskiej, nasiąkła „duchem języka”.

Czego jeszcze nauczyła się wówczas, w mieście nad brzegiem Oceanu Indyjskiego, w ciągu roku poświęconego całkowicie przyjemnościom? Jej dziadek był człowiekiem staromodnym i takież był jego stosunek do kobiet. Kate nigdy nie pomyślała nawet o sprzeciwieniu się staremu człowiekowi, którego kochała; a ponadto nie było co się przejmować - przyjechała tu na tak krótko. Ale przez cały ten okres nigdy nie była sama z mężczyzną, chroniono ją przed każdym przykrym doświadczeniem, czy w lekturze, czy w życiu; smakowała tę atmosferę wcale nie nieprzyjemną (na krótki czas), złożoną z elementów tak obcych dla niej, że musiała poznawać każdy z nich osobno. Była chroniona i otaczana nieufnością. Uważana za coś cennego i lekceważona. Pochlebiano jej uleganiem każdej jej zachciance, ale dawano do zrozumienia, że ona, jako kobieta, zajmuje w życiu dziadka ściśle określoną drugorzędną rolę, tak jak i jego żona, i córki. Obraz jej samej w tym czasie... Dziewczyna delikatna jak kamelia, o śnieżnobiałej skórze i bujnych, rudych włosach, ubrana w białą płócienną haftowaną suknię, uszytą w ten sposób, aby eksponować, a zarazem ukryć szyję i ramiona, siedzi na werandzie w bujanym fotelu, który kołysze wolno w tył i w przód, odbijając się stopą. Dziewczyna zdaje sobie sprawę, że jej stopa jest przedmiotem tak podniecającym, iż obecni tam młodzi ludzie nie mogą oderwać od niej oczu i swoich myśli. Wachluje się jedwabnym

haftowanym wachlarzem, poruszając dłonią tak, jak nauczyła ją tego stara piastunka, podczas gdy młodzi ludzie, z których każdy prosił dziadka o pozwolenie, by z nią porozmawiać, siedzą półkołem w ogrodowych fotelach, prawiąc jej komplementy. Był to rok 1948. Kate stanowiła rewelację Lourenço Marques; w pewnej mierze dlatego, że była jednak Angielką i wszystkie jej dobre chęci nie mogły utrzymać jej w ramach, które aprobował dziadek; w pewnej mierze dlatego, że połączenie krótkich rudych włosów i brązowych oczu stanowiło rzadkość w kraju pełnym „señorit”; ponieważ też dlatego, że surowość jej dziadka była przesadna, tak że postępowanie i stanowisko Kate wydawało się niemal samowolną bądź kapryśną grą, podjętą prawdopodobnie w celu szokowania.

Po powrocie do Anglii wspominała tę parną miejscowość, pełną spraw na wpół ujawnionych, a wśród nich dziwaczne pragnienie stania się taką jak jej babka. Była to piękna kobieta, jak mówili wszyscy; wspaniała matka, doskonała gospodyni, cudowna, cudowna istota - samo ciepło i dobroć - bez żadnej wady; tak, no więc... chociaż to wszystko było prawdą, admiraacja tych cnót przyniosła przewidziane, przeciwne skutki i Kate wróciła z portugalskiej Afryki Wschodniej zupełnie zdecydowana wstąpić na uniwersytet, aby studiować literaturę i języki romańskie. Tak więc przyjechała i zamieszkała w Oxfordzie. I wtedy spotkała Michaela, który po dziesięciu latach studiów, przerwanych wojną, rozpoczynał właśnie swoją karierę. Przeniosła się do niego i wkroczyli, pełni zachwyty, w „Pierwszą Fazę”, jak nazwali ten okres małżeństwa.

Gdyby nie wyszła wtedy za męża, chyba stałaby się kimś cenionym w swojej dziedzinie. Może wykładowcą? Kobiety rzadko zostają profesorami. Ale te myśli nie nachodziły jej często; nie uważała dzieci za rzecz nużącą. Ponadto mąż nie odciął jej od swoich zainteresowań, od ciekawych ludzi. Tłumaczyła czasem coś dla niego lub jego kolegów. Raz nawet przełożyła powieść portugalską, co przyniosło jej niewiele pieniędzy, ale dużo chwały. Spotykała ludzi z całego świata, szczególnie kiedy dzieci zaczęły dorastać i sprowadzać do domu wszystkich swoich przyjaciół rozsiansych po świecie.

Jeśliby nie wyszła za męża - ale, wielki Boże, byłaby głupia, gdyby tego nie zrobiła, byłaby głupia, wybrałszy literaturę i języki romańskie... Michael i Alan Post częstowali się kawą i czekali na jej słowa... To, co czuła teraz, było pewnego rodzaju paniką. Świadomość tego stanu pogarszała jeszcze sprawę. Jak niemądrą i irracjonalną rzeczą było to uczucie przerażenia... z powodu czego? Nie mogłaby się zwierzyć z tego nikomu - nawet Michaelowi - ale kiedy stanęła wobec konkretnej propozycji pracy, zupełnie zwykłej pracy, całkowicie leżącej w jej możliwościach, i do tego krótkotrwałej, czuła się jak długoletni więzień, który dowiedział się, że następnego ranka zostanie wypuszczony na wolność.

- Ale nie wiem, jak dam radę - powiedziała. - Tim przez całe lato będzie w domu.

Zauważyła, że twarz męża sztywnieje: częste dyskusje na temat Tima nie zmniejszyły różnicy zdań między nimi. Michael uważał, że ich najmłodszy syn jest zbyt rozpieszczony. Ona zaś, chociaż przyznawała, że może w pewnej mierze mąż ma rację, nie mogła się zgodzić,

że właściwym lekarstwem byłoby „wyrzucić go z domu i w ten sposób załatwić sprawę”. Jak to wyrzucić? Dokąd? A cóż ten chłopak zrobił tak złego, że wymagało to podobnie drastycznej kuracji: dąsał się, groził, nienawidził, ale to samo robiły wszystkie dzieci, w rozmaitej formie. Kate uważała, że jeśli wyróżnia Tima, to tylko dlatego, że jej mąż jest w stosunku do niego niesprawiedliwy; zdawała sobie sprawę, że problem jest zbyt emocjonalny, aby móc rozpatrywać go w sposób uproszczony; miała swój pogląd na ten temat, którego broniła w rodzinie i poza nią.

- Ale przecież komitet nie będzie obradował dłużej niż... jak długo, mówisz? - spytał Michael swego gościa.

Alan, który zorientował się, że istnieje jakaś kontrowersja między mężem a żoną, odpowiedział, nie patrząc na żadne z nich, ale w przestrzeń, ku domowi, z którego wyłonił się młody człowiek zmierzający w ich kierunku.

- Nie dłużej niż miesiąc, najwyżej.

- Tim idzie - powiedziała Kate z naciskiem, co miało oznaczać: „Nie przy dzieciach”.

Kiedy Tim zjawił się pod drzewem, okazał się starszy, niż wydawał się z odległości z powodu delikatnej budowy ciała i lekkiego chodu. Był nadąsany. Patrząc ostro na matkę, powiedział:

- Ogromnie mi przykro, mamu, ale zmieniłem zdanie. Fergusonowie prosili, abym wybrał się z nimi do Norwegii. Jadą na wycieczkę. Pojadę z nimi, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

- Ależ skąd, mój drogi - odparła Kate machinalnie. - Oczywiście powinieneś pojechać.

Była zachwycona, że nie będzie pozbawiony przyjemności wakacji letnich, tak zachwycona, jakby to ona sama miała jechać do Norwegii; syn w tym czasie rzucił już okiem na ojca, który skinął głową. Potem chłopak uśmiechnął się konwencjonalnie do gościa, jak zupełnie inna osoba, jak przyszły odpowiedzialny mężczyzna, i znowu zmienił się w nadąsane dziecko, spoglądając na matkę i mówiąc:

- A więc w porządku, pójdę teraz się pakować. Wyjeżdżam dziś wieczorem. - I pobiegł do domu, jakby uciekał.

Krzyknęła za nim:

- Tim, nim zaczniesz się pakować, spróbuj zgotować czajnik, potrzebuję gorącej wody do zmywania naczyń. - Ale on nie słyszał, czy może nie chciał słyszeć.

- A więc kiedy będzie pani mogła zacząć, Kate? - spytał Alan. - Kiedy? Jutro? Och, proszę...

Kate siedziała, milcząc, ale uśmiech jej wyrażał zgodę. Wiedziała, że jest bliska łez. Czuła się tak jak człowiek raptownie tracący grunt pod nogami. Używając przenośni, którą dawno już sformułowała w myślach i rozwijała, czuła, jakby nagle bardzo zimny wiatr zaczął wiać prosto na nią z nieznanymi obszarów przyszłości. Powiedziała:

- Naturalnie, chciałabym zaraz zacząć. Czy mogę przedtem zmyć naczynia?

Zaśmiali się, ona również. Wtedy Alan zaproponował:



- Czy ktoś nie mógłby zmyć naczyń, a pani tymczasem by zatelefonowała?

Podał jej nazwisko, numer telefonu i towarzysząc jej w drodze do domu, zachowywał miły sposób bycia przypominający poufałość, tak swobodną, że już niemal bezosobową; uznała to za przejaw atmosfery, w którą miała wejść. Ten jego sposób bycia podtrzymywał człowieka na duchu i jednocześnie przynosił odprężenie; stał przy niej w czasie, gdy telefonowała, podpowiadając jej słowa, których powinna użyć, słowa niełatwo przychodzące jej na usta, ponieważ brzmiały jak język konferencyjny. Po zakończeniu rozmowy ucałował ją w oba policzki i obejmując ramieniem, zaprowadził z powrotem pod drzewo w ogrodzie. Był przystojnym mężczyzną, mniej więcej w wieku jej Michaela, żonatym, z dorosłymi i dorastającymi dziećmi - człowiekiem, który zarabiał mnóstwo pieniędzy i spędzał całe życie, jeżdżąc z konferencji na konferencję, aby obradować na temat żywności z ludźmi z kilkudziesięciu krajów. Lubiła go. Pomyślała, że to krótkotrwałe odetchnięcie bezosobową atmosferą przyniesie jej uwolnienie od myśli i ulgę. Naprawdę podobało jej się w Alanie wszystko, łącznie ze sposobem, w jaki się ubierał i prezentował innym; nie bardzo lubiła obecny styl ubierania i czesania się męża. Ale lepiej nie myśleć o ten temat, bo przecież nie to jest ważne.

A jednak czuła się jak człowiek lecący w przepaść, gdyż teraz, kiedy Tim miał nie tu spędzić wakacje, utrzymywanie domu stało się bezcelowe.

Siedzieli znowu pod drzewem w gorące niedzielne popołudnie, chylące się ku zmierzchowi, a męż-

czyźni gawędzili o jakichś problemach medycznych w Iranie.

Sprawa wynajęcia domu została załatwiona w kilkunastu słowach.

Kiedyś już toczyły się w rodzinie wielkie dyskusje co do wynajmowania domu i każdy miał własny pogląd na ten temat, którego zawzięcie bronił. Spory trwały dniami i tygodniami.

Teraz powiedziała:

- Nigdy jeszcze nie wynajmowaliśmy domu, prawda?

- No i co z tego? - odparł Michael. - Jakaś rodzina odwiedzająca miasto wynajmie go chętnie, nawet jeśli zostawimy wszystkie rzeczy w szafach.

- Ale gdzie zatrzymają się dzieci, jeśli tak się złoży, że będą w tym czasie przejazdem w Londynie?

- Mogą chyba raz skorzystać z czyjejś gościny.

- Naprawdę, nie sądzę...

- Zatelefonuję do agenta jutro rano - powiedział doktor Brown, gasząc Kate i wprowadzając ją w zakłopotanie, gdyż sam pracował od świtu do nocy i wiedziała, że będzie nie mniej zajęty niż ona w swoim Komitecie.

Ale dla Kate problemem było to, że czuła się zdymisjonowana, ponieważ sprawa domu została potraktowana jako nieważna.

A co będzie robiła, kiedy zakończą się obrady komitetu? Uznano za rzecz naturalną, że gdzieś tam zamieszka; jak bardzo uступliwa była teraz i zawsze, od chwili kiedy urodziły się dzieci. Patrząc wstecz na prawie ćwierć wieku swego życia, widziała wyraźnie,

że właśnie ta bierność, łatwość przystosowania się do innych była cechą dla niej charakterystyczną. Pierwsze dziecko urodziła, kiedy miała dwadzieścia lat. Ostatnie, kiedy brakowało jej jeszcze sporo do trzydziestki. Ilekroć o tym mówiła, wielu jej zazdrościło; dużo ludzi w wielu krajach uważało, że Brownowie to rodzina godna pozazdroszczenia.

Chłodny wiaterek wiał już wyraźnie, chociaż jeszcze łagodnie; pierwszy raz w życiu nie chciano jej. Była niepotrzebna. Oczywiście od lat już wiedziała, że nadchodzi taki okres życia. Układała nawet plany; będzie studiowała to albo tamto, podróżowała tu czy gdzie indziej, zajmie się tym lub innym rodzajem pracy dobroczynnej. Będąc kobietą rozumną, nie można przecież nie zdawać sobie sprawy, że w wieku średnim, w pełnym rozkwicie zdolności i sił żywotnych, gdy się ma dorosłe dzieci, jest się skazanym na dokumentowanie pewnego stałe badanego zjawiska: konieczności skierowania sił żywotnych na jakieś inne cele, o mniejszym ryzyku uczuciowym niż chowanie dzieci; i to dla dobra wszystkich, samej kobiety i jej dzieci. Tak więc, w tym, co nastąpiło, nie było nic zaskakującego. Może powinna była oczekiwać tego wcześniej?

Tak, ale nie oczekiwała, że zdarzy się to tego lata. W następnym roku lub za dwa, ale nie teraz. To, na co się przygotowywała, miało nadejść w przyszłości. Tymczasem nadeszło już teraz. Naturalnie, tylko czasowo, bo dom stanie się znowu ich rodzinnym domem we wrześniu, będzie znów przytulną bazą dla dzieci – coraz rzadszych tu gości. Ale sprawą do rozważenia były nie dzieci, lecz mąż, który zawsze tak bardzo cenił

dom i wszystko, co go dotyczyło... Kiedy ostatnio cała rodzina była razem? Wszyscy z powrotem w domu, z uniwersytetu i szkół, z rozmaitych wakacji, podróży i wycieczek? Bardzo dawno temu; trzeba zdać sobie z tego sprawę, jeśli już doszło do takich rozważań.

Faktem było jednak, że ona, ta najważniejsza osoba w rodzinie, miała oto być bez zajęcia od czerwca do września. Nawet bez własnego pokoju. Było to bardzo dziwne uczucie, tak jakby nagle ściągnięto z niej ciepłe przykrycie, tak jakby była zwierzęciem obdzieranym ze skóry.

Naturalnie, nieraz dyskutowała z Michaeliem na temat swojej przyszłości, rozmawiali również o jej uczuciach i jego. Omawianie wszystkiego było zasadą, która stanowiła podstawę i podporę ich małżeństwa. Wierzyli, zawsze w to wierzyli, że sprawy niedopowiedziane zaogniają się, a kwestie omówione tracą swoją siłę destrukcyjną. Ich wzajemne stosunki od początku oparte były na tej zasadzie.

Usiłowali zawsze wnikliwie analizować poglądy na samych siebie i na swoje małżeństwo. Włożyli w to dużo przemyślnych starań.

Na przykład w ich wspólnej sypialni stały obok siebie dwie książki – jedna Bertranda Russella *Podbój szczęścia*, a druga Van der Velde'a *Małżeństwo doskonałe*; dla Michaela od Kate – książka Russella, a dla Kate od Michaela – Van der Velde'a. Dedykacje na nich brzmiały tak samo: „Za Pierwszą Fazę, z całą miłością”. Upamiętniało to fakt zakończenia jednej fazy ich cudownego romansu i początku małżeństwa. Wiedzieli oboje, że zmiany muszą nastąpić, że uczucie

cudowności musi osłabnąć, a ich długi o tym dyskusje zostały podsumowane tą przyjacielską wymianą książek - w dedykacjach: Michaelowi od Kate, dla Kate od Michaela - „Za Pierwszą Fazę”. Otóż biorąc teraz do ręki te książki i otwierając je na stronie z dedykacjami, przyłapałoby się może na ironicznym uśmiešku... tak, przyłapałoby się wzajemnie, co doprowadziłoby ich do szczerego i zdrowego śmiechu (jako że śmiech to zdrowie). Pytanie tylko, skąd w ogóle ten kpiący uśmieszek? Mieli przecież całkowitą rację w ocenie związku, który się kończył, i tego, który zaczynał - solidnego, odpowiedzialnego, zadowalającego małżeństwa. Nie było tu miejsca na kpiący uśmieszek. Czego dotyczył ten ich humor i ta ironia? Podobnie było i z innymi, długimi i szczerymi dyskusjami na temat zmian i punktów zwrotnych. Żadne z nich nie wyrzekłoby się tych rozmów. Lecz Kate przyłapała się już nieraz na myśli, że te fotograficzne odbitki psychologicznych obserwacji, czy, inaczej, manifesty, które towarzyszyły różnym fazom ich małżeństwa, były może niezupełnie tym, czym być powinny?

Przykładowo, dyskusja o zimnym wietrze wiejącym z przyszłości, która odbyła się trzy lata temu; ale od tego czasu nastąpiły rzeczy, które nie zostały odbite na papierze światłoczułym czy sformułowane w deklaracjach sprawozdawczych... „Za - Dziewiątą” czy Za - Dziewiętnastą Fazę”.

Na przykład to, że na wzmiankę o Timie twarz Michaela kurczyła się tak samo jak i teraz, kiedy powiedział: „Zatelefonuję do agenta jutro rano”. Przesuwał ją, Kate, na plan dalszy, odkładał na bok. Tak to

odczuła. To właśnie odczuwała, niezależnie od tej czy innej postawy duchowej, tych ubiorów wyjmowanych z szaf, słów, których używała do opisywania swojej sytuacji.

Bez względu jednak na to, w jakiej sytuacji się znalazła, z końcem tego letniego wieczoru wydawało się Kate, że setki nitek jej życia zostało jednocześnie ściągnięte w węzeł. Wiele numerów telefonicznych nabazgranych na kawałkach papieru, na różnych blankietach z adresami uzasadniało to wrażenie, również i to, że usiłowała przywołać wspomnienia o dziadku siedzącym na werandzie kamiennego domu, w rozległym ogrodzie pełnym krzewów ognistych i lilii. „Catherine! Aby nauczyć się języka, trzeba go wdychać, jak powietrze. Przesiąknąć nim! Życ nim!”

Srojąc przed próbą swoich umiejętności, gdyż naza jutrz miała tłumaczyć na żywo - z angielskiego, francuskiego i włoskiego na portugalski i odwrotnie - całą noc przesiedziała, na nowo czytając przetłumaczoną przez siebie powieść i odtwarzając w pamięci spacer, rozmowy i posiłki z dziadkiem. Przedtem sprzątnęła resztki z talerzy i zmyła wszystkie naczynia; na szczęście elektryczność włączono znowu około dziesiątej wieczorem. Ranek zastał ją tak głęboko pogrążoną w języku młodości, że gdyby potrafiła kogoś na ulicy, przeprosiłaby go po portugalsku.

Wszystko to jednak okazało się niepotrzebne, tak jak i jej nerwowa krzątanina, aby na pierwszym spotkaniu wystąpić w najwłaściwszej sukni, w najodpowiedniejszym uczesaniu – chociaż rozumiała, że trąci to prowincjonalizmem – tak jak i jej wewnętrzne postanowienie, aby sposobem bycia odbiec od postawy pani doktorowej Brown. Kiedy weszła do biura pana Charliego Coopera, powitał ją:

– Pani Brown? Dzięki Bogu, że znalazła pani dla nas czas. Zaczyna pani dzisiaj, prawda? Doskonale...

Ich przyjaciel i pośrednik w tej sprawie, Alan Post, scharakteryzował ją jako osobę o nadzwyczajnych kwalifikacjach, panią domu, która tylko pod naciskiem perswazji zgodziła się porzucić rodzinę, aby pomóc w rozwiązywaniu kłopotów wielkiej międzynarodowej organizacji. Znalazła się od razu w specjalnej kategorii pracowników amatorów, narzucono jej pozycję osoby wyświadczającej łaskę.

Okazało się, że z grupy czterech zastępców pierwotnego zespołu wykwalifikowanych tłumaczy znowu odpadło dwóch, z przyczyn rodzinnych i zdrowotnych.

– Jakieś przekłete fatum ciąży na całej sprawie! – wykrzyknął Charlie Cooper. – Ale jestem pewien, że wraz z panią fortuna się odwróci.

Po czym z pośpiechem poprowadził ją szerokim korytarzem o wielu oknach, który lśnił i błyszczał, do wielkiej windy, gdzie wisiał plakat z ciemnoskórą kobietą uśmiechającą się miło w trakcie zbierania ziaren kawy z bardzo zielonych krzaków. A potem znowu szli innym imponującym korytarzem, gdzie minęli komitet do spraw masła i inny komitet do spraw cukru, aż znaleźli się w bardzo wielkim i długim pokoju, w którym na środku stał lśniący, owalny stół, od razu nasuwający na myśl fabrykę produkującą wyłącznie stoły – długie, owalne – na użytek międzynarodowych konferencji.

Komitet rozpoczął już obrady. Na stole pełno było szklanek z wodą, ołówków, długopisów, arkuszy zapisanego i zabazgranego rysunczkami papieru. Ale krzesła nie stały równo i były puste; wszyscy delegaci znajdowali się na dolnym piętrze i najprawdopodobniej popijali kawę, zajęci jedną z tych najpospolitszych w dzisiejszych czasach rozmów na temat całkowitej nieskuteczności i niekompetencji wszelkich instytucji użyteczności publicznej czy spotkań; te rozmowy będą naturalnie stawały się coraz bardziej zgryźliwe i coraz częstsze w miarę wzrastania liczby ludzi na świecie i coraz gorszego zaspokajania przez te instytucje potrzeb ludzkości. Taktowny Charlie Cooper dopiero teraz powiedział Kate, że oczekiwano jej tego ranka o dziesiątej, tak aby mogła rozpocząć pracę z chwilą otwarcia pierwszej sesji, a nie o dwunastej, jak wskazywał



w tej chwili zegar – ale, naturalnie, nie powiedziano jej o tym, to nie jej wina, zawsze się tak sprawy załatwia... tak, niewątpliwie zakomunikowano jej, aby „wpadła o jakieś porze następnego ranka” – typowe!

Ale czy nie mogłaby zacząć teraz, tak, właśnie w tej chwili, lub raczej kiedy delegaci wrócą ze swojej przymusowej przerwy na kawę; oprócz niej jest dzisiaj w pracy tylko jeden kwalifikowany tłumacz kabinowy na język portugalski.

Kate sądziła, że przychodzi na spotkanie wstępne, zapowiedziała też różnym osobom zainteresowanym, że wróci do domu, aby przygotować lunch i zająć się praniem. Gdyby jednak mogła pójść i zatelefonować... Na twarzy Coopera odbiła się śmiertelna udręka – delegaci za minutę będą na górze, zostali już przywołani z powrotem, właśnie z powodu jej przybycia. Kate poczuła rozdzierający, arcykomiczny ból, kiedy uświadomiła sobie, że oto nadszedł raptowny kres jej wieloletniego uzależnienia od codziennych, wypunktowanych obowiązków. Charlie Cooper zatelefonuje w jej imieniu i po prostu zawiadomi, że pani Brown jest zajęta. Informację tę przekaze córce. Tłumiąc w sobie odruch, aby przesłać Eileen słowa miłości i pocieszenia, Kate pozwoliła zaprowadzić się do młodej kobiety, która miała wdroić ją w nowe obowiązki. Przy każdym fotelu wokół stołu znajdowały się urządzenia do odbioru obcych języków tłumaczonych na własny; głos w drodze od mówcy do słuchacza ulegał przekształceniu na głos Kate, między innymi. Wszędzie znajdowały się przełączniki, z których każdy stanowił wrota do obcego języka. Były również słuchawki. Po obu

stronach pokoju w szklanych kabinach widniały dalsze przełączniki, aparaty odbiorcze, słuchawki. Zadaniem Kate będzie siedzenie w jednej z tych kabin, słuchanie przemówień wygłaszanych w języku angielskim, francuskim lub włoskim i tłumaczenie ich natychmiast na portugalski. Będzie musiała mówić głośno do mikrofonu przekaźnika połączonego z uszami ludzi używających portugalskiego – głównie Brazylijczyków nieznających angielskiego lub tych, którzy znając angielski, wolą słuchać wersji przemówień we własnym języku. Będzie sama czymś w rodzaju maszyny: do jej uszu wpływać będą słowa w jednym języku, a z ust wypływać w innym brzmieniu.

Naturalnie, nie będzie siedziała cały dzień w swojej kabinie, mimo że liczba tłumaczy jest niewystarczająca. Przerwy będą częste, odpoczynki dla uzupełnienia sił witalnych podczas tej szalenie wyczerpującej pracy, jak podkreślał to ciągle Charlie Cooper; niebawem wrócił po spełnieniu swej misji zatelefonowania do domu Kate, co potraktował jako tak mało ważne, że nie wymagało wzmianki. Była w kabinie razem z nim; nałożyła słuchawki, z jego pomocą włączała i wyłączała przełączniki. Instruuując ją, gryzmolił jednocześnie na bloku listowym pismo do delegatów wyrażające szczere i pełne skruchy przeprosiny za brak odpowiedniej liczby tłumaczy, z prośbą o wyrozumiałość i cierpliwość. Z tym pismem w rękę wybiegł z kabiny, ażeby oddać maszynistce do przepisania. Kate – pozostawiona sama, zdana teraz na siebie – mogła zauważyć wreszcie przez szyby kabiny, że sala konferencyjna oglądana z tego podwyższonego punktu jest bardzo przyjemna. Okna



były wysokie. Ściany pokryte boazerią koloru miedzi, z wyraźnie zarysowanym deseniem spiralnych słoików. Podłogę zaścielał ciemny granatowy dywan.

W tym pokoju decydowały się losy i przyszłość milionów zwykłych ludzi – co będą uprawiać i jeść, w co się ubierać i co myśleć.

Charlie Cooper kładł właśnie przy każdym miejscu na stole kartkę papieru ze słowami przeprosin – pismo cudownie rozmnożone w ciągu zaledwie kilku minut – kiedy delegaci weszli do sali, śmiejąc się i gawędząc. Jak szalenie atrakcyjny zespół tworzyli! Wielobarwna grupa przystojnych mężczyzn i kobiet z różnych krajów byłaby wymarzoną materią dla filmowca pragnącego nakręcić scenę wyidealizowanego obrazu narodów zjednoczonych. Aktorzy nie zdołaliby chyba oddać tej perfekcji w okazywaniu tak niewymuszonej powagi, tej pewności siebie. Bo takie właśnie wrażenie sprawiali delegaci. Już tylko dzięki temu powstawała wyraźna różnica między nimi a ich pełnomocnikami, sekretarzami oraz różnorodnym personelem. Każdy, czy mężczyzna, czy kobieta, szedł w kierunku swojego fotela, zasiadał w nim, gawędził i śmiał się ze swobodą tak doskonałą, że tylko jedno słowo narzucało się obserwatorowi: władza. Wszystkie ich gesty, wszystkie spojrzenia wyrażały przeświadczenie o własnej użyteczności oraz o wadze sprawy, którą reprezentują.

Niektórzy z delegatów mieli na sobie stroje narodowe. Kilkoro mężczyzn i kobiet przybyłych skądś z Afryki było tak wysokich, pełnych gracji i po królewsku ubranych, że wszyscy inni wydawali się przy nich osobnikami niższych ras; fałdy ich szat, kolczyki,

kształt głowy, każdy z tych szczegółów odgrywał swoją rolę. Przecież nawet fałdy ubrania mogą mówić o aurytecie, jeśli nosi je człowiek, którego decyzje są ważne dla ludzi przenoszących worki z kawą na wzgórzach oddalonych stąd o tysiące mil.

Rozpoczęły się obrady; Kate stwierdziła, że jej umysł jak maszyna wykonuje bezbłędnie swą pracę. Kilka momentów paniki, uczucia pustki w głowie i obawy, że ta pustka nigdy nie zniknie, zostały rozproszone dźwiękiem jej własnych słów, uszeregowanych w sposób sensowny, oraz obserwowaniem twarzy ludzi, którzy słuchali. Nikt nie wydawał się niezadowolony z tego, co słyszy; wszystko szło tak jak powinno.

I po nieprawdopodobnie krótkim czasie – okazało się, że były to całe dwie godziny – została zastąpiona przez kolegę, wysłana z sali na odpoczynek i na zjedzenie dobrego lunchu. Wróciła do kabiny z uczuciem pewności siebie, a gdy minęła piątą, czuła się już w tym samym stopniu częścią tej organizacji, jak przedtem częścią własnej rodziny. Wróciła do tejże rodziny spóźniona na wieczorny posiłek, aby stwierdzić, że jej córka ugotowała już obiad i że wszystko przebiegało tu bez zakłóceń.

Z końcem tygodnia Kate została wprowadzona w zawile sprawy tej gorzkiej i aromatycznej rośliny, której nasiona parzy cały świat i pije w takich ilościach. Nie była w stanie myśleć o niczym innym, a jej dom został sprzątnięty i przygotowany do wynajęcia. Potem został wynajęty do końca września, a rodzina rozjechała się w różne strony świata, bez żadnej pomocy z jej strony. Powiedziała tylko – tonem, który jeszcze



tydzień temu byłby pełen niepokoju, ale teraz brzmiał obojętnie: „Ktoś musi się tym zająć, bo ja nie mam czasu”. Ucałowała na pożegnanie męża, trzech synów i córkę, ale do tej pory nie miała jeszcze czasu, aby odczuć jakąś szczególną emocję.

Przeprowadziła się teraz do pokoju w mieszkaniu wynajętym przez jedną z jej nowych koleżanek, która uprzednio pracowała jako tłumaczka, ale została awansowana: obecnie organizowała konferencje. Ta przeprowadzka z domu do tego pokoju, z wszystkimi koniecznymi rzeczami na okres kilku miesięcy, zabrała jej pół godziny i wymagała tylko zapakowania do walizki paru sukien.

Jednakże żadna z tych sukien nie nadawała się do noszenia. Podczas tego tygodnia pobiegła któregoś dnia do sklepu, aby kupić stroje, które jak paszport uprawniałyby ją do nowego życia. Pani doktorowej Brown nie można było nazwać kobietą źle ubraną, ale to nie pani doktorowa Brown została zatrudniona przez organizację „Żywność dla Świata”.

Przed pójściem na zakupy spytała Charliego Coopera, ile będzie zarabiać. Na okrągłej i komicznej twarzy – o stałym wyrazie znękania, jako że pełnił rolę niańki przy tylu komitetach – odbiła się udręka wyrzutów sumienia.

– Boże mój! – zawołał. – Niech mi pani wybaczy! Nie sądzę, aby pani potrafiła się zdobyć... to naprawdę okropne z mojej strony! Powinienem być pomówić przede wszystkim o tym. Ale to był taki tydzień, naprawdę, gdyby pani tylko zdawała sobie sprawę, jakim jest wybawieniem dla nas.

I wymienił sumę, która ją oszołomiła; z trudem powstrzymała się od okrzyku zdumienia. To w ten właśnie zwykły, prawdziwie dżentelmeński sposób pensje tych międzynarodowych urzędników, tych niezastąpionych szczęściarzy, były ustalane, tak jakby nie istniał świat związków zawodowych, zjadłych walk o płace, świat nędzy i męczarni głodu.

Kupiła sobie kilka sukienek, obliczając, że po tych dwóch tygodniach pracy w organizacji „Żywność dla Świata” mogłaby posiadać szafę strojów odpowiednich na komfortowy urlop w jakiejkolwiek miejscowości na świecie. Ale jej dalsze plany ograniczały się do odwiedzenia, być może, starej przyjaciółki w Sussex lub ciotki w Szkocji. W istocie nie myślała o tym, co będzie robiła później.

Następny tydzień był mniej męczący. Praca stała się dla niej zajęciem wykonywanym z taką łatwością jak prowadzenie domu, którym zajmowała się – nie do wiary – zaledwie kilka dni temu. Pracowała automatycznie. W przerwach między sesjami spędzała czas w pokojach recepcyjnych przy kawie, obserwując. Mimo wszystko była tu tylko kimś obcym i nie czuła się uprawniona, by przyłączyć się do tej uprzywilejowanej chmary ludzi. Była emigrantem; wszystko skończy się za tydzień. Siedziała jednak tak, jakby wbrew swoim odczuciom miała prawo do tego – jej nowe suknie ułatwiały to zachowanie; piła wspaniałą kawę i przyglądała się. Był to rodzaj targu. Lub coś w rodzaju wielkiego, wesołego, nieustającego przyjęcia.

Siedziała w sali pełnej ludzi, odprężona wewnętrznie, lecz świadoma tego, co widzi, jak inne pracow-



nice międzynarodowej organizacji ubrana stosownie, zachowująca się również odpowiednio do swego stanowiska; pozwalała jednak na to, aby jej życie – czy raczej słowa określające jej myśli o własnym życiu – przepływało przez jej umysł. Czy dlatego, że przez dwadzieścia pięć lat była częścią tego węzła, jakim jest rodzina, i zapomniała już, iż zwykle życie dla wszystkich poza rodziną jest tak przyjemne, tak niewiele stawiające przed człowiekiem wymagań? Jak dobrze byli tu wszyscy ubrani. Jak lśniła i błyszczała skóra każdego z nich. I w jaki swobodny sposób każdy – kobieta czy mężczyzna – wchodził tutaj, rozglądał się dokoła, napotykając tylko uśmiechy i miłe spojrzenia, a potem siadał sam, machając przyjaźnie ręką, gestem, który mówił: „Potrzebuję chwili samotności” – co było naturalnie respektowane. Lub też wchodząc, rozglądał się po sali obojętnie, nieomal wyniośle, decydując, do której grupy ma się przyłączyć. Nie było tu ani śladu napięcia, które człowiek odczuwał po pięciu minutach przebywania na ulicy poza murami tego chronionego miejsca. Na każdej ulicy czy w sklepie, czy w domu biegły jakieś prądy, krzyżowały się, tworzyły nowe odgałęzienia. Poza tym wielkim gmachem obrad konflikty istniały nieprzerwanie. Ale tutaj? Czy któraś z tych dobrze ułożonych istot ludzkich, upiękuszonych i wypolerowanych przez pieniądze, cierpiała kiedykolwiek? Czy kiedykolwiek płakała w ciemności? Czy kiedykolwiek pragnęła czegoś, czego nie mogła otrzymać? Oczywiście, że tak, musieli przecież kiedyś doświadczyć tego... ale nie pozostał po tym żaden ślad. Czy kiedykolwiek – ale może nie było to najważniejsze

pytanie – czy kiedykolwiek któraś z tych osób była głodna?

Trudno by w to uwierzyć. A kiedy pomyślało się o przeznaczeniu tego budynku, o przyczynie, dla której był on stale pełen obradujących ludzi, wszystkie problemy, które ich teraz absorbowały, wydawały się mikroskopijne, nieomal absurdalne. Bo Kate została teraz włączona w te problemy. Sprawy przyjęły obecnie inny obrót; nie była już jak przedtem „kobietą zastępującą tłumacza, którzy ulegli jakimś wypadkom czy zachorowali”. Była Kate Brown witana na korytarzach uśmiechem i rozpromienionymi twarzami; zatrzymywano ją coraz częściej, prosząc o radę i informację. Gdzie kupić ten czy inny krem do twarzy lub coś szczególnego do jedzenia; jak dotrzeć do jakiejś restauracji, hotelu, domu mody lub najważniejszego miejsca zakupu brytyjskich wyrobów wełnianych czy whisky.

W swoim pierwszym tygodniu, padając wyczerpana na łóżko, miała tylko czas pomyśleć, że stała się funkcją: stała się – była – językiem dla kilkudziesięciu urzędników służby międzynarodowej. Tego tygodnia, leżąc dłużej przed zaśnięciem, ponieważ nie czuła się tak wyczerpana jak przedtem, pomyślała, że jej pierwsza funkcja – rola wyszkolonej papugi – została bardzo szybko wyrugowana przez inną, do której była przyzwyczajona. Pytano ją, tę nowo przybyłą: „Jak robi się to czy tamto, jak znajduje się tę rzecz lub inną?” Naturalnie była już starym pracownikiem, ponieważ większość ludzi zjawiała się tutaj i znikła z tego budynku niekiedy już po kilku dniach.



Stała się tym, czym była przedtem: pielęgniarką lub niańką, tak jak Charlie Cooper. Matką. Mniejsza z tym, za kilka dni uwolni się od tego wszystkiego. Nie będzie już papugą z umiejętnością okazywania współczucia w drobnych, nieważnych obsesjach ludzkich; będzie wolna... Kate zauważyła, że ta myśl wprawiała ją w lekkie drżenie. Zauważyła, że zareagowała nagłą refleksją: szkoda, że nie pojechałam z Michaeliem do Ameryki. Potem złapała się na myśli: kiedy pojadę z wizytą do Rose, będę mogła pomóc jej przy dzieciach. Rose była tą przyjaciółką w Sussex, którą miała ewentualnie odwiedzić.

Ale nie chciała przecież spędzać lata z czyjąś rodziną: to było po prostu tchórzostwem. Przed pójściem spać rozejrzała się po swoim pokoju, notując schludność tego miejsca, swoją obojętność w stosunku do otaczających ją rzeczy, i pomyślała, że tak, to jest dużo lepsze od jej wielkiego rodzinnego domu, od domu Rose pełnego ludzi, zapchanego, zatłoczonego przedmiotami, z których każdy wywoływał skojarzenia z przeszłości, należał do tej lub innej osoby, miał swoje znaczenie, swoją wagę.

Mały pokój z łóżkiem, krzesłem, komodą, lustrem – tak, to było lokum, które by wybrała, gdyby mogła wybierać... Zapadła w sen. Później, kiedy sen tej nocy znalazł swoje miejsce w jakiejś całości, stał się pewnym odcinkiem historii czy podróży, którą przeżywała w następnych snach, próbowała przypomnieć sobie coś więcej, jakieś dalsze szczegóły. Ale mimo że pamiętała doskonale jego atmosferę łączącą niepokój i radość w taki sposób, jak nie mogło się to zdarzyć w życiu na

jawie, szczegóły uleciały. Obudzona, w ciemności, próbowała uchwycić koniec snu, nim wyśliznie się z pamięci i zniknie; nad ranem sen stał się jakby początkiem historii epickiej opowiedzianej prosto i bezpośrednio.

Schodziła ze wzgórza w jakimś północnym i nieznanym kraju. Ktoś powiedział: „Popatrz, co to za dziwna rzecz, popatrz, coś ciemnego tu leży”. Pomyślała: ślimak? Oczywiście, że nie, żaden ślimak nie jest tak duży. Była to foka, wyrzucona na brzeg i bezradna wśród wysokich, suchych skał na zimnym wzgórzu. Jęczała. Kate podniosła ją. Była ciężka. Spytała, czy nie stało jej się nic złego i czy może jej pomóc. Gdy foka jęknęła, Kate zrozumiała, że trzeba donieść ją do wody. Zaczęła schodzić ze wzgórza, niosąc fokę w ramionach.

Dzień przed upływem jej dwóch tygodni Charlie Cooper zaprosił Kate na rozmowę przy filiżance kawy. Przyszła i Charlie spytał, czy nie mogłaby pracować jeszcze przez następny miesiąc. Obrady tego komitetu już się kończyły, ale miała się wkrótce rozpocząć następna konferencja.

– A więc spisałam się dobrze? – spytała Kate.

Wiedziała, że tak, jeśli chodzi o sprawy tłumaczenia, ale z gorącego tonu tego urodzonego urzędnika poznała, że chciał powiedzieć coś więcej. Czyż można było się nie liczyć z osobistym urokiem Charliego Coopera? Czy nie zdobyła tej posady właśnie dzięki niemu? Ale jeśli chciało się zrozumieć, co naprawdę ma na myśli i co chce uzyskać, trzeba było odsunąć na bok jego powab. – Och, droga pani, naturalnie. Jesteśmy wprost zachwyceni, że panią znaleźliśmy. Co za szczęście dla



nas! I jak to uprzejmie z pani strony, że poświęciła nam pani swój czas. – Zachwycające było to udawanie, że pracuje dla nich z czystej uprzejmości, a nie dla wysokiego wynagrodzenia; jak nieoczekiwane było zetknięcie się z tym dworskim zachowaniem, z tymi dżentelmeńskimi manierami, właśnie tutaj, w tym najnowszym ze współczesnych tworów ludzkich: instytucji międzynarodowej służby publicznej). – Naprawdę, proszę mi wierzyć, Kate – mogę chyba teraz tak mówić do pani, prawda? Tym bardziej, jeśli zrobi nam pani tę uprzejmość i zechce popracować z nami trochę dłużej – a gdybym to ja mógł decydować, to jeszcze przez długi, długi czas. Ale może chciałaby pani porozmawiać na ten temat kiedy indziej? Muszę jednak wyznać, że to nie tylko sprawa wyjątkowych kwalifikacji do tego zajęcia, naprawdę wyjątkowych, bo przecież przystąpiła pani do pracy od razu – niektórzy ludzie potrzebują tygodni ćwiczeń, nim w ogóle są w stanie tłumaczyć na żywo – gdy tymczasem pani, Kate... ale nie... w pani wypadku to coś więcej. Wszyscy podkreślają, jak nadzwyczajnie pomocna była pani dla nich pod każdym względem. Naprawdę, Kate. Pani Kingsmead, ta delegatka amerykańska, nie dalej jak dzisiaj rano mówiła mi, że w ogóle nie wie, jak poradziłaby sobie bez pani cennych wskazówek. Przypuszczam, że to zasługa licznej rodziny? Alan Post mówił mi o tej czarującej młodzieży i jak tam u pani w domu wszystko gładko idzie... Otóż, rzecz w tym, że jeśli ktoś dobrze pracuje w jednej dziedzinie, to tak samo jest i w drugiej, no więc gdyby pani mogła pozostać z nami jeszcze miesiąc, przerzuciwszy się na pracę organizacyjną, byłoby

to najszcześniejsze rozwiązanie. Zbrodnią jest marnowanie tak nieprawdopodobnych talentów na tłumaczenie kabinowe. Pani zdolności w innych kierunkach są równie duże. W pewnym sensie to okropne prosić, aby pani przestała robić to, co wykonuje tak doskonale. Jeśli zgodzi się pani, to pensja, naturalnie, będzie wyższa. Tylko miesiąc – czy możemy liczyć na miesiąc?

Naturalnie wiedziała, że się zgodzi. Jedyną obiekcją stanowiły pieniądze: nie mogła w to uwierzyć. Nie była w stanie zwalczyć w sobie uczucia winy, że jej płaca za pełnienie funkcji wyjątkowo inteligentnej i wymownej papugi ze skłonnościami opiekuńczymi jest prawie tak wysoka jak zarobki jej męża, lekarza neurologa, doktora z wieloletnim stażem i dużym doświadczeniem. (Oczywiście tu, w Wielkiej Brytanii, a nie w Stanach, gdzie zarabiał więcej). A teraz ta sprawa będzie wyglądała jeszcze gorzej; była wprost absurdalna. Musi jednak pogodzić się z faktem, że w tym świecie dotychczasowe prawidła, wartości i kryteria nie mają zastosowania. Uczucia Kate w związku z perspektywą zaprzestania pracy demonstrującej jej wyjątkowe kwalifikacje były mieszane. Co właściwie będzie teraz robiła?

Okazało się, że miała robić w pewnym sensie to, co robiła we własnym domu. Zaczęła organizować różne sprawy, spędzać mnóstwo czasu na telefonowaniu, na dopilnowywaniu, aby takie czynniki jak ludzie, miejsca i rzeczy zbiegały się we właściwym czasie... A potem, nagle, nastąpiła komplikacja: panika wywołana przypadkami tyfusu. Zwykły konflikt pomiędzy wymaganiami turystyki a wymogami zdrowia publicznego wprowadził na kilka dni ogólne zamieszanie; zaistniała groźba



całkowitego zamknięcia wysp brytyjskich dla ruchu pasażerskiego. Epidemia została opanowana, ale niemal w tym samym czasie rozpoczął się strajk na lotniskach. Gazety przepowiadały, że ten strajk będzie trwał długo. Potem odkryto, że na skutek rozmaitych niedopatrzeń pokoje hotelowe dla czterdziestu przyjeżdżających delegatów nie zostały zarezerwowane dostatecznie wcześnie; był to już przejaw nieudolności przekraczający zwykłą miarę nieuniknionych przypadków, nad którymi wszyscy z zachwytem lamentują. Rozpoczęły się dyskusje na wysokim szczeblu: telefony i telegramy płynęły tam i z powrotem do Nowego Jorku, Londynu, Australii i Kanady... Stwierdzono, że nie istnieje żadna klauzula nakazująca odbycie konferencji w Londynie. Miała to być generalna konferencja ma temat poszczególnych regionów świata – problemu, w jaki sposób uzyskać żywność z obszarów, które produkują ją w nadmiarze, dla tych terenów, które mają jej zbyt mało. Atrakcyjnych i odpowiednich miast było pod dostatkiem – może Paryż? Nie, nie – w lipcu szaleństwo, miasto wypełnione po brzegi. Trudności w zorganizowaniu konferencji odwlekały termin jej rozpoczęcia; była już prawie połowa czerwca. Brano pod uwagę różne miasta europejskie – Rzym, Barcelonę, Zurych – a po dyskusji odrzucano jedno po drugim. Kate myślała ciągle, jako gospodyni domowa, o rachunkach telefonicznych, które narastały przez te wszystkie opóźnienia, propozycje i zmiany decyzji; to, co wydano na same telefony, wystarczyłoby do nakarmienia przez tydzień tysiący ludzi. Nie płacono jej jednak, aby rozmawiała jak gospodyni domowa, wymagano od niej dużo mniej. Czego? Miała wraże-

nie, że spędza zbyt wiele czasu, omawiając te wszystkie sprawy z Charliem Cooperem i innymi urzędnikami. Czuła, jakby ugrzęzła w jakimś organizacyjnym bagnie; nic nie szło naprzód, wszystko opóźniało się, tkwiło w bezczynności. Wciąż tylko gadała. Inni też gadali. Telefonowali ustawicznie do ludzi w różnych krajach – czy w ten sposób działają zawsze te wielkie organizacje? Jeśli tak, to nic dziwnego, że... „Dlaczego muszą tkwić w Europie?” – pytano. Przecież ci globtroterzy, ci prawie stale podróżujący delegaci, całe życie spędzający na konferencjach przy okrągłych czy owalnych stołach, w jasnych, dobrze wentylowanych pokojach, z widokiem na rozmaite miasta rozciągające się jak dekoracje za wysokimi oknami – ci ludzie nie odczuliby wielkiej różnicy, gdyby znaleźli swoje arkusze papieru, ołówki, długopisy, szklanki z wodą i swoich niezmiennych sekretarzy w Bejrucie czy Nairobi zamiast w Rzymie czy Londynie. A więc północna Afryka? Nie, tam byłoby zbyt gorąco. Może więc powinni udać się na północ – do Sztokholmu? To chyba miasto o właściwej atmosferze dla spokojnej, beznamietnej dyskusji? A Oslo? Nie, Skandynawia jest za bardzo wysunięta na północ, lepiej znaleźć jakieś miejsce centralne. Tak, kraje śródziemnomorskie: ale nie Liban czy Syria, nie jakieś państwo arabskie lub takie, które jest zaangażowane w konflikt izraelsko-arabski; Turcja? Tak, to było lepsze – Konstantynopol? Naturalnie! Ale miasto było rozpalone, będzie tam zupełnie tak samo gorąco jak w północnej Afryce czy Rzymie. Słusznie, ale jest ono tak bardzo atrakcyjne i konferencje nie odbywają się tam często, a poza tym dla delegatów wyczerpanych deba-



tami stanowić będzie ucztę krajoznawczo-turystyczną: archeologiczną, religijną, kulturalną i folklorystyczną. Jakże nielogiczne jest odrzucenie tylu miast ze względu na to, że są przepelnione i zbyt gorące, a potem zgodzić się na Konstantynopol. To prawda. Może jednak byłoby lepiej pozostać przy Londynie? A strajk? Ludzie przecież mogliby dojechać do Francji, a stamtąd przeprowić się statkiem! Przed wynalezieniem samolotów statki i samoloty doskonale spełniały swoją funkcję, czyż nie? Oczywiście, ale trzeba przyznać, że samoloty i międzynarodowe konferencje pasują do siebie, stały się nieodłączne.

Panika tyfusowa wybuchła na nowo. Charlie Cooper i Kate Brown zasiedli do telefonu, aby przygotować trzytygodniową konferencję pod egidą organizacji „Żywność dla Świata” w Konstantynopolu. Delegaci przebywający jeszcze w swoich krajach zostali poinformowani telefonicznie – co kosztowało niewiarygodne sumy – że Turcja, a nie Anglia, będzie miała zaszczyt goszczenia ich w swojej metropolii.

Jej beczynne lato miało być wypełnione dzięki temu aż do połowy lipca; gdyby sprawy opóźniły się jeszcze bardziej, może nawet dłużej. Czuli, że nie powinna pozwolić, aby wypadki potoczyły się w ten sposób. Powinna była chyba pomyśleć o swojej sytuacji, o zimnym wietrze. Powinna była zanalizować gwałtowne i niepohamowane wahania w swoich uczuciach do męża. Teraz bowiem, kiedy miała tyle wolnego czasu, odnosiła wrażenie, że nie robi nic albo bardzo niewiele; jej dnie były bardziej puste niż kiedykolwiek dotąd – zdawała sobie sprawę, że jej system emocjonalny dzia-

ła w próżni: wszystkie obiekty uczuć znajdowały się daleko, nie były obecne, aby reagować z nią lub przeciwko niej. Jaki jest sens kochać, nienawidzić, pragnąć, oburzać się, odrzucać – wszystko to niekiedy w ciągu jednej godziny – jeśli jest tutaj sama i wolna; było to jak gadanie ze sobą samą, było to coś chorobliwego... Dobrze, że będzie zajęta. Przynajmniej przez następny miesiąc. Wyszła do miasta i kupiła kilka sukienek. Potem kupiła do nich masę dodatków. Nie, nieistotne było, że te stroje różniły się bardzo od noszonych przez nią zazwyczaj. Dużo ważniejszą sprawą było, w jaki sposób je nosiła. Tak jak powiedziałby jej dziadek: „duch, istota rzeczy”.

Stała przed dużymi lustrami w wielu sklepach, patrząc z chłodnym, niezbyt życzliwym zaciekawieniem na kobietę czterdziestoparoletnią, która w dalszym ciągu zachowała tę samą figurę co w młodości, nie mówiąc o drobnych, przejściowych wahaniach w obwodzie talii; kobietę o ładnych kasztanowatych włosach, oczywiście farbowanych, gdyż siwiała szybko. To chłodne zaciekawienie przekształciło się bez trudu w prywatną zmowę między dwiema kobietami – w postawę, z której wywodził się jej kpiący, tak bardzo destrukcyjny grymas. Destrukcyjny, ponieważ przekreślał chyba jej formalny, manifestowany zazwyczaj pogląd na samą siebie. Tak, lepiej unikać długiej wymiany wnikliwych spojrzeń, które zawsze groziły wybuchem nieopanowanego śmiechu. Tak, wiedziała, że czyha na nią bezwstydnny śmiech na myśl o tej całej przeklętej sprawie... Ten rodzaj śmiechu, który i jej, i Mary Finchley sprawiał przyjemność (w którym folgowały swojej naturze? używały go jako



środka profilaktycznego?) w chwilach, gdy mogły być same, bez mężów i gości.

Nie, musi cofnąć się od lustra, popatrzeć na siebie całą i utwierdzić się w przekonaniu, że oto stoi przed nią przystojna i elegancka kobieta, u progu wieku średniego. Jeszcze u progu – nie miała wcale zamiaru go przekroczyć. Patrząc beznamiętnie na siebie, mogła śmiało stwierdzić, że jej figura, cechy zewnętrzne, nogi, talia, biust, usta, włosy, szyja nie różniły się od tych atrybutów, którymi wabiła ku sobie dziesiątki młodych mężczyzn prawie ćwierć wieku temu, dzięki którym zdobyła swojego męża. Nie były inne; może nawet lepsze, skoro tyle środków chemicznych i leków, i diet, i starań o włosy, zęby, oczy – złożyło się na to dzieło rąk ludzkich; jak wyglądałaby teraz, gdyby na przykład urodziła się w brazylijskich slumsach?

To, co było inne, nie było namacalne. Rzecz leżała tu znowu w pewnej atmosferze, w czymś, co tkwiło w sposób niewidoczny dla oka – w niej samej. Właśnie ta subtelna sprawa „ducha” była powodem, dla którego w młodości ten sam zestaw atrybutów – zęby, oczy, biodra i tym podobne – przyciągał, podczas gdy teraz nie – lub w stopniu nie większym niż właściwości innych kobiet w jej wieku (kobiet z tej mniej licznej grupy, która nie wypadła z gry wabienia w dużo wcześniejszych latach życia, z rozmaitych powodów, przede wszystkim – biedy). „Duch” to z pewnością słowo niewłaściwe; lecz jakie było właściwe – stan? warunki? postawa? Ona również, tak jak piękna, nieomal niewidoczna aureola płomienia świecy, nie wgłębiała się w emanację powabu: Jestem osiągalna, wdychajcie mój

aromat i skosztujcie. W jej wypadku powodem był fakt, że przez tak długie lata była żoną i matką niezainteresowaną przyciąganiem innych mężczyzn, poza swoim własnym mężem. A jeżeli zdarzało się jej – to nieczęsto i nie na długo.

To wszystko zostało naturalnie przedyskutowane w sposób wyczerpujący i szczerzy między nią a jej mężem. Musiało być omówione. Od samego początku istniało między nimi porozumienie, równoznaczne z planem, co do tej płaszczyzny współżycia małżeńskiego, tak trudnej, ryzykownej i obwarowanej murami przesądów. Co więcej, cały ten plan był stale aktualizowany, oboje nie pozwalali, aby zniknął... Jednakże Kate zdawała sobie sprawę, że to, co obie z Mary Finchley w czasie swoich spotkań, nazwanych przez nie „sesjami starych mężatek”, uznały za rzecz zupełnie naturalną, stało w całkowitej sprzeczności z jej małżeńskim kodeksem. Dlaczego myślała tak często o Mary? W rzeczywistości reakcja jej długoletniej przyjaciółki na wiadomość o nowej pracy Kate zdenerwowała ją mocno. Mary wybuchnęła wesołym śmiechem, który zawsze wydawał się Kate mało delikatny, i wykrzyknęła: „No, dzięki Bogu za to. Najwyższy czas!”

W każdym razie teraz musiała przeglądać się w tylu różnych lustrach i rozpalić w sobie płomień, aby pobudzić pewne fluidy. Nie, nie takie jak w jej małżeńskiej przeszłości, w krótkotrwałych momentach nieopanowanego pociągu do jakiegoś wyjątkowego mężczyzny (które Mary określała krytycznie jako „świat całkowicie utracony dla żądy”). Teraz miała zamiar postąpić zupełnie inaczej. Dokładnie tak, jak robi to młoda



dziewczyna, która nagle uświadamia sobie swoje możliwości w przyciąganiu mężczyzn. Kate też nastawiła swój wewnętrzny termostat w innym kierunku. Nie wskazywał on: „Ty tam, tak, tak, ty, chodź, zdobądź mnie!” – ale: „Och, jak szalenie atrakcyjni jesteście wszyscy. Gdybym chciała, moglibyście mnie zdobyć, ale to zależy od was”. A zresztą to naprawdę dużo bardziej emocjonujące, właśnie unosić się tak na skrzydłach ogólnego uznania i aprobaty; byłoby rzeczą nieznośną ograniczyć się do jednego wybrańca!

Żadna zamężna kobieta nie robi tego głupstwa. (Z wyjątkiem Mary!). Ale popatrzcie, przez co przeszła jej rodzina z tego powodu – nie, nie można było jej zazdrościć ani jej naśladować; prawdopodobnie nie powinno się nawet słuchać tego, co mówi, jedynie tolerować ją jako zabawną towarzyszkę głośnych sesji śmiechu i pogawędek starych mężatek. Mniejsza zresztą o Mary. Żadna kobieta naprawdę zamężna nie nastawia swego termostatu uczuć w kierunku jakiegoś Toma, Dicka czy Harry’ego. (Dyskutując na ten temat z mężem, zgadzali się ze sobą, co to naprawdę oznacza być żonatym czy zamężną). Kobieta postępuje w ten sposób tylko wtedy, kiedy nie chce utrzymać swojego małżeństwa (lub ma takie nastawienie jak Mary, której życie przez piętnaście lat, to znaczy od kiedy Kate ją zna, było zawsze czymś w rodzaju francuskiej farsy, stonowanej oczywiście przez atmosferę specyficznego spokoju panującego w mieszczańskich dzielnicach Londynu). Kate bowiem naprawdę rozumiała, w pełni zdawała sobie sprawę, że nie każde małżeństwo jest prawdziwe i że te prawdziwe zdarzają się coraz rzadziej. W swoim mał-

żeństwie miała szczęście. Naturalnie, jeśli chce się użyć słowa „szczęście” zamiast „własna zasługa” w tym, że jest się (wbrew Mary) w dalszym ciągu kobietą, która potrafi być prawdziwą żoną dla prawdziwego męża. Będąc partnerem w tego rodzaju małżeństwie, człowiek nie może nastawić swojego wewnętrznego termostatu w żadnym kierunku poza tym jednym. Naturalnie nie biorąc pod uwagę tych krótkotrwałych i mało ważnych wypadków, z których Mary szydziła, twierdząc, że dostarczają maksimum cierpienia przy minimum przyjemności... Jeśli nie jest w stanie rozważyć serio sprawy swojego małżeństwa, żeby natychmiast Mary Finchley nie pojawiła się w jej myślach, lepiej już zaniechać wszelkich rozmyślań.

Nim Kate stwierdziła, że przemiana jej osoby została całkowicie ukończona, poszła do bardzo drogiego fryzjera, który gestem pełnym sympatii położył ręce na jej obu ramionach, patrząc jednocześnie ponad głowę klientki na odbicie w lustrze; Kate również się sobie przyglądała. Patrzyli na surowiec, z którego fryzjer miał stworzyć dzieło sztuki; potem zapytał, czy jej włosy miały zawsze ten odcień rudej czerwieni. Sądził, że tak, i oczywiście nie mylił się, ale Kate obawiała się, że ta bardzo ciemna czerwień, która była naturalnym kolorem jej włosów, jest zbyt szokująca dla kobiety w jej wieku. Powiedział na to: „Nonsens” – i w rezultacie wyszła z jego zakładu z ciemnorudymi włosami, muskającymi jej policzki przy każdym obrocie głowy. Pamiętała dobrze, że niegdyś jej włosy zachowywały się tak samo.

To wywoływanie wspomnień o sobie z młodości było denerwujące. Stwierdziła, że jest przewrażliwiona



uczuciowo. Pragnęła, aby Michael był teraz tutaj i mógł się nią cieszyć; za chwilę, w sposób równie gwałtowny, odczuła zadowolenie, że jest daleko, w Bostonie. Co powodowało te wahania uczuć? W ciągu jednej godziny nachodziły ją myśli tak sprzeczne, jak to bywa u kobiet nienormalnych. Dlaczego? Chyba niemożliwe, by zawsze była tak mało zrównoważona i dopiero teraz zaczęła to dostrzegać? Dobrze przynajmniej, że jest pewna jednego – swojego zadowolenia, że jej dzieci nie mogą jej teraz widzieć; och, nie, nikt z młodych nie lubi oglądać swojej drogiej mamy tak pełnej blasku, promiennej i jedwabistej.

Ale dzieci były teraz rozsiane po całym świecie – w Norwegii, w Sudanie, w Maroku i w Nowej Anglii; zupełnie tak samo jak delegaci, którymi opiekowała się niedawno, i jak ci nowi, którzy w tym momencie, w tylu różnych krajach, pakowali swoje walizki i żegnali się z żonami i dziećmi lub w nielicznych przypadkach – z mężami.

Za trzy dni, jeśli strajk na lotnisku zakończy się do tej pory, ma odlecieć do Turcji, jeśli zaś nie, będzie musiała jechać pociągiem. Trzy dni. Do czasu rozpoczęcia konferencji nie miała nic do roboty. Poczucie winy z powodu nieróbstwa, opłacanego tak sownie, skłoniło ją do powiedzenia Charliemu Cooperowi, że może powinna była wykonywać w tym czasie jakąś inną pracę, ma przykład pomagać tłumaczom. Po raz pierwszy zobaczyła Charliego Coopera zirytowanego. Powtórzył swoje liczne argumenty na temat jej zalet – jednakże co właściwie robiła? Piła z Charliem dużo kawy w jego biurze, gadała z nim, dwukrotnie w ciągu

dnia dyskutowała na temat przygotowań do konferencji – z nim i z dyrektorem ich wydziału. Czy to jest praca? Wielki Boże, gdyby nawet miała zreorganizować wydział czy całe biuro z tym niezliczonym sztabem wysoko opłacanych urzędników – powinna by to wszystko rzucić; poza tym ta cała praca jej nie odpowiadała. Prawdopodobnie ta krytyczna ocena wynikała z faktu, że nie miała doświadczenia w działalności, która była... nonsensem, wszystko było nonsensem; ta cała cholerna instytucja ze swoimi komitetami, konferencjami, ze swoim wiecznym gadaniem, gadaniem i gadaniem, była wielkim oszukaństwem; mechanizmem służącym dostarczaniu niewiarygodnych sum pieniężnych kilku set mężczyznom i kobietom.

Takie rozumowanie nie miało najmniejszego sensu. Jeśli płacono jej, aby siedziała w kawiarniach i myślała, no to będzie siedziała tam i myślała. Zresztą, ile to lat minęło od chwili, kiedy miała czas na rozmyślanie – prawie dwadzieścia pięć. Prawdę mówiąc, ten rok, spędzony u dziadka, był ostatnim rokiem w jej życiu, kiedy mogła z uśmiechem, beztrósko, obnosić swoją urodę. Wtedy również rozmyślała – w swojej piekielnie ponętnej białej sukience, przewiesiwszy na bok jedną stopę, jak złamane skrzydło ptaka, podczas gdy druga jej stopa, rytmicznie kołysząc bujany fotel, emitowała wokół niej fale zmysłowego pożądania; wtedy również myślała, zastanawiała się, pozwalała, aby różne opinie na temat własnego życia przepływały przez jej umysł... Czy wtedy już podlegała tym wahaniom uczuć? Nie mogła przypomnieć sobie, czy tak było. Możliwe, że biała sukienka, która zawsze, gdy tylko ją włożyła,



wywoływała w Kate odczucie, że jest osobą przebiegłą, nieuczciwą, zbyt nerwową – może ta sukienka wyobrażała jeden biegun wahania, a to, co Kate myślała – drugi? Czy „myślenie” było tu słowem właściwym? To, co przepływało przez jej umysł, było czymś gwałtownym; tak, pamięta teraz, wrzała krytycyzmem i zniecierpliwieniem pod tym swoim spokojnym, słodkim uśmiechem, który zawsze, a i teraz również, rekomendował ją jako osobę godną zaufania.

Chociażby w pojęciu Charliego Coopera. Do swego miejsca pracy wniosła atmosferę rodzinnego ciepła, które było paliwem jej działalności we własnym domu. Czy nie zrobiła tego z powodu zimnego wiatru? Chyba obawiała się, że będzie po prostu jedną z tych zdolnych tłumaczek, które zjawiają się o dziewiątej trzydzieści, a wychodzą o siedemnastej, wykonując w tym czasie tylko ściśle tę pracę, za którą im płacą? Czy nie odczuwała, że to niewystarczające? Wystarczyło to przecież innym tłumaczom – czterem mężczyznom i jednej kobiecie. Oni też w dalszym ciągu tkwili przy tym zajęciu, wykazując swoje umiejętności, podczas gdy Kate została awansowana: może dlatego, że pozwoliła sobie na wytworzenie atmosfery życzliwej gotowości, która została skrzętnie „wyłowiona” przez aparat biurokratyczny organizacji? Czy ci panowie zdawali sobie sprawę, dlaczego ją wybrali jako opiekunkę grupy delegatów w Turcji? Mówili o niej: „Osoba pełna ciepła”. „Sympatyczna”. *Simpatika*.

Najlepszym miejscem, by spokojnie posiedzieć, była ta wielka sala wypełniona stolikami, niezatłoczona jednak – przestrzeni było tam wystarczająco dużo;

aż dziw, że to ruchliwe miejsce mogło być jednocześnie tak bardzo prywatne. Dużo bardziej niż pokój w mieszkaniu na Burke Street, gdzie jej koleżanka pragnęła z nią gawędzić, kiedy wracała do domu wieczorem, a rano częstowała ją herbatą i tostami; słowem, czuła się samotna. Ona również uważała Kate Brown za osobę sympatyczną.

Ale i tutaj możliwości odcięcia się od ludzi były coraz mniejsze, ponieważ miejsce to zaczynało zmieniać swój charakter, przejawiając nowe cechy, wiele charakterystycznych nici. Przedtem, kiedy wpadała tu w pośpiechu między sesjami tłumaczeń, aby zjeść kanapkę czy coś solidniejszego albo wypić kawę, wszystko wydawało się przypadkowe i niepowiązane. Tak było, ponieważ czuła się oszołomiona. A teraz, kiedy przyzwyczaiła się do tego miejsca, trudno było siedzieć tu, nie pograżając się w przyjemnych rozważaniach nad atrakcyjnością tej nowej klasy międzynarodowych urzędników – w większości młodych lub dość młodych, a jeśli w wieku średnim, to dojrzałych w sposób nowoczesny, ze starością jak nieprzyjacielem trzymanym w szachu. Łatwo zatracić wszelki obiektywizm, podziwiając ubrania, makijaż, teatralny kontrast między tyłoma brązowymi, różowymi i żółtymi twarzami. Co za harmonia! Jak bardzo pociągający był to obraz; tak z pewnością będzie wyglądała przyszłość: grupy wysoko cywilizowanych istot, przyjaznych i niewalczących ze sobą, uprzedzając grzecznych i uprzejmym w stosunku do siebie, choćby nawet w czasie sesji wokół stołów konferencyjnych tkwiły nadal w pętach narodowych waśni.



Nici seksualne były oczywiście najłatwiejsze do zauważenia – jak zawsze, przelotne związki fizyczne i przyjaźnie towarzyszące obradom międzynarodowych konferencji i komitetów.

Dziewczęta pracujące w biurze organizacji rekrutowały się z klas średnich czy wyższych – „konferencyjne dziewczęta”, jak to powiadają i jak faktycznie mówiło się tu o nich. Charlie Cooper często powtarzał: „Te wszystkie konferencyjne dziewczęta, które zatrudniamy, to czystej wody perły. Co byśmy bez nich robili?” Pracowały tutaj nie po to, by złapać mężów – Boże broń; we właściwym czasie poślubiały chłopców ze swojej sfery, tu zaś chciały nacieszyć się „interesującą pracą”. To oznaczało oczywiście towarzystwo atrakcyjnych mężczyzn i kobiet z kilkunastu różnych krajów oraz możliwość otrzymania pracy w jednym lub kilku z tych krajów. Charlie Cooper zresztą określał to z łagodną nutą skargi: „Naprawdę, wydaje mi się czasem, że prowadzimy tu biuro zatrudnienia dla wyższych sfer”. Oznaczało to przebywanie wśród mężczyzn do pozazdrosczenia, jeśli nie interesujące przygody miłosne. Delegatom, którzy przepływali przez ten budynek, jak przewidziane w czasie i dobrze ujęte w karby fale przyływu, dziewczęta te stwarzały możliwości bywania w najlepszych restauracjach i teatrach w towarzystwie kobiet, romansów bez zobowiązań, wyboru najatrakcyjniejszych sekretarek do swoich biur w Nowym Jorku, Lagos czy Buenos Aires. (Na tak długo, aż Emma czy Jane zdecydują, że już nadeszła pora na reaklimatyzację).

To miejsce było jak teatr, jeśli człowiek siedział tu cicho i w sposób możliwie najbardziej niewidoczny.

Następnego dnia miał rozpocząć obrady nowy komitet – „Artykuły żywnościowe dla Trzeciego Świata”. Konferencja miała być dużo skromniejsza niż wielka impreza zaplanowana w Turcji, ale delegaci przybywali już z Europy każdym możliwym statkiem. I oto przed jedenastą rano wszystkie sekretarki i dziewczęta z Biura Prasowego siedziały już na sali, pojedynczo lub parami, nie patrząc na drzwi, przez które mieli wejść ich partnerzy do spraw seksu i przyjaźni na następny miesiąc czy dłużej. Delegaci wszystkich rozmiarów, kolorów, kształtów i odcieni zjawiali się – na ogół pojedynczo. Dwie drużyny mierzyły się wzrokiem (trudno było nie traktować ich w kategoriach sportowych – do biegu gotowi, start!). Był to zręczny proces szacowania: wiek, stopień sprawności fizycznej, sposób ubierania, prawdopodobna efektywność seksualna – szybko zostały ocenione w wielu spojrzeniach. Potem zaczął się etap mieszania się dwóch grup.

– Czy mogę tu usiąść? Jestem Fred Wanaker z Nowego Jorku.

– Panna Hanover? Moje nazwisko – Hesukia, z Ghany.

Przy końcu pierwszego dnia niektóre pary już się odseparowały, a co do innych można było przewidzieć, jaki nastąpi podział.

To był prawdziwy teatr – nawet coś lepszego, skoro sama była jednym z uczestników.

Chociaż wcale nie chciała nim być; wyjeżdżała przecież do Konstantynopola, gdzie na pewno będzie pracować zbyt intensywnie, aby mieć czas na myślenie; a w tej chwili nie chciała, by odrywano ją od rozmy-



ślań. Wiedziała teraz, z całą pewnością, że powinna była powiedzieć: „nie” Charliemu Cooperowi i tym wielkim zarobkom i urządzić się w Londynie sama, w jakimś cichym pokoju. Całkowicie sama.

Tymczasem, chociaż jej wewnętrzny termostat był nastawiony na „chłodno”, musiała odparowywać oferty. Częstotliwość, z jaką mężczyźni o skórze czarnej, brązowej, oliwkowej czy różowej oferowali siebie, pytając: „Czy to miejsce jest wolne?” – sprawiła, że spróbowała spojrzeć na siebie z daleka, z przeciwległej strony pokoju, skąd ci mężczyźni ją widzieli. Jak już przedtem w wielu lustrach, zobaczyła kobietę o zaskakujących ciemnorudych włosach, bardzo białej karnacji i miłych oczach wiernego spaniela. (Niechć do zaspokajania swojej wewnętrznej potrzeby kochania i dawania sprawiła, że nazywała siebie psem lub niewolnikiem: miała przeświadczenie, że to było czymś nowym dla niej). A przecież ta kobieta, do której podchodziło tylu mężczyzn, była o dwadzieścia lat starsza od wielu tych dziewcząt. Oznaczało to, że na pierwszy rzut oka (poprzez pokój, gdzie przewijało się tyle osób) nie wyglądała na swoje czterdzieści kilka lat. Była w okresie prolongowanej młodości, dla której kobiety świata poświęcają tyle czasu i wysiłków. (Lub raczej – jak coraz częściej myślała i co stawało się jej obsesją – kobiety z bogatych narodów świata, niewyglądające staro w wieku trzydziestu lat). Jeśli obserwowała z uwagą, niezaslepiona przez własną próżność czy stronniczość, widziała wyraźnie, że mężczyzna zbliżający się do niej, niezależnie od swojego wieku, przechodzi moment niemal niedostrzegalnego wahania, gdy zauważał, że nie jest

już (jak pewnie wyglądała z odległości) – trzydziestolatką. Ale po tym zawahaniu i wprawnym zlustrowaniu jej okiem profesjonalisty (podrywacza czy fotografa), jakim ludzie taksują się wzajemnie przy spotkaniach na targowisku seksualnym lub zawodowym, mężczyzna zawsze siadał przy niej i sprawiał wrażenie całkiem zadowolonego z tego, co znajdował: miłą towarzyszkę przy kawiarnianym stole. Tak więc wydawało się, że jej wewnętrzny termostat jest posłuszny jej nakazom.

Nie przychodziła jednak tutaj dla tego rodzaju przyjemności, chociaż na pewno było to przyjemne. Chciała posiedzieć w spokoju, odprężyć się, pomyśleć... Musi zdziałać coś więcej, niż regulować tylko temperaturę w ten sposób, aby mężczyźni oceniali ją jako dobrą towarzyszkę. Ale co? Czy powinna zaprzestać malowania się oraz zacząć nosić stroje dla starszych pań i starać się wyglądać brzydko? (Kate stojąc wobec kobiecego dylematu, popadła w krańcowość; inne, równie krańcowe ujęcie demonstrowała młoda dziewczyna – która skróciła sobie spódniczkę do bioder, rozpięła bluzkę na piersiach i spędziła dwie godziny na makijażu. „Ten wstrętny mężczyzna bez przerwy wpatruje się we mnie, co on sobie wyobraża, że kim jestem?” Lub też inna modna osobka, która sprawiła sobie dekolty do pasa, pozostawiając plecy zupełnie gołe; mężczyznę, za przyglądanie się jej wdziękowi, karci zimnym spojrzeniem. „Jesteś gburem” – stwierdzają jej oczy spod rzęs).

No więc, oczywiście, nonsensem było spodziewać się, aby Kate przeobraziła się w starą kobietę po prostu dlatego, że... Wkrótce odkryła, że jeśli chce być sama, powinna siedzieć brzydko, skulona, w postawie



zniechęcającej, krzyżując nogi w sposób nieelegancki. Jeśli tak postępowała, mężczyźni jej nie widzieli. Mogłaby przysiąc, że tak jest. Siedząc porządnie, czujnie, z nogami ułożonymi wdzięcznie, dawała sygnał. Wcisnięta w swój fotel jak obwisły worek wiedziała, że ktoś usiądzie obok niej, tylko jeśli wszystkie miejsca w kawiarni będą zajęte. A i wtedy łatwo można było odzyskać swoją samotność, rozluźniając mięśnie twarzy i ukazując oblicze zgaszone i przywiedle.

Było to naprawdę zadziwiające. Oto siedzi tu Kate Brown, zupełnie taka sama, jaka była zawsze – jej osobowość, jej umysł, jej świadomość – obserwująca świat spoza swojej zewnętrznej powłoki, bardzo niewiele różniącej się od tej, którą miała w wieku lat szesnastu i którą zachowała do tej pory. Problem leży więc tylko w brzydkiej postawie, w zgięciu pleców i przybraniu wyglądu mówiącego: „No więc, jeśli koniecznie...” – i oto mężczyźni nie widzą jej. To wprowadzało zamieszanie w jej uczucia, tak jakby coś nagle wymknęło się z ustalonego porządku. Była bowiem świadoma, całkowicie świadoma, tak pewna, jakby to był najważniejszy problem jej życia, że osoba, która siedzi tu, obserwując salę, niedostrzegana czy ignorowana przez mężczyzn, którzy w innym momencie ciągnęliby do niej tłumnie, nie różni się w najmniejszym stopniu od tej osoby, która mogłaby ich wszystkich sprowadzić ku sobie znowu, korygując swój wygląd: usta, układ mięśni twarzy, spojrzenie, linię pleców i ramion.

To właśnie odczuwa chyba aktor czy aktorka; jak bardzo wyczerpująca musi być ta świadomość własnej osobowości pulsującej pod tyłoma różnymi maskami.

Z bardzo daleka zobaczyła dawną Kate Ferreirę w jej cienkiej, białej haftowanej sukience, opartą o kolumnę werandy, na której ustawione są skrzynie z białymi liliami. Dziewczyna uśmiecha się do młodych ludzi. Uśmiecha się do ich twarzy, ale oczy tych mężczyzn obejmują ją całą. Przez otwarte okna bawialni wychodzące na werandę dziewczyna widzi starą Marię, gospodynię w domu dziadka, która szydełkuje, siedząc w pozycji umożliwiającej jej obserwowanie Kate i mężczyzn. Tego samego dnia Maria powiedziała do niej: „Nie powinnaś siedzieć ze spódniczką tak wysoko podciągniętą”. Spódniczka odsłaniała kolano Kate. Poprzedniego dnia ubrana była w czerwone szorty do gry w tenisa i Maria stwierdziła, że wygląda ślicznie. Zeszłej zimy Kate zarejestrowała podobną scenę z jej własną córką; Eileen przez cały dzień miała na sobie krótką spódniczkę sięgającą połowy uda. Wieczorem ubrana była w długą suknię do ziemi i kiedy siedząc na podłodze, zauważyła, że któryś z mężczyzn patrzy na jej kostki, instynktownie obciągnęła suknię w dół, zakrywając stopy, a mężczyznę obrzuciła spojrzeniem pełnym urazy.

Tamta dziewczyna na werandzie – czy była „sympatyczna”, czy była „osobą pełną ciepła”?

Prawdopodobnie nie. Czy te cechy nie uformowały się w niej na skutek trwającej bez końca dyscypliny w pełnieniu obowiązków żony, matki i gospodyni domu? Gdyby będąc już w Turcji, zachowywała się jak niewidzialna, ze swoim termostatem nastawionym na „chłodno”, i gdyby również przestała być „sympatyczna” i nie chciała matkować delegatom, co by wtedy



nastąpiło? Otóż najbardziej interesujące było to, że ludzie, którzy ją zaangażowali – mogłaby przysiąc – nie mieli w ogóle pojęcia, dlaczego ją angażują, dlaczego upierają się tak bardzo przy tym, aby pozostała. Tak, Charlie Cooper – mężczyzna – posiadał dokładnie tę samą cechę co Kate. A więc oznaczało to, że i on nie wie, dlaczego otrzymał swoją posadę?

Jedną z tłumaczek, która musiała wyjechać, w wyniku czego Kate została sprowadzona, aby tu przesiedzieć, była kobieta w średnim wieku, o której Charlie mówił, że jest „warta tyle złota, ile waży”. Kate usiłując dowiedzieć się dokładnie, jakie są jej zalety, potrafiła tylko wydobyć z niego takie stwierdzenie: „Starsze kobiety mają dużo więcej cierpliwości niż młode”.

W Komitecie, przy którym Kate pracowała jako tłumaczka, jednym z delegatów była kobieta – Murzynka z Afryki Północnej. Była wysoka, elegancka, dowcipna, sztywnie ubrana, chłodna, dystygowana. Czasem nosiła suknie narodowe swojego kraju, w których wyglądała jak wspaniały ptak, a czasem suknie z Paryża. Była inna niż Kate; obie stwierdziłyby zgodnie, że nie mają żadnych cech wspólnych. Jednakże rzuciło się w oczy, że kiedy czarna kobieta była nieobecna na obradach, sprawy nie toczyły się tak gładko. Nie miał chyba nic wspólnego z tym faktem jej sposób bycia – obojętny, niesympatyczny i w żadnym razie niezmiernie do łagodzenia spraw. Dostarczała ona jednak swojemu komitetowi tej samej pożywki co Kate sprawom organizacyjnym i problemom drugorzędnym.

Gdyby ona, Kate Brown, została stałym pracownikiem tej instytucji, jakie byłyby jej rzeczywiste funkcje?

Otóż jedna rzecz jest pewna: spędzałaby nieskończenie wiele czasu, rozmawiając z Charliem Cooperem, pijąc z nim kawę i konferując z ludźmi na temat zorganizowania tej czy innej sprawy. Pracując.

Gdyby istotnie tu pozostała, zapewne wkrótce odziedziczyłaby posadę Charliego, który – co wydaje się regułą – zostałby awansowany. Ona pasowałaby do nowej roli; ale Charlie, gdzieś wyżej, czułby się prawdopodobnie źle, nie na miejscu, zagubiony, i nigdy by się nie zorientował, dlaczego tak jest.

Jego prawdziwą umiejętnością było dostarczanie – jak królowa termitów – jakiegoś niewidocznego fluidu czy psychicznej emanacji, która wypełnia gniazdo, łącząc w całość resztę osobników, być może niemających żadnej innej spójni.

Takie właśnie było zadanie kobiet w rodzinach – i taka była rola Kate w życiu. Wypełniała razem z piękną młodą Afrykanką tę funkcję w Komitecie, który właśnie zakończył swoje obrady. Miała znowu spełniać to zadanie w Turcji. Był to jej nawyk, w który się wciągnęła. Zaczynała rozumieć, że może przyjąć posadę w tej organizacji czy w jakiejś innej, podobnej, z tej tylko przyczyny, że nie jest w stanie wyłączyć się z roli dostarczyciela niewidocznej manny, pociechy, ciepła, zrozumienia. Wcale nie dlatego, żeby potrzebowała posady albo pragnęła pracować. Została zaprogramowana jak maszyna przez fakt dwudziestoparoletniego bycia żoną i matką.

W rogu ruchliwej, hałaśliwej sali siedziała w skupieniu kobieta, trzymając w wypielęgnowanych, lecz doświadczonych rękach gazetę, z oczami spuszczo-



mi w dół, nieco przygarbiona; jej ramiona przyjęły pozycję obronną przed tym chłodem, który odczuwała jagnię wynurzające się z wilgotnego ciepła łona na zamrzniętą ziemię, w podmuchach miotającego śniegiem wiatru.

Łatwo byłoby, oczywiście, uchronić się od tego zimnego wiatru: mogłaby to robić bez końca. Przez lata jeszcze nie byłoby to trudne. Musiałaby tylko zakomunikować rodzinie wiadomość – którą, wiedziała, przyjęliby z ulgą – że zdecydowała się podjąć pracę. No, a potem znaleźć właściwą posadę. Może tutaj, dlaczego nie? Jakie zajęcie mogłoby być bardziej pożyteczne niż praca w organizacji „Żywność dla Świata”? Staralaby się wtedy rozwinąć w sobie tę postać, która była samym ciepłem i czarem kobiecym, tę osobowość, która nie miała z nią nic wspólnego, nic z prawdziwych cech osoby, która siedziała, obserwowała i notowała wszystko w pamięci kobiety o brązowych oczach, wypiełgnowanej skórze i ciężkich zwojach kasztanowych włosów.

Przez trzy tygodnie jednak czy miesiąc będzie zbyt zajęta, aby móc myśleć o tych sprawach: będzie troszczyła się o innych. A jutro o tej porze – rozmyślała w wigilię swojego wyjazdu do Konstantynopola – to, co odczuwa i myśli teraz, jej wnioski z trzydniowej, dobrze strzeżonej samotności będą wydawały się bardzo odległe. Prawdopodobnie jedyne, co w najlepszym razie zdoła uczynić, to zapamiętać, że doszła przedtem do tych wniosków – zasadniczych dla niej – których powinna się trzymać. Nawet jeśli nie będzie w stanie pamiętać o nich dłużej niż kilka chwil wyrwanych w każdym, przeładowanym pracą dniu.

Tej nocy znowu nawiedził ją sen o focie – dalszy ciąg poprzedniego. Zjawiając się po raz drugi, sygnalizował swoją wagę. Zapomniała prawie połowę pierwszej części; teraz musi ją sobie przypomnieć... martwiła się tym w trakcie snu, nawet kiedy zdarzenia już się toczyły.

Foka była ciężka i śliska. Trudno było utrzymać ją w ramionach. Kate szła, zataczając się wśród poszarpanych skał. Gdzie jest woda, gdzie jest morze? Czy na pewno idzie we właściwym kierunku? Uczucie paniki, że wybrała zły kierunek, popchnęło ją do skręcenia na prawo, płaskim zboczem wzgórza; szła tak przez pewien czas, ale foka zaczęła się zachowywać niespokojnie, więc Kate zdała sobie sprawę, że poprzedni kierunek był właściwy. Znowu ruszyła na północ. Biedna foka miała blizny po obu stronach tułowia: czołgała się po ziemi, aby dostać się do morza, i poraniła się na skałach i kamienistym gruncie. Kate martwiła się, że nie ma przy sobie żadnej maści na te rany, z których niektóre były świeże i krwawiące. Wiele było również blizn po starych ranach. Możliwe, że niektóre niskie krzewy wyrastające spośród kamieni miały właściwości lecznicze. Ostrożnie położyła na ziemi fokę – która oparła głowę o jej stopy – po czym pochyłona zaczęła zrywać czubki rosnących poniżej krzewów. Nie miała możliwości zgniecenia ich na papkę, więc przeżuła je i wypłula płyn na rany foki. Miała wrażenie, że goją się natychmiast, ale nie mogła się zatrzymać, aby sporządzić następne porcje, znowu więc podniosła fokę i brnęła z nią dalej.

Kate wiedziała naturalnie, że przerzucenie jej z jednej bezosobowej i ugrzecznionej organizacji do drugiej



jest tylko kwestią godzin, jeśli załatwia to bezosobowa i ugrzecznioma Linia Lotnicza. Międzynarodowe urzędy służby publicznej i sposób ich działania były jej znane, tak jak i wszystkim, dzięki radiu, telewizji i filmom. Ale sprawy przybrały inny obrót. W przeddzień odjazdu strajk został definitywnie odwołany, więc Kate była pewna, że nazajutrz odleci do Konstantynopola; następnego dnia rano zaczął się jednak strajk personelu administracyjnego. Kate pojechała pociągiem do Paryża, gdzie spodziewała się złapać samolot do Rzymu; w Paryżu poinformowano ją, że drogi dojazdowe do lotniska są zablokowane z powodu demonstracji pracowników cudzoziemskich, głównie hiszpańskich i włoskich, wobec czego odlot tego dnia jest mało prawdopodobny. Wsiadła więc w pociąg do Rzymu. Tam musiała zmienić dotychczasowy środek lokomocji na inny – czyli przenieść się z pociągu na samolot. Było dużo zamieszania, postojów na skutek korków ulicznych, różnego rodzaju poślizgów czasowych, ale w końcu udało się uzyskać połączenie; jednakże dość późno. Dopiero w Turcji znalazła się w warunkach, których się spodziewała: lśniące auto powiozło ją samą przez tłum ludzi, którzy nigdy nie mogliby marzyć o przejeździe takim samochodem, chyba że ich pracę polegałoby na prowadzeniu go lub remontowaniu; chroniona przed otoczeniem szczelną osłoną, która pozwalała jej tylko widzieć, rozmawiała z szoferem po francusku. Hotel był podobny w stylu i duchu do budynku organizacji „Żywność dla Świata”. Jej pokój był równie bez wyrazu jak ten, który opuściła. Jednakże z powodu tak wielkiego opóźnienia w podróży przybyła do hotelu

w tym samym czasie co delegaci i mnóstwo drobnych, koniecznych spraw nie zostało załatwionych; brakowało też jednego tłumacza. Ograniczyła się tylko do dopilnowania, aby jej bagaż zaniecono do pokoju, i zaraz przedstawiła się delegatom: wszelkie pretensje zgni-skowały się na niej; uosabiała teraz ducha nieudolności i narzekali na nią wszyscy delegaci w całym wielkim hotelu – tak samo jak ona sama narzekała wczoraj i przedwczoraj w Londynie, Paryżu i w Rzymie.

Całe piętro zostało oddane do celów konferen-cyjnych. Wielki pokój, w którym miały się odbywać obrady, był podobny do tego, który tak niedawno opuściła; myślała o nim nieomal jak o własnym domu. Ściany do samego sufitu wyłożone były błyszczącym drewnem, natomiast gruby dywan zastąpiła podłoga z płytek o wzorze skopiowanym z meczetu. Na środku pokoju stał wielki stół, tym razem prostokątny, wyposażony w słuchawki, przełączniki i przyciski. Jej zadaniem było teraz dopilnowanie, aby przy każdym miejscu stały szklanki i woda, leżały ołówki i papier do bazgrania podczas godzin nudy, kiedy delegaci przemawiają zbyt długo. Ale nie zajmowała się tym sama; musiała upewnić się, że pracownik hotelowy, który miał o to zadbać, nie zapomniał o niczym. Nazywał się Ahmed – młody człowiek, tęgawy i blady, zawsze miły i uśmiechnięty – jej odpowiednik, jej sprzymierzeniec, jej brat. Mówił po francusku, niemiecku i angielsku; cieszył się, że znała te języki, których mu brakowało – a więc włoski i portugalski. Wiedział wszystko na temat spraw hotelowych, nie uczestniczył jednak do tej pory w obsłudze konferencji – a raczej będąc obeznany



jest tylko kwestią godzin, jeśli załatwia to bezosobowa i ugrzecznioma Linia Lotnicza. Międzynarodowe urzędy służby publicznej i sposób ich działania były jej znane, tak jak i wszystkim, dzięki radiu, telewizji i filmom. Ale sprawy przybrały inny obrót. W przeddzień odjazdu strajk został definitywnie odwołany, więc Kate była pewna, że nazajutrz odleci do Konstantynopola; następnego dnia rano zaczął się jednak strajk personelu administracyjnego. Kate pojechała pociągiem do Paryża, gdzie spodziewała się złapać samolot do Rzymu; w Paryżu poinformowano ją, że drogi dojazdowe do lotniska są zablokowane z powodu demonstracji pracowników cudzoziemskich, głównie hiszpańskich i włoskich, wobec czego odlot tego dnia jest mało prawdopodobny. Wsiadła więc w pociąg do Rzymu. Tam musiała zmienić dotychczasowy środek lokomocji na inny – czyli przenieść się z pociągu na samolot. Było dużo zamieszania, postojów na skutek korków ulicznych, różnego rodzaju poślizgów czasowych, ale w końcu udało się uzyskać połączenie; jednakże dość późno. Dopiero w Turcji znalazła się w warunkach, których się spodziewała: lśniące auto powiozło ją samą przez tłum ludzi, którzy nigdy nie mogliby marzyć o przejażdżce takim samochodem, chyba że ich praca polegałaby na prowadzeniu go lub remontowaniu; chroniona przed otoczeniem szczelną osłoną, która pozwalała jej tylko widzieć, rozmawiała z szoferem po francusku. Hotel był podobny w stylu i duchu do budynku organizacji „Żywność dla Świata”. Jej pokój był równie bez wyrazu jak ten, który opuściła. Jednakże z powodu tak wielkiego opóźnienia w podróży przybyła do hotelu

w tym samym czasie co delegaci i mnóstwo drobnych, koniecznych spraw nie zostało załatwionych; brakowało też jednego tłumacza. Ograniczyła się tylko do dopilnowania, aby jej bagaż zaniecono do pokoju, i zaraz przedstawiła się delegatom: wszelkie pretensje zogniskowały się na niej; uosabiała teraz ducha nieudolności i narzekali na nią wszyscy delegaci w całym wielkim hotelu – tak samo jak ona sama narzekała wczoraj i przedwczoraj w Londynie, Paryżu i w Rzymie.

Całe piętro zostało oddane do celów konferencyjnych. Wielki pokój, w którym miały się odbywać obrady, był podobny do tego, który tak niedawno opuściła; myślała o nim nieomal jak o własnym domu. Ściany do samego sufitu wyłożone były błyszczącym drewnem, natomiast gruby dywan zastąpiła podłoga z płytek o wzorze skopiowanym z meczetu. Na środku pokoju stał wielki stół, tym razem prostokątny, wyposażony w słuchawki, przełączniki i przyciski. Jej zadaniem było teraz dopilnowanie, aby przy każdym miejscu stały szklanki i woda, leżały ołówki i papier do bazgrania podczas godzin nudy, kiedy delegaci przemawiają zbyt długo. Ale nie zajmowała się tym sama; musiała upewnić się, że pracownik hotelowy, który miał o to zadbać, nie zapomniał o niczym. Nazywał się Ahmed – młody człowiek, tęgawy i blady, zawsze miły i uśmiechnięty – jej odpowiednik, jej sprzymierzeniec, jej brat. Mówił po francusku, niemiecku i angielsku; cieszył się, że znała te języki, których mu brakowało – a więc włoski i portugalski. Wiedział wszystko na temat spraw hotelowych, nie uczestniczył jednak do tej pory w obsłudze konferencji – a raczej będąc obeznany



tylko z konferencjami handlowymi, spodziewał się, że ta będzie inna. Rozmawiali ze sobą w tym lub innym języku. Kiedy chłopiec w liberii podszedł do Ahmeda, Kate usłyszała wypowiedziane po turecku polecenie i odpowiedź. Nie słyszała jeszcze tego języka od czasu, gdy przybyła do Turcji. Siedząc i rozmawiając z Ahmedem, stojąc i rozmawiając, chodząc i rozmawiając, układając plany dla zapewnienia wygody innym, słyszała tureckie słowa jak dźwięki przepływające obok niej, hałas z oddali, nic więcej. Wszędzie wokoło, poza tym hotelem, był świat, w którym jej uszy stawały się nagle głuche i otępiałe: język, którego nie знаła, otaczał ją niby szklane szyby – brudne, nieprzezroczyste, męczące; jej słuch wyęczał się przy każdej wymianie zdań między dwiema pokojówkami na korytarzu, gdyż czuła, że powinna zrozumieć, a jeśli nie rozumie, to jej własna wina... Bez Ahmeda byłaby jak część bezużytecznego mechanizmu.

Wiedział on wszystko o życiu nocnym miasta, restauracjach, tancerkach, meczetach, kościołach i odpowiednich krótkich wycieczkach w okolice Konstantynopola – sprawach użytecznych w tej właśnie kolejności. Miasto, oglądane w przelotnych spojrzeniach z wysokości kilkunastu pięter, było całe jednym wielkim, nęcącym blaskiem dachów i srebrzystej wody, i ulic, które tak jak mowa turecka znajdowały się gdzieś daleko i żyły własnym życiem; czuła, że powinna sięgnąć po nie, zrozumieć je... Kiedy stała przy oknie, jakiś ptak przeleciał na poziomie jej oczu... Nie widziała jeszcze nigdy takiego ptaka. Miała wrażenie, że jakiś nieznany świat stara się delikatnie przywołać ją ku sobie; patrzyła, jak ptak prze-

latuje nad wodą płynącą z Morza Czarnego ku wieżom i kopułom na drugim brzegu, podczas gdy Ahmed stał obok niej, czekając na odpowiedź co do dań, jakie należy przygotować, aby zadowolić upodobania przyjezdnych. Kiedy ostatni delegaci sfrunęli z różnych stron nieba, czekały na nich gotowe rozrywki, wycieczki, rozkosze kulturalne wszelkiego rodzaju, nie mówiąc o wielkich półmiskach z daniami narodowymi wielu krajów. Czuli się już zadowoleni, gdyż ci wszyscy mężczyźni i kobiety robili wrażenie prawie niezmęczonych, tak doświadczeni byli w przemierzaniu kontynentów, zjawianiu się w czarujących strojach i z wyrazem nonszalancji w postawie, w gawędzeniu między sobą w kilkunastu językach. Było widać, że konferencja ta potoczy się przyjemnie i spokojnie. Delegaci lubili się. Zresztą zawsze tak było z tymi administratorami, z tymi uprzejmymi antagonistami, z tymi taktownymi rzecznikami narodowych interesów. Niezależnie bowiem od tego, jak dobitnie wyrażali swoje niezadowolenie, siedząc wokół wielkich stołów, lub nawet oskarżali się wzajemnie o podwójną grę: „To wasz kraj zaraził pasożytami tegoroczne zbiory, ażeby zrujnować nasz handel...! Nie, cały świat wie doskonale, że wasze zbiory zostały zanieczyszczone pasożytami, ponieważ nie uprawiacie ich właściwie... Nie pozwalacie nikomu poza waszym krajem na uzyskiwanie korzyści, zawsze torpedujecie wszystko...! Wręcz przeciwnie, chcemy pomóc naszym nieszczęśliwym braciom w krajach zacofanych!” – tak, zupełnie tak samo jak sprzeczące się dzieci; a więc niezależnie od tego, jak intensywnie i jak często toczyły się takie sprzeczki, później, w hallach i barach, kawiarniach i restauracjach,



nie wspominając już o łózkach, istniało tylko wzajemne zrozumienie i zbratanie. To było oczywiste, ponieważ ludzie ci wykonywali tę samą pracę, spędzali swoje życie w identyczny sposób – wszystko ich łączyło.

Tego wieczoru Kate przyłączyła się do grupy zwiedzających, którzy choć byli globtroterami, nie mieli jednak do tej pory okazji przebywać w Konstantynopolu; zaraz też po opuszczeniu hotelu znalazła się w mieście legend, tajemnic i romantyczności, jak zgodnie z prawdą określały je wszystkie przewodniki w różnych językach, znanych jej i nieznanym. Grupa składała się z Madame Phiri, przystojnej i bardzo francuskiej czarnoskórej damy z Sierra Leone, z niejakiego pana Daniela z Brazylii i pana Ferrugii z Włoch. Zjedli obiad w tureckiej restauracji, gdyż przynajmniej tego od nich oczekiwano, zwiedzili dwa nocne lokale, podziwiając taniec brzucha i polyknięcie noży, oraz uzgodnili, że w najbliższym czasie ich czwórka wybierze się do miasteczka oddalonego od Konstantynopola o kilkadziesiąt kilometrów, gdzie odkryto niedawno interesujące zabytki starożytności. Kiedy rozstawali się w foyer hotelu, stwierdzili zgodnie, że był to wyjątkowo przyjemny wieczór: mówili o tym jak koneserzy, którymi w rzeczywistości byli. Tego wieczoru poszli spać wcześniej, to znaczy o pierwszej w nocy, ponieważ konferencja miała rozpocząć się nazajutrz.

Kate znalazła jednak czas, aby przed zaśnięciem pomyśleć o mężu; przypuszczała, że jest teraz w Chicago i spędza kilka dni ze swym dawnym kolegą, który wyemigrował do Stanów. Pomyślała również o swoich czworgu dzieciach. Zauważyła, że ból, który zjawiał się

wraz z tymi myślami, zniknął od razu; wiedziała, że weszła w fazę kwitnięcia, rozrastania się i pęcznienia, bo jest niezbędna i potrzebna; będzie teraz niezastąpiona przez cały dzień i większą część nocy.

I tak, każdego dnia, podczas kilku wolnych chwil obserwowała stopniowy wzrost swojej euforii – obserwowała to zupełnie na zimno. Była zbyt zajęta, aby zastanawiać się długo, mogła obecnie pozwolić sobie na myśli, które byłyby za ciężkie do zniesienia przy długotrwałych rozmyślaniach: jak bardzo uszczęśliwiona była jej rodzina, kiedy Kate stwierdziła, że jest zbyt zajęta konferencją w Londynie, więc nie może ich pakować, organizować i załatwiać ich spraw; w głosie Tima brzmiała wyraźna ulga, kiedy powiedziała: „Kochany, czy przygotowałeś wszystko na Norwegię? Przykro mi, ale jestem zbyt zajęta, aby...”

Faktem było, że jej wyobrażenie o sobie jako centrum rodziny, źródle niewidocznego fluidu, podobnego do tego, który wydziela królowa termitów, było nieaktualne już od trzech lub czterech lat. (Czy może zawodziła ją pamięć? Wydawało się jej coraz bardziej, że dysponuje wieloma zestawami wspomnień całkowicie sprzecznych ze sobą). Prawdą było, że przez dwa lata, przez trzy, może więcej – w każdym razie od kiedy dzieci dorosły – usychała, czuła się jak człowiek morzony głodem. Czy jej wspomnienia nie okazały się kłamliwe właśnie dlatego, że stan ten ciągnął się w czasie, był procesem narastającym i nigdy nie zaistniał moment, w którym mogła była powiedzieć: „Teraz są już dorośli, to stało się faktem”. Naturalnie, ta osoba morzona głodem nie była „prawdziwą” Kate; ta pozo-



stawiała jak zawsze, lub przynajmniej w swoich lepszych chwilach, poza sceną, oddając się obserwacjom, które często były nawet komiczne. Jednakże to pomniejszanie jej roli było dostatecznie bolesną sprawą; często siedziała w swoim pokoju, czując wzbierającą wściekłość na myśl o swojej okropnej krzywdzie. Ból z powodu niesprawiedliwości czał się przez wszystkie te lata. Ale nie pozwalała, by ją opanował, a jeśli nawet, to nie na długo. Natomiast troskliwie pielęgnowała w sobie obraz swojego małżeństwa, co było rezultatem mądrych dyskusji z mężem. (Może należałoby ten okres nazwać Fazą Dziesiątą lub Piętnastą?). Nie pozwalała sobie na bliższe analizowanie własnych uczuć – ironiczny uśmieszek był granicą, której nie przekraczała. Nie zniosłaby, aby to wszystko ją teraz zaatakowało. Kiedyś będzie musiała na to pozwolić! Ale teraz, na szczęście, była zbyt zajęta; i to w sposób jakże zadowalający próżność. Tutaj uśmiechali się do niej wszyscy – pokojówki i kelnerzy, dyrektor hotelu i kierownicy pięter, taksówkarze i tłumacze, szczególnie zaś Ahmed, który ją uwielbiał. Zupełnie tak samo jak ona jego. Łączyły ich stosunki dwóch eunuchów w haremie. Podtrzymywał ją, rozumiał wszystko, zaopatrywał we wszystko; Kate, wspólnie ze swoim bliźniaczym bratem Ahmedem, była bez wątpienia jedyną osobą zdolną uporać się ze wszystkimi problemami i potrzebami tych trudnych, utalentowanych, zepsutych dzieci, przyzwyczajonych do tego, aby im usługiwano – tych administratorów spraw międzynarodowych, tej nowej elity. Podczas obrad siedziała w pobliskim pokoju, aby zawsze służyć pomocą; w razie potrzeby była w swojej małej kabinie

gotowa na skinienie przełączyć francuski, włoski, angielski na portugalski; wszyscy delegaci, którzy mówili po portugalsku, gratulowali jej doskonałego wyczucia ducha ich języka. W czasie przerw na wypicie kawy czy czegoś innego, w porze posiłków, wszędzie, o każdej godzinie dnia i nocy była tutaj na miejscu – zawsze do dyspozycji, zawsze życzliwa – popularna Kate Brown.

Poprzedniego lata, gdy była w Ameryce, obserwowała to samo, co przeżywała teraz...

Cały kontynent usiany jest wariantami budowli podobnej do niewielkiego miasta, pokrytego jednym dachem; ciągnie się ona czasami kilometrami i podzielona jest na niezależne sektory, z których każdy służy jakiejś linii lotniczej. Niektóre z wielkich linii lotniczych zatrudniają dziewczęta takie same jak te występujące w czasie zjazdów i parad karnawałowych jako dobosze. Te dziewczęta, fantazyjnie ubrane, w jaskrawych kolorach, patrolują teren swojego sektora wzdłuż stanowisk odprawy pasażerów. Mają one udzielać informacji i być przewodniczkami po porcie lotniczym i rzeczywiście spełniają te funkcje, ale nie to jest ich zadaniem. Jest nim po prostu stworzenie atmosfery łatwo dostępnego i niewinnego erotyzmu. Nie prowokującego, trudnego czy skomplikowanego lub tajemniczego erotyzmu – Boże broń! Dziewczęta są atrakcyjne, ale bez szczególnego seksapilu. Zostały wybrane ze względu na swój przyjacielski, rzeński, naturalny powab kobiecy i oto są tu, spacerują tam i z powrotem – pojedynczo, dwójkami czy trójkami, uśmiechają się, uśmiechają, uśmiechają; kiedy się je obserwuje (na przykład, jeśli ktoś czeka godzinami na opóźniony odlot samolotu),



widać, jak wolno napelniają się wewnętrznym ciepłem. Są dosłownie odurzone własnym powabem, gdy poprzez ubiór i umiejscowienie w tłumie przyciągają tyle oczu ku sobie, oraz swoją funkcją publiczną i własną użytecznością. Uśmiechają się, uśmiechają, uśmiechają i wkrótce robi to wrażenie, jakby dziewczęta miały jedną po drugiej pofrunąć w górę, uniesione rozdymając je życzliwością, stale uzupełnianą na skutek skoncentrowanej na nich uwagi tylu ludzi. Tak, zaraz wyfruną przez okna portu lotniczego i będą, uśmiechnięte, balansować po niebie jak balony meteorologiczne wśród wznoszących się i schodzących w dół samolotów. A wewnątrz tych samolotów znajdują się dziewczęta zupełnie w takiej samej sytuacji: stewardesy, z których każda odurzona jest swoją pozycją publicznego dobroczyńcy i dostawcy uczuć. Inaczej jest w wielkich samolotach na międzynarodowych trasach, gdzie dziewczęta pracują ciężko, troszcząc się o pasażerów i przekazując im ciepło uczucia w formie konkretnej – przyrządzanych i podawanych posiłków; jednak w całej Ameryce dniem i nocą kursują małe, szybkie samoloty wypełnione dziewczętami, które nie mają prawie nic do roboty. Podają napoje. Kładą przed tobą z czułością i serdecznym uśmiechem tacę z opakowanym jedzeniem. Przez megafon przesyłają słowa pełne uczucia – „Kochamy was, potrzebujemy was, prosimy, zjawcie się tutaj znowu, prosimy, kochajcie nas”. I chodząc tam i z powrotem, tam i z powrotem, uśmiechają się, uśmiechają, podziwiane przez mężczyzn i kobiety. Ich zajęciem jest być obiektem podziwu. Kiedy poruszają się po kabinie, demonstrując siebie, gorączka rośnie. Na początku

lotu dziewczyna jest świeża i promienna, czując ogólną życzliwość; wkrótce jednak robi wrażenie, jakby miała za chwilę eksplodować na skutek wchłonięcia całego tego ładunku uwagi skoncentrowanej na sobie. Pęcznieje od niego; ma prawdopodobnie podwyższoną temperaturę – wygląda, że ma ją naprawdę, z tymi płonącymi policzkami i oczami błyszczącymi podnieceniem.

I uśmiecha się. Uśmiecha. Uśmiecha.

Można sobie wyobrazić, że kiedy po locie wraca do swojego pokoju, jest niespokojna, nie może siedzieć, nie może spać, nie może przestać się uśmiechać, nie może jeść. Jest zbyt podniecona, nie potrafi się wyłączyć. Jeśli ma jakiegoś przyjaciela, to czy jego biedna, nijaka miłość może wytrzymać konkurencję z tym, co otrzymywała od bardzo wielu mężczyzn w ciągu całego dnia? A wyobraźcie sobie, co się dzieje, kiedy ta nieszczęsna istota wychodzi za mąż! A to naturalnie zawsze następuje szybko: liczba małżeństw jest wielka w tym zawodzie, jak również liczba rozwodów. Przez rok, dwa, trzy lata – co najwyżej sześć – dziewczyna jest stale wystawiona na pokaz, ogniskuje przez cały dzień setki par oczu; jest zbiornikiem podziwu, pragnień i zazdrości, producentem ciepła, osłody i troski. A potem wychodzi za mąż. Musi to być chyba podobne do schodzenia ze sceny, gdzie oklaskuje cię tysiące ludzi, do małego, ciemnego pokoju. Prawdopodobnie dziewczyna nie ma pojęcia, dlaczego czuje się jak bąk, którego puszczano i puszczano, a potem zostawiono, aby kręcił się bez końca. Nie jest zdolna do introspekcji czy oceny siebie, ponieważ ktoś nadający się do takiej pracy jest na ogół naiwny. Nigdy w ciągu



całego życia nie przyjdzie jej na myśl, że wystawienie młodej kobiety jako celu ogólnego podziwu – na miesiące czy lata – jest rzeczą karygodną. Wychodzi za mąż, ponieważ małżeństwo w młodym wieku jest potwierdzeniem własnej wartości; a potem czuje się chyba tak, jakby miała w sobie narząd zdolny do absorbowania i wydzielania tysiąca watów Miłości, Dbłości, Pochlebstwa, i narząd ten działa na najwyższych obrotach, ale ona nie jest w stanie go wyłączyć. Co się z nią dzieje? Nie ma pojęcia. Dlaczego czuje się tak podrażniona, dlaczego nie może odprężyć się, odpocząć, spać? Jest jak mała dziewczynka, którą dorośli podziwiali, ale znudzili się nią, odwrócili się i rozpoczęli pogawędkę, zapominając o niej, i teraz, niezależnie od tego, że dalej tańczy, uśmiecha się, pozuje i woła: „Patrzcie na mnie! Patrzcie na mnie!” – wydają się jej nie słyszeć. W końcu mówią: „Bądź cicho. Idź sobie i się pobaw”.

Ma bóle głowy. Jest zimna, a potem namiętnie oddaje się mężczyźnie, który czuje się, jakby miał rywala. Wkrótce następuje rozwód. Czasem ubiega się o swoją dawną posadę, ale jest już za stara. Straciła swoją niewymuszoną, szczenięcą żywotność i jej miejsce zostało zajęte przez dziewczynę, która dopiero co ukończyła szkołę.

Kate zdała sobie sprawę, że wkrótce nadejdzie połowa lipca. Konferencja zakończy się za parę dni, delegaci rozproszą się po świecie, a inni przybędą, aby debatować teraz na temat cholery.

Kate uśmiechała się, uśmiechała ogrzewana uznaniem otaczających ją ludzi, starając się swoim uczu-

ciem ogrzać każdego z nich; myśl, że wkrótce będzie już sama, sprawiła, że jej objawy życzliwości stały się przesadne. Znała tego przyczynę. Była to panika. Uśmiechy nabrały zbytnej intensywności. A może było to coś innego: ofiarowywała to, co miała do darrowania, tak jak robiła to od początku konferencji, ale teraz, w sytuacji gdy każdy myślał tylko o pakowaniu się i odjeździe, może było tego za dużo. Ujrzała siebie poprzez reakcję Ahmeda – oto kobieta działająca wydajnie, pełna energii, pogodna, ale wirująca w kółko; w kółko jak maszyna, którą ktoś powinien wyłączyć; Ahmed proponował jej proszki od bólu głowy, zwierzał się, że sam też na to cierpi, przy końcu podobnej imprezy jak ta nie może spać i żona narzeka. Kate pokazała mu fotografie swojej rodziny; on zaś jej – zdjęcie spokojnej, starannie upozowanej kobiety z małą dziewczynką siedzącą sztywno na jej kolanach; Kate wyczuła, że pokazanie tej fotografii było dla Ahmeda wydarzeniem. Scena ta miała miejsce w przerwie pracy, na górnym podeście schodów. Stali przy oknie, ponieważ Ahmed nie mógł siedzieć jak goście hotelowi i jak ona; tak samo, naturalnie, nie mógł towarzyszyć delegatom w czasie posiłków i wycieczek, co stale robiła Kate. Tak więc stała teraz obok Ahmeda i słuchała, jak mówi, że jeśli po zażyciu tego proszka pójdzie spać wcześniej, rano będzie mniej zdenerwowana.

Kate uważała, że nie jest to możliwe; środki uspokajające nie potrafią odsunąć w cień tego, co ją czeka w momencie, w którym pozwoli sobie na rozważania. Musi wrócić do Londynu, ulokować się gdzieś sama na dwa miesiące i przyjrzeć się w samotności swojemu



życiu. Oczywiście wielu mężczyzn i kobiet – z którymi się zaprzyjaźniła – zaprosiło ją do rozmaitych krajów; była to przyjaźń w stylu ich życia – przelotna, niewymagająca, tolerancyjna – przyjaźń, która w istocie była obojętnością. Nie krytykowała niczego. Nie stawiała żądań. Nie brała pod uwagę narodowych czy rasowych różnic, które wewnątrz tego zaczarowanego koła istniały chyba tylko po to, aby dostarczać przyjemnego dreszczyku podniecenia. Ta przyjaźń była też wyrozumiała, jeśli chodzi o sprawy seksualne. Serca nie pękały z bólu. Oczywiście, że nie; kariera miała tu dużo większe znaczenie niż miłość czy seks: tak prawdopodobnie będą wyglądały problemy seksualne w przyszłości; romantyczna miłość, tęsknota, wszelka rozpacz zostaną wygnane na zawsze w neurotyczną przeszłość. Tego rodzaju przyjaciele czy dawni i przyszli kochankowie mogli rozstać się w Buenos Aires po intensywnym, codziennym obcowaniu ze sobą, przez miesiące czy lata nie wymienić ani słowa lub nawet nie myśleć o sobie, a potem z dyskretnym i starannie wyważonym uczuciem zadowolenia spotkać się znowu w Rejkiawiku na ponowną sesję uregulowanych stosunków. Podobnie jak aktorzy i aktorki w sztuce, których przez krótki czas łączy intensywna i bliska zażyłość, a potem rozjeżdżają się, aby w dziesięć lat później spotkać się znowu w zupełnie innych kostiumach.

Może powinna pojechać do Sierra Leone z czarującą Madame Phiri? Dlaczego nie? Lub zostać tutaj; nie działała w Turcji nic poza spożywaniem bardzo dobrego jedzenia w wielu restauracjach i zwiedzeniem dwóch meczetów i jednego kościoła. Ale Turcja nie jest

miejszem dla samotnej kobiety. Gdyby to był Paryż lub Rzym, to może... Tutaj nie byłaby w stanie jeździć sama do miast położonych w głębi kraju; lub raczej nie mogłaby – przy swoich nawykach długoletniej mężatki – jeździć tam bez mężczyzny.

Czekała w hallu hotelowym na Madame Phiri, która poprosiła ją o zamówienie wizyty w salonie fryzjerskim. Naturalnie personel hotelowy mógł, powinien nawet to zrobić, ale droga Kate była niezrównana w załatwianiu każdej sprawy.

Stała, czekając, a ludzie przechodzili obok niej, pozdrawiając ją i rozplywając się w uśmiechach. Droga Kate. Chère Catherine. Słodka Katia, Katinka i Kitty. Darling Katy, moja Catriona. Piękna Katlyn, Caterline, Kit i Catherine. Jekaterina, moja miłości, mój aniele Katy. Karen, nie wiem, co pocznę bez ciebie.

Będzie mi pani brak, pani Brown.

Uśmiechała się, uśmiechała, nucąc przy tym, ale bezgłośnie w duchu – nie bez odcienia hysterii:

Będzie mi pani brak, Mrs Brown!

Karmiłaś mnie, prowadziłaś mnie,  
dawałaś mi wszystko, co chciałem,  
ale teraz już jesteś poza nami. I będzie mi ciebie  
brak, droga pani Brown.

Ponieważ Madame Phiri zegnała się z kimś na górze, Kate musiała czekać na nią dużo dłużej, niż się spodziewała, i wtedy spostrzegła, że zbliża się do niej jakiś młody człowiek, którego twarz wydawała się jej znajoma; nim się w pełni zorientowała, zdążył zaprosić



ją na wycieczkę na następny dzień do Konyi. Wynajął już auto.

Pierwszy raz zobaczyła go tydzień temu na chodniku koło hotelu. Szczupły, ciemny młodzieniec w jasnym letnim garniturze, stał obrócony plecami do ruchliwej jezdni, mierząc wzrokiem od góry do dołu fasadę hotelu, tak jakby robił jej pomiary. Wyglądał na gościa hotelowego, nawet na delegata, ponieważ elegancja jego jasnego garnituru wyróżniała go spośród masy niedbale ubranych turystów. Później widziała go w kawiarni. Siedział przy sąsiednim stoliku z grupą młodych ludzi i wtedy wymienili z sobą parę zdań. Teraz ubrany był jak turysta i wydawał się podniecony. Jego ciemne i błyszczące włosy, zaczesane do tyłu, opadały swobodnie na kark. I nie był młodzieńcem, pomyliła się. Powiedział jej, że jest Amerykaninem, zwiedza Europę nie pierwszy już raz i planuje wyjazd do Hiszpanii, gdzie czuje się zawsze jak w domu. W to mogła uwierzyć; wyglądał na Hiszpana i w każdym południowym kraju musiał robić wrażenie człowieka miejscowego.

Powiedział, że nie mieszka w tym hotelu; był o wiele za drogi na jego kieszeń. Tak więc jego prośba, aby pojechała z nim jutro, nie była impulsem, ale rzeczą zaplanowaną? Powiedział, że gdy zobaczył ją w tej kawiarni, wywnioskował, co nie było trudne, gdzie najprawdopodobniej mieszka, zasięgnął informacji i oto tu jest. W tym samym czasie kiedy prezentował swoją zdawkową impulsywność, mówiąc: „Byłoby tak wspaniale, gdyby pani mogła znaleźć czas, ogromnie szkoda byłoby zmarnować wolne miejsce w samochodzie”

- jego oczy napotkały jej spojrzenie, wyrażając kpinę z sytuacji, z siebie samego, przy czym oczy te nie były wcale niespokojne. Ponieważ, naturalnie, w samochodzie mieli jechać tylko we dwoje. Obowiązki Kate kończyły się formalnie tego wieczora, to znaczy nie miała wątpliwości, że będzie zajęta aż do ostatniej minuty, jeśli pozwoli sobie na swój zwykły sposób bycia. Powiedziała, że chętnie z nim pojedzie, ale nagle ukazała się jej w wyobraźni Mary Finchley i przestrzegła Kate, żeby nie traciła rozumu. Posłuszna radom Mary już miała położyć kres swojej znajomości z młodym mężczyzną - nie tak młodym, jak wyglądał, zupełnie tak samo jak Kate, która nie wyglądała na tyle lat, ile naprawdę miała - ale oto zjawiała się Madame Phiri, o długich, sprężystych brązowych nogach i szalenie długich upierścienionych palcach. Idąc, skandowała gorące przeprosiny za spóźnienie.

Kate zauważyła badawcze spojrzenie młodego człowieka zwrócone na piękną kobietę. Nie było ono ukradkowe, pokorne czy zawstydzone: było to taksowanie uczciwe, ale nie agresywne, zostało też nagrodzone leciutkim, rozbawionym uśmiechem pani Phiri, nim majestatycznie wypłynęła ona z foyer: „Kate, kochanie, będę okropnie spóźniona...”

- Świetnie - powiedziała Kate - ale nie znam jeszcze pana imienia.

Miał na imię Jeffrey. Zapowiedział, że zatelefonuje do niej tego wieczoru, robiąc krok naprzód w kierunku uzurpowania sobie dalszych praw, z tą samą otwartą uczciwością przy deklarowaniu swoich intencji czy pragnień, która zyskała mu uśmiech Madame Phiri.



Wcale nie dotarli do Konyi. Wycieczka (w upale, pełna niewygód, przydługa, gdyż auto zepsuło się dwukrotnie, a w końcu stanęło na dobre) zbliżyła szybko tych dwoje do siebie; właśnie z powodu tylu niewygód, a również z powodu zastanawiania się, czy wsiąść do autobusu i kontynuować drogę, czy wynająć inny samochód. Młody człowiek naturalnie liczył na te niewygody i spodziewał się, że ona również liczy na nie, kiedy proponował jej wycieczkę. Nie obchodziło go to, że nie dotarli do Konyi. Ją obeszło, ale nie bardzo – było naprawdę szalenie gorąco, a droga pełna kurzu. Siedzieli, gawędząc, na tylnych siedzeniach, podczas gdy kierowca poszedł zorganizować inny środek transportu.

Mówili o nim. Pracował w reklamie w Nowym Jorku, urodził się w Bostonie. Był przystojny, inteligentny, zabawny, wykształcony. Miał również powaby nonkonformisty: cztery lata temu zdecydował się rzucić to, co ze zbytnią skwapliwością wyśmiewał sam, nazywając „mamoną reklamy”; podkreślał w ten sposób swoje walory dwukrotnie: raz, z powodu tego, że był współudziałowcem tej mamony, a drugi raz, że odwrócił się od niej, co zrobił już po trzech latach, ale bardzo korzystnych. Właśnie ten sukces, łatwość osiągnięcia tego sukcesu przeraziła go najbardziej. Tak więc „rzucił to”. Nie aby popaść w biedę lub hipisostwo – styl życia już raczej przestarzały – uważał, że jest na to zbyt dorosły. Miał zresztą zamożnych rodziców. Odwrócił się tylko od kariery i pewnego sposobu życia. Od tej pory spędzał dużo czasu na podróżach autostopem i życiu w namiotach w różnych krajach Europy. Miał teraz trzydzieści dwa lata.

Dla Kate było jasne, kiedy słuchała go tak jak któregoś ze swoich synów, że jest pełen niepokoju i konfliktów. „Porzucenie” nie stanowiło decyzji ostatecznej. Decyzje leżały przed nim. To całkiem zrozumiałe, kiedy człowiek rzuca wszystko w wieku lat dwudziestu lub dwudziestu pięciu. I całkiem w porządku, jeśli młody człowiek w ciągu lata żyje z dziewczyną, która mu się spodobała lub której on się spodobał; tak było w Mount Shasta, tak było w Vermont. Całkiem w porządku, jeśli wydaje pieniądze swojego zmarłego dziadka: z pośpiechem podkreślił, że to były „jego” pieniądze, a nie jego rodziców. Ale przekroczył już trzydziestkę. Nie wiedział, w jaki sposób chce dalej żyć; to było sednem sprawy. Tak samo jak dla Bóg jeden tylko wie ilu milionów młodych ludzi niemających pojęcia, co ze sobą zrobić, między którymi, chwała Bogu, nie było żadnego z jej synów, a w każdym razie jeszcze nie, chyba że Tim miałby stać się takim. To znaczy młodych ludzi z krajów zamożnych – z tej bogatszej jednej trzeciej świata. Młodzi z krajów zacofanych, ze świata głodnych i niewykształconych, nie mieli wyboru. Niewiedza, jak żyć, była prerogatywą bogatej młodzieży świata.

Wszystko to opisywał szczegółowo w swój suchy, zabawny sposób podczas jazdy do Konyi, a potem na tylnym siedzeniu auta, kiedy obserwowali sznur pojazdów przemierzających obok nich w kierunku Konyi, i potem siedząc na brzegu drogi, gdyż w aucie było zbyt gorąco. Ich kierowca dopiero po południu zdobył dla nich taksówkę, prowadzoną przez znajomego, która zawiozła ich z powrotem do Konstantynopola. Taksówka



była bardzo stara. Grzechotała i trzęsła. Jechali przez opadającą mgiełkę żółtego kurzu, która rozpromieniała i tak wspaniały zachód słońca. Jeffrey mówił. Najpierw poszli do restauracji. Musiała być tania, ponieważ to on zapraszał ją na obiad, a nie był pracownikiem żadnej organizacji. Potem znaleźli się w nocnym lokalu, gdzie ignorując śpiewaczki i pokazy tańca brzucha, mówił i mówił. Kate słuchała. Nade wszystko była umiejętną słuchaczką. Podczas gdy mówił, zastanawiała się, czy ma się zdecydować na pójście z nim do łóżka, czy nie. Przeprowadziła z Mary wyimaginowaną wymianę nieprzyzwoitych spostrzeżeń. Wiedziała, że mężczyzna, który by się starał zbliżyć do Mary, gdyby tu była, nie przypominałby w żadnym razie tego młodego człowieka. Mary w ogóle nie spojrzałaby na Jeffreya; okazałaby swoją niechęć na pewno z ostrym zniecierpliwieniem. Kate wyobraziła sobie, jak mówi: „A więc ku temu zmierzasz znowu, Kate. Co z tobą? Na miłość boską, jeśli masz zamiar dać się przyszpilić, no to zrób to!”

Gdyby Mary była w tym hotelu, w jej pokoju późno w nocy zjawiłby się jakiś kelner lub portier czy może gość hotelowy; zwróciłaby na niego uwagę w korytarzu, w windzie czy hallu; tam wymieniliby sygnały porozumiewawcze. Po nocy, którą Mary oceniłaby pozytywnie – jej instynkt był niezawodny – nie pomyślałaby o nim więcej. Lub powiedziałyby, na przykład: „Ach, ten, którego spotkałam na plaży w Hastings, on był całkiem dobry!”

Kate zgadzała się z tym, co mówiła zjawia Mary; wiedziała już, że ten kochanek, jeśliby się zdecydowała na taki obrót sprawy, wybrał sobie... słuchaczkę.

Teraz był odpowiedni czas na przemyślenie tematu, nad którym nie zastanawiała się dotąd wcale... Ale tu tkwiło nowe kłamstwo. Znowu fałszywe wspomnienie. Musi rozważyć uczciwie, jakie miejsce w udanym i zadowolającym małżeństwie państwa Brownów zajmowała niewierność małżeńska.

Odbite na taśmie wspomnień ich rozmowy precyzujące sprawę pasowały do rzeczywistości – no tak, do pewnego stopnia. Lekki, ironiczny grymas nie miał nic wspólnego z przepaścią pomiędzy założeniem a tym, co się zdarzyło. (A może tak? Kate czuła, jakby jeden zestaw wspomnień wypychał z jej umysłu drugi; tymczasem trwała przy tym zestawie, do którego była przyzwyczajona). Ich małżeństwo było szczęśliwe i zadowolające, ponieważ tak ona, jak i Michael zrozumieli, i to bardzo wcześnie, że uczucie niezadowolenia czy łaknienia, które jest nieuniknioną częścią każdego współczesnego małżeństwa – częścią wszystkiego – nie ma nic wspólnego z żadnym z partnerów. Ani z małżeństwem. Wykarmiło je i spotęgowało istniejące wyobrażenie o małżeństwie – nadzieje z nim związane wpojone ludziom w dużej mierze dlatego, że kanwa zwykłego życia jest cienka i niezadowolająca. (Z pewnością jest to nowe sformułowanie. Wyrugowało ono dawne. Jak przedtem mówiono? Że życie jest padołem leż?). Małżeństwo dźwigało na swoich barkach ciężar, którego nie mogło utrzymać. Wszystko to zostało dokładnie przedyskutowane na samym początku. Nie, jeszcze nie w Fazie Pierwszej, poświęconej rozkoszy, ani chyba w Fazie Drugiej... Bagatelizowała je obie, kiedy tak kpiła ze swojej i Michaela młodzieńczej naiwności.



ści; wkrótce wyrosli z tego namaszczenia, nie osiągając nawet Fazy Trzeciej, nie mówiąc już o Fазie Dziesiątej czy Piętnastej. A więc dobrze, ich zasługą było, że dość niedługo po ślubie uzgodnili, że nie będą obwiniać się nawzajem, jeśli jedno z nich nie zaspokoi wewnętrznego głodu tego drugiego. Czego więc łaknęli? Nie wiedzieli; zawsze byli zbyt zajęci, aby zadawać sobie to pytanie.

Kryzys nastąpił, kiedy Michael zakochał się nie szczęśliwie w młodszej koleżance ze szpitala. Do tego czasu małżeństwo wyszło obronną ręką z bardzo wielu napięć i niespodzianek. Trwało już dziesięć lat; urodziły się dzieci. Ta historia była tak wielkim wstrząsem dla uczuć Michaela i Kate, jeśli już nie dla ich umysłów, które łatwo pojmowały wszystkie zdarzenia, że nie powtórzyła się więcej. Albo raczej, nie w tej formie. Później zrozumiała – Michael pozwolił jej zrozumieć – że niekiedy, dyskretnie, z wielką dbałością o nieurazanie jej godności jako żony, miewał z młodymi kobietami romanse, które nie komplikowały życia tych pań: tego rodzaju romanse, jakie kwitną między delegatami i personelem zatrudnionym przy konferencjach wielkich organizacji światowych. Pogodziła się z tym, odczuwając ból, który był do zniesienia. Jednak ból okazał się większy niż reakcja, której oczekiwała w wyniku zaistniałej sytuacji – nie ona sama, ale część jej osobowości, ta, której, jak czuła, nie powinna aprobować. Małżeństwo jednak trwało nadal całkiem dobrze. Ku ich obopólnemu zdziwieniu, wobec tylu rozwodów wokół nich i małżeństw, które nie były w stanie wytrzymać próby niewierności...

W tym punkcie szablony myśli czy wspomnień Kate po prostu rozwiewały się. Coś z nich było prawdą: to, że mieli rację, nie oczekując zbyt wiele od siebie czy od małżeństwa. A jeśli chodzi o resztę – prawdą było, że straciła szacunek do męża. Jak to, przecież nie robił nic gorszego niż „każdy” inny mężczyzna w jego sytuacji? Ale uczucia Kate w stosunku do męża były teraz takie, jak do kogoś, kto ma słabość do słodczy i nie potrafi jej opanować. Zmalał w jej oczach; nie było co do tego wątpliwości. Miała teraz do niego stosunek macierzyński; niegdyś tak nie było. Zakochać się, przeżyć to boleśnie – to mogłaby zrozumieć, zdarzyło się jej to samo. Ale świadomie i rozmyślnie ułożyć sobie życie tak, jak to zrobił, naturalnie usprawiedliwiając się z tego przed nią, aby móc bez skrupułów raz po raz nawiązywać przelotne stosunki seksualne z rozmaitymi młodymi kobietami, które napotykał – to sprawiło, że wydawał się jej teraz tuzinkowy. A sposób, w jaki cesał się i ubierał... Gdy wrócił kiedyś z zagranicy po raz pierwszy, próbując cofnąć zegar co najmniej o piętnaście lat, przeżyła moment okropnego gniewu i odrzy. Wkrótce została naturalnie przekonana, że jest zazdrosna na skutek nie tyle wyjaśnień Michaela, ile tego, co jej wytykał. Było to uczucie małostkowe.

Od czasu gdy zrozumiała, że Michael postępuje w ten sposób i że należy dalej oczekiwać z jego strony tego samego, aż do chwili gdy się zestarzeje – chyba że będzie się trzymał w formie aż do śmierci, jak babcia, która farbuje sobie włosy i nosi krótkie spódniczki, tak aby ludzie mogli podziwiać jej wciąż niezmienione nogi – od tego czasu czuła, że jej własna wartość,



jej najgłębsza istota zostały znieważone. Nie umiała tego wytłumaczyć, ale było to faktem. Kate czuła się pomniejszona, ponieważ jej mąż, który był pod każdym względem dobrym i odpowiedzialnym mężem, postanowił doświadczyć nieskończonej liczby „przygód”, już ze swego założenia nieodpowiedzialnych i niemających żadnego innego celu poza zaspokajaniem potrzeb seksualnych. Wolałaby, aby zwierzył się jej – nie, nawet upierał się przy swoich prawach do prawdziwego uczucia – z istotnego związku z jakąś kobietą, nawet dwiema czy trzema kobietami, co wymagałaby pogłębionej i wzmocnionej lojalności również z jej strony. Wtedy byłoby inaczej, nie miałaby tego wrażenia, że otworzyła się w niej rana, z której wycieka jej istotna treść i siła; tak bowiem czuła, kiedy siedząc w swoim londyńskim domu, wiedziała, że on (w przerwach między prawdziwą pracą, swoją prawdziwą pasją) goni za tą czy inną seksualną przyjemnością. Wydawało jej się, wbrew wszelkim racjom i temu, co sugerowały starannie skonstruowane wspomnienia ich rozmów, że zgubił swoją drogę, zgubił swój cel.

Było głupotą tak sądzić. Była to ocena oderwana od realiów życia, było to naiwne i nieszlachetne. Wiedziała, co odparłaby na to Mary, gdyby się jej zwierzyła! Że to nie ma znaczenia. Jednakże odczuwała to w ten właśnie sposób. Nie miała zamiaru udawać, że czuje coś innego. Kilka dni temu powiedziała by, że niezależnie od tego, jakie uczucia, myśli czy nowe zapisy prawdy pojawiają się znowu, zdecydowała już zaprzestać niańczenia innych osób, gawędzenia i ustawicznego uśmiechania się, a teraz stoi oto przed

przygodą miłosną – u stóp góry, na którą wie już, że musi się wspiąć, tak jak każdy miłośnik górskich wycieczek musi pokonać jakiś określony szczyt. Ale jakiegokolwiek są te prawdy (a tak bardzo obawiała się stawić im czoło, że robiła wszystko, co możliwe, aby je odsunąć), z pewnością nie mają one nic wspólnego z faktem, że jej mąż miał tuziny trywialnych stosunków miłosnych z każdą kobietą, którą udało mu się zdobyć. Ta strata nastąpiła przed laty. Ale może to był punkt, od którego powinna zacząć (kiedy już pozwoliła sobie na rozważania): od swego przeświadczenia – dziecinnego, irracjonalnego, lecz absolutnie nie do obalenia, że to właśnie z powodu Michaela czuje się jak lalka, z której wolno wysypują się trociny.

Czuła się tak właśnie teraz, przyglądając się młodemu człowiekowi; siedząc, pochylał się ku niej w rozpaczliwej chęci otrzymania od niej – od kogokolwiek, kto by zechciał mu ofiarować – czegoś, za czym gonił i co sprawiało, że mówił, mówił, nie widząc jej wcale; zresztą takie doświadczenia miała już za sobą: starsza kobieta – młodszy mężczyzna!

Zgodnie z powszechnym doświadczeniem, ten rodzaj przygód miłosnych należy do najbardziej żarliwych, czułych, poetycznych, rozkosznych związków, jakie istnieją, słowem jest on najwyborniejszym daniem z całego menu. Z jednym tylko możliwym wariantem – starszy mężczyzna i młoda dziewczyna... (Jeśli miała przeżyć taką przygodę, tę tutaj – naprzeciwko niej, leżącą tuż przed nią, czy było to z powodu Michaela? Czy jej brak woli, chwiejna postawa, obawa, że nie zdoła powiedzieć „nie”, że nie potrafi postąpić tak jak



powinna – nie wynika z faktu, że została nakręcona przez Michaela jak jakaś maszyna?). Powszechne doświadczenia są prawdziwe. Ale ona już raz to przeżyła. Partnerzy byli wtedy doskonale dobrani: ona miała trzydzieści pięć lat, on – dwadzieścia. I było to tajemnicą; żywa dusza o tym nie wiedziała. Sprawa została zdumiewająco zniweczona przez okoliczności, zaprawiona słodką goryczą, z góry przesądzona i skazana.

To Goethe, a raczej Goethe interpretowany przez swoje alter ego, Tomasza Manna, powiedział, że pocałunek jest esencją miłości. W swoim czasie „przeniknął ją” dostatecznie – jak mówił – ale sprawą istotną pozostał pocałunek.

Trzeba być trzydziestopięcioletnią kobietą z mężem i dziećmi, którzy nie spuszcza ją z oka przez cały dzień i noc, aby zrozumieć, że w tych warunkach pocałunek musi wystarczyć. Nie, w rzeczywistości był jeszcze rozkoszny weekend, osiągnięty kosztem Bóg wie ilu starań, zabiegów i kłamstw, ale oceniając z perspektywy lat, z pewnością nie seks grał tu rolę najważniejszą. Żadna kobieta przy zdrowych zmysłach nie wdaje się w romans z chłopcem z uwagi na sprawy seksu – strefę, gdzie dojrzałość jest warunkiem koniecznym: jej pożycie seksualne z Michałem było wymarzone. A raczej było niegdyś... Jakie jest więc teraz? Pod względem fizycznym – oczywiście cudowne. A uczuciowo? Ale dlaczego miałoby to mieć jakieś znaczenie? Mary ryknęłaby śmiechem na samo przypuszczenie, że powinno to coś znaczyć. (Myślała teraz o Mary więcej niż wtedy, gdy mieszkała naprzeciwko niej). Było faktem, że od czasu kiedy wiedziała o tych starannie planowanych

przygodach Michaela z innymi kobietami, jej pożycie seksualne z nim było czymś, co – nie nudziło jej, nie – ale co z pewnością akceptowała coraz bardziej niechętnie. Przypominało spożywanie ciężkiego posiłku, wtedy gdy człowiek nie czuje się głodny... Jej seksualne chęci nie były mniejsze – czy może jednak? Jeśli tak, dlaczego miała wrażenie, że przyznanie się do tego oznaczałoby stwierdzenie bankructwa? Ale tak naprawdę to pragnęła stosunków, jakie istniały w przeszłości, wtedy kiedy w niej i w małżeństwie znajdował zaspokojenie swych potrzeb, swój cel: znajdował je pomimo dzieci, ciężaru obowiązków domowych, trosk i wszystkiego innego. Niegdyś wiedziała, że życie jej męża opiera się na niej, na tym, co razem odkrywali, i że pożycie seksualne jest tu sprawą najważniejszą.

Przygoda, przed którą teraz stanęła, na pewno nie będzie kwestią subtelnych uczuć i niezwyklej udręki. Ten młodzieniec był za stary. Był również za bardzo światowy. Był wreszcie zbyt krytyczny w stosunku do siebie.

Ale podobał się jej. I był wyjątkowo zabawny, szczególnie kiedy świadomie dręczył się sprawą niezliczonych możliwości wyboru stylu życia, kanwą zwykłego życia – tego padółu łez.

Tej nocy jednak rozstali się za obopólną zgodą: jego żądanie, aby poszła z nim do pokoju, zostało odłożone do następnego wieczoru.

Położyła się spać sama, myśląc o tym, że we wszystkich pokojach wokół niej delegaci żegnają się teraz ze sobą, po tygodniach przyjemnych kontaktów seksualnych czy towarzyskich: bez wątpienia rozkoszne po-



żegnania, których doświadczyłaby również, gdyby była taka jak Mary... Jeffrey jest zbyt młody dla niej; nie, za stary; w każdym razie nie jest we właściwym wieku. Gdyby miał dwadzieścia do dwudziestu pięciu lat – tak, byłby wtedy jeszcze „młodym człowiekiem” przy jej zaawansowanej dojrzałości. Od trzydziestu pięciu lat w górę byłby bliski jej „pod względem wieku”, używając jego powiedzeń. Ale trzydzieści dwa... Czy powinno się oceniać ludzi według ich przypuszczalnej postawy wynikającej tylko z właściwości pewnego wieku – liczby przeżytych przez nich lat – ze względu na fazę ich rozwoju jako ssaków czy członków społeczności ludzkiej? A więc w ten sposób większość ludzi wykracza poza te ramy. Jeffrey przy swoich trzydziestu dwóch latach, zgodnie z prawami swego społeczeństwa, powinien być opętany manią „torowania sobie drogi w świecie”, zawarcia korzystnego małżeństwa, jeśli do tej pory się nie ożenił, założenia rodziny. Nie zrobił żadnej z tych rzeczy, ale nie uwolnił się również od presji otoczenia. Widział ten problem jako prosty wybór... albo, albo: „Albo znajdę właściwą posadę, ożenię się, stworzę sobie dom i będę miał dzieci, albo będę nadal dryfował tu i tam. Połowa moich przyjaciół ma posady i żony, i dzieci; inni nie mają żadnych obowiązków i nie chcą się ich podjąć. Do której grupy mam dołączyć? Wolność czy potrzask i sidła interesów handlowych?” W jego dylemacie i w nim samym było coś bardzo staromodnego. Gdyby tylko zechciał, mógłby mieć pracę: nie musiał należeć do legionów bezrobotnych. A przy tym miał swoje prywatne dochody.

Mimo to podobał się jej naprawdę.

Powinna pojechać prosto do Anglii, zatrzymać się w domu jakichś przyjaciół lub wynająć sobie pokój – naturalnie to drugie było lepsze, w domach przyjaciół byłaby znowu zajęta bez przerwy pomaganiem i nianieniem – a więc wziąć pokój, siedzieć tam spokojnie i pozwolić, aby zimny wiatr dmuchał tak silnie, jak mu się podoba!

Czuła, jakby ciągnął ją jakiś prąd podwodny – to miało coś wspólnego z jej mężem, ale po co go winić? Nie mogła winić go za to, jaka była teraz, jaką się stała; nie powinna jechać do Hiszpanii z Jeffreyem, nie powinna iść z nim do łóżka. Wiedziała już, że z perspektywy czasu związek z Jeffreyem Mertonem będzie się jej wydawał tylko jałowym powtórzeniem. Ale w tym stanie ducha nie czuła się na siłach, aby wrócić do Londynu i zamieszkać sama w wynajętym pokoju.

Jak tylko zasnęła, zaczęła śnić. Siedziała w kinie. Oglądała film, który widziała przedtem – widziała go w życiu na jawie – dwukrotnie. Obserwowała sekwencję z nieszczęśliwym żółciem morskim, który na skutek wybuchu bomby atomowej na wyspie na Pacyfiku stracił poczucie kierunku i zamiast po złożeniu jajek wrócić do morza, jak dyktuje natura, maszeruje w głąb lądu pozbawionego wody, gdzie musi zginąć. Siedziała w ciemnym kinie, przyglądając się, jak nieszczęsne zwierzę spokojnie oddalało się od morza ku własnej śmierci, i myślała: Boże, foka, moja biedna foka, jestem za nią odpowiedzialna, to jest właśnie moim zadaniem, gdzie jest foka? Myśląc o tym, zdawała sobie sprawę, że śni, a w tym śnie szuka innego snu, tego o focie; skoro nie może nic zrobić dla biednego żółwia, który



ma zginąć, musi chociaż uratować fokę; ale zupełnie tak samo jakby zawędrowała w jakimś domu do niewłaściwego pokoju, znalazła się teraz w niewłaściwym śnie i nie była w stanie otworzyć drzwi do właściwego... Gdzie jest foka? Czy leży opuszczona na suchych skałach i czeka, wypatruje jej swoimi ciemnymi oczami?

Następny dzień spędziła, pomagając delegatom załatwiać sprawy związane z powrotem do rodzin; w rzeczywistości nie musiała tego robić, zakończyła już pracę, ale postępowała zgodnie ze swoją naturą. W nocy, kiedy wszyscy już się rozjechali w różne strony świata, znalazła się wśród tych hotelowych gości, co to prześlizgują się ze swoich pokoi do cudzych i wracają dyskretnie do siebie przed wschodem słońca, zanim pokojówki zjawią się na korytarzach.

Spędziła noc z Jeffreyem i zgodziła się wyjechać z nim do Hiszpanii na cały sierpień. Oczywiście szaleństwem była wyprawa do Hiszpanii w sierpniu; ale szaleństwem było również podróżowanie po Europie w sierpniu. Ludzie rozsądni odbywali swoje podróże w miesiącach późniejszych. Łatwo jednak będzie się teraz dostać do środka kraju, omijając wybrzeże. Tam czekała na nich prawdziwa Hiszpania – kraina niezniszczalna, jak twierdził Jeffrey, który znał ją dobrze.

## Urlop

Trzydziestego pierwszego lipca wyszła z wielkiego, lśniącego hotelu w Konstantynopolu, jednym krokiem opuszczając świat międzynarodowych zrzeszeń i planowania, konferencji i wielkich organizacji – atmosferę pieniędzy, które choć niewidoczne, są tak wielkie, że przestają już być ważne. Kawa i ciastka zjedzone przez nią tuż przed opuszczeniem hotelu kosztowały dwa funty, ale nie przeszło jej nawet przez myśl, aby zapytać o cenę. Na chodniku wdała się od razu w żywą sprzeczkę w trzech językach z taksówkarzem, bo wykazywał chęć oszukania jej na kilka pensów.

Miała tylko jedną walizkę, gdyż była wprawna w pakowaniu po tylu latach kupowania i pakowania rzeczy dla czworga dzieci, zwłaszcza że należała do tej klasy, która ma do nabycia wszystko najlepsze – pochodzące z całego świata – na ladach sklepowych głównych ulic. Parę swoich nowych eleganckich sukienek oddała Ahmedowi dla żony, upewniwszy się, że obie noszą ten sam rozmiar: obserwując, jak ich dotyka drżącymi palcami z wyrazem niedowierzania pomieszanego z ledwo hamowaną urazą – nie do niej chyba, lecz do losu raczej – zdała sobie sprawę, ile



taktu i opanowania wykazał w swej pracy z nią przez miniony miesiąc.

Weszła do samolotu ubrana w sukienkę jaskrawo-różowego koloru, który klócił się akurat we właściwym stopniu z jej ciemnorudymi włosami i białą skórą, zupełnie nieprzyjmującą opalenizny – co już wyglądało prowokująco wśród ludzi z natury ciemnych lub szybko brązowiejących. Miała ze sobą „Paris Match”, „Oggi”, „Guardian”, „Time Magazine”, „Le Monde”. Jeffrey kupił „Paris Tribune”, „International Times”, „Christian Science Monitor”.

Nim przeczytali te wszystkie gazety, byli już w Gibraltarze, a kilka godzin później sączyli aperitify w Maladze.

Znowu słuch jej wytężał się boleśnie – hiszpański był dużo gorszy niż turecki, gdyż znała dobrze język najbliższy mu brzmieniem. Wszędzie wokół niej mówiono językami, które rozumiała bez trudu: hiszpański dochodził spoza tej głównej sceny pijących gości i kelnerów, znowu w zakulisowych szeptach i odległych dźwiękach. Hiszpanie byli statystami i drugoplanowymi aktorami na swoim własnym wybrzeżu.

Co roku od początku czerwca słoneczne wybrzeże zapelniało się ludźmi. Obecnie półwysep był tak zapchany, że z lotu ptaka musiał chyba wyglądać jak zapadający się pod tym ciężarem skrawek lądu otoczony wodami: błękitem Morza Śródziemnego z jednej strony i szarością Atlantyku z drugiej. Wkrótce woda zatopi te miliony ludzi, a wraz z nimi ich kolorowe ubrania, parasole, okulary przeciwsłoneczne; ich hotele, nocne lokale i restauracje.

Przy stoliku między kwitnącym krzewem hibiskusa i olownicą, która w sztucznym świetle lamp miała kwiaty popielate, a nie niebieskie, siedziała ta para odwrócona tyłem do tłumu, nie patrząc na ludzi; od czasu do czasu ich ręce dotykały się lub spletały w uścisku. Raz lub dwa razy pocałowali się nawet, ale lekko, z pewnym rozbawieniem, w sposób zupełnie przyzwoity. Widać było, jak odbiegają wzrokiem od siebie, rzucając przeciągle spojrzenia – nie na tłum, którego byli częścią – ale w dół, w kierunku plaży, gdzie zabawiały się stada młodych ludzi z wielu krajów. Nie bawili się w morzu, nie; to niestety stało się przyjemnością problematyczną; wody, które migotały w blasku księżyca tak normalnie jak zawsze, kryły teraz zbyt wiele niebezpieczeństw. Plażowicze powstrzymywali się od wchodzenia do wody. Prawie wszyscy. Jedna lub dwie osoby pływały, demonstrując swoją ufność lub obojętność: zanurzenie własnego ciała w wodach tych wybrzeży stało się manifestem. Można było wywnioskować, jaka jest czyjaś postawa wobec przyszłości, z faktu, co wybiera z menu lub czy decyduje się na pływanie albo pozwala swoim dzieciom, aby zanurzyły stopy w morzu. W restauracji mężczyzna zamawiał teraz danie z ryb łowionych w pobliżu, z tym samym szerokim gestem i spojrzeniem oznajmiającym sali: „Mam dziś ochotę popelnić szaleństwo!” – które niegdyś towarzyszyły zamówieniu szampana w restauracji, gdzie szampan nieczęsto był podawany. Dziewczyna, która wchodziła do wody w ciepły ranek, wywoływała spojrzenia, grymasy i wzruszenia ramion. „Ta się nie boi. Ale to nie dla mnie, ja bym nie ryzykował”. Lecz choć powstrzymywano się



od wchodzenia do tego ciepłego morza, gdzie niegdyś ludzie pływali i baraszkowali przez pół nocy, młodzi z kilkunastu krajów tańczyli teraz przy gitarach wzdłuż brzegu na przestrzeni setek kilometrów.

Spojrzenia pary przy stoliku były zdecydowanie smutne: jego, ponieważ bardzo chętnie przyłączyłby się do tej sceny; jej, bo myślała o swoich dzieciach. Obserwowała również swego towarzysza, tak jak obserwuje się kogoś, kto tęskni – gotowa w każdej chwili okazać pomoc, gdyby wyczuła, że jest potrzebna.

Był szczupły, młody, przystojny, ale nie wyróżniał się, ponieważ z włosów i karnacji sądząc, można go było zaliczyć do mieszkańców tego wybrzeża – wszystkich o brązowych oczach, przylizanych ciemnych włosach, oliwkowej cerze. Ale było tak do momentu, dopóki nie zaczął mówić.

Kobieta, starsza od niego, bardziej rzuciła się w oczy, ponieważ jej towarzysz tak bardzo pasował do scenerii. Była rudowłosa. Miała śnieżnobiałą skórę i oczy brązowe jak ciemne winogrona. Zabawną i przyjemną twarz otaczały włosy doskonale ostrzyżone, wy-modelowane i wyszczotkowane, opadające tak ciężką falą, że patrząc na nie, człowiek odczuwał ciężar na swoich dłoniach. Tak mógł chyba odczuwać człowiek, który potrafi kochać; natomiast kelnerzy widzieli tylko, ile takie uczesanie musiało kosztować, ile kosztowała jej suknia, i ich nadzieje na większy napiwek wzrastały automatycznie.

Para ta stanowiła chyba cel obserwacji... była istotnie obserwowana dokładnie, ze znawstwem. Przyglądano im się uważnie na lotnisku, kiedy wychodzili z samo-

lotu, i w małym autobusie, gdzie siedzieli obok siebie wśród współpasażerów, i potem od momentu, kiedy pojawili się w hotelu; ich pokój został zarezerwowany telefonicznie z Turcji przez organizację „Żywność dla Świata”. Zostali zbadani, zaopatrzeni w etykiety, skatalogowani, wciągnięci do rejestru przez znawców, których zajęcie w czasie letnich miesięcy polega wyłącznie na obserwowaniu i ocenianiu przyjezdnych.

Przyjezdni z grubsza dzielili się na trzy kategorie. Pierwszą stanowiły grupowe wycieczki posegregowane już w swoich krajach macierzystych – w Anglii, Holandii, Niemczech czy Finlandii – które podróżowały razem autokarem lub samolotem, mieszkaly tu razem i wracały w jednej grupie. Ci byli najłatwiejsi do otak-sowania – tak pod względem finansowym, jak i cech osobistych. Kierownikowi hotelu czy kelnerowi wystarczyło pięć minut umiejętnej obserwacji, ażeby ocenić i uplasować każdą osobę w grupie. Następną kategorię stanowiła międzynarodowa młodzież, która wędrowała wzdłuż wybrzeża w stadach, trochę jak ptaki czy zwierzęta, w atmosferze zjadłej samowystarczalności i zadowolenia z siebie. Byli oni dekoracyjni, wywoływali zawsze gwałtowne uczucia – zazdrości, dezaprobaty, podziwu i tym podobne – ale na ogół nie przynosili większych zysków: można jednak było liczyć, że kiedy dorosną, dołączą do Grupy Pierwszej lub Trzeciej. Trzecia, najmniejsza klasa, do której niegdyś zaliczali się wszyscy turyści – składała się z samotników lub par czy rodzin podróżujących razem i pasjonujących się indywidualnym organizowaniem wycieczek. Dla ekspertów w przemyśle turystycznym z usposobieniem



filozoficznym lub hazardowym ci ludzie byli najciekawszy, ponieważ mogli okazać się wszystkim – bogaczami lub biedakami, ekscentrykami, kryminalistami, odludkami. Wśród nich najwięcej było oczywiście par kochanków – to znaczy, jeśli nie brało się pod uwagę młodzieży, która z natury rzeczy była na etapie zaabsorbowania miłością czy seksem. Pary niezaślubione, które podróżowały razem, były naturalnie dużo liczniejsze niż kiedyś. Zupełnie tak samo jak bikini lub nawet gołe kolana czy obnażone ramiona były pięć czy dziesięć lat temu surowo zabronione, co głośno nawet napisy na plażach i tarasach – funkcjonariusze *guardia civile* wciąż sprawdzali, czy przepisy są przestrzegane – a teraz wszystkie te nakazy i zakazy stopniały pod naciskiem Pieniądza, tak i zanikło również ciche „nie”, które uniemożliwiała niezaślubionym parom podróżującą razem wejście do hotelu i zamówienie pokoju. Jednakże i wtedy było to możliwe; robiono to, ale z wielką dyskrecją, nieraz uciekając się do oszustwa. Teraz wszędzie wzdłuż rozpalonego wybrzeża, podczas miesięcy bachanalii, młodzi dokazywali i kochali się na piasku lub – jeśli z usposobienia byli hazardzistami – w ciepłych, zdradliwych, coraz bardziej cuchnących wodach, robiąc to niekiedy tak otwarcie jak koty i psy; stało się też rzeczą normalną dla kierownika hotelu – dobrego katolika i dobrego ojca rodziny, który w życiu prywatnym nie chciałby rozmawiać z kobietą podejrzaną o taką zbrodnię, a córkę, gdyby go zhańbiła nieślubnym związkiem, wyrzuciłby z domu – przyjmowanie do swoich czystych i cieszących się nieskazitelną opinią lokali, do swoich łóżek czy barów kobiet w to-

warzystwie mężczyzn, niebędących ich mężami. Ten człowiek uśmiechał się teraz, kłaniał, życzył im dobrego dnia, dobrej nocy i dobrego apetytu, bez najmniejszej nuty dezaprobaty, bez cienia wyrzutu – no, może z leciutką nutką wystarczającą, aby dać do zrozumienia, że tylko względy ekonomiczne mogły go do tego zmusić, ale mimo wszystko on (kierownik) zdaje sobie sprawę z niemoralności ich związku, nawet jeśli żywi ich i udziela im schronienia. Tyle jeszcze pozostało mu honoru i przyzwoitości, że wszystko to przekazywał, ale w tak delikatnych niuansach, że para mogła ich w ogóle nie zauważyć.

Para przybyła z Turcji została zakwalifikowana przez znawców jako niemoralna.

Co więcej, zaliczono ich do tradycyjnych par typu: starsza kobieta – młodszy mężczyzna. Urzędnik w recepcji hotelu zdziwił się dużą różnicą wieku, kiedy odebrał od nich paszporty, aby wpisać dane do księgi ewidencyjnej. Nie byli parą frywolną ani kłopotliwą; zachowywali się przyzwoicie i dyskretnie. W miłości istnieją jednak konwencje, a jedną z nich jest to, że taki szczególny związek – starsza kobieta – młodszy mężczyzna – powinien być przepełniony rozpaczą i romantyzmem. Lub przynajmniej bolesny. Tak jak niepisane, ale tyrańskie przepisy kodeksu uczuciowego sugerują, że tylko głęboka udręka może być usprawiedliwieniem dla tego stosunku, tak jałowego społecznie. Czy może być w ogóle tolerowany w tej formie niemal zdawkowej, wyraźnie zabarwionej humorem, tak jakby ci dwoje śmiali się z siebie? Czy są dla siebie obojętni? Z pewnością nie! Ich przyzwoite zachowanie było



wynikiem czegoś więcej niż dobrego wychowania – jak stwierdzili eksperci, o oczach podkrążonych doświadczeniami wielu sezonów letnich; umożliwiała im to po jednym rzucie oka na ludzi poznanie ich sfery, temperatury uczuć, stanu kasy. Może nie są oni jednakże parą kochanków? Nie mogą być matką i synem – nie, niemożliwe. Może bratem i siostrą? Nie, nikt by nie uwierzył, że jedno łono wydało na świat dwie tak różne istoty. A więc niedobre małżeństwo? Nie, brak w ich obcowaniu ze sobą tej zgodności nastrojów i ruchów, po czym poznać można małżeństwo, a poza tym dokumenty leżą na biurku. Nie ma innej możliwości, muszą być kochankami.

Tak też zostali osądzeni, jako ci z kategorii osób wymagających największej tolerancji ze strony obywateli kraju, którego własne kryteria były jeszcze surowe, gdzie mężczyźni byli nadal panami życia seksualnego kobiet; i jako ekscentrycy w ramach tej kategorii robili wrażenie niezakochanych kochanków, chociaż odgrywali swoje role, trzymając się za ręce lub wymieniając zdawkowy pocałunek. To właśnie powodowało lekki chłód i urazę kelnerów (którzy naturalnie nie zdawali sobie sprawy, że ujawniają swoje reakcje); w rezultacie pociągało to egzekwowanie od kochanków dużo większych napiwków niż od innych turystów.

Jeffrey był już w Hiszpanii trzy razy. Raz, kiedy miał dwadzieścia lat, bawił się na wybrzeżu tak, jak teraz bawiły się „dzieci”, które obserwował z takim smutkiem, że Kate – z wieloletnim doświadczeniem matki dopasowującej się stale do nastrojów innych osób – odczuwała ten smutek prawie jak własny. Patrzyła, jak obserwuje

on młode dziewczęta, wszystkie urodziwe lub wydające się urocze z powodu magii światła, oprawy intensywnie zabarwionego listowia, morza będącego jednym ruchomym blaskiem w poświacie księżyca – całej tej atmosfery letniego wybrzeża, chwytającej za serce tym mocniej, że odczuwało się jej ulotność i nietrwałość; to życie wybrzeża, przypływy ludzi, wielbienie słońca, smak morza były skazane na zagładę. Uważano powszechnie, że wkrótce skończą swój żywot na zawsze. Patrzyła, jak tęsknił za tym, co stracił – wolnością młodych ludzi, ich nieodpowiedzialnością – i sama odczuwała ciężar tego dylematu. Nie mógł być już z nimi. Zeszłe lato spędził w Holandii. Ale już wtedy czuł się nie na miejscu, wyobcowany. Po tamtym lecie wiedział, że nie może zejść z tarasu i zbliżyć się do śpiewającej i tańczącej grupy, jak wtedy „gdy był młody”; tak to ujął, chociaż naturalnie była to forma autoironii. Ale pragnął to zrobić, marzył, aby zniknąć w tym tłumie, gdzie tak mało stawiano żądań. Myślał i mówił w swój zabawny, samounicestwiający sposób, w którym odczuwało się jednak bolesną nutę, że może powinien zdecydować się na zostanie „hipisem w średnim wieku” – dlaczegoż by nie? Człowiek i tak zawsze jest śmieszny, nie na miejscu, cokolwiek by robił, dlaczego więc nie być wykolejencem w sposób, który sprawiał przyjemność? Ale naturalnie to by mu nie sprawiało przyjemności. Przeszkodą było jego wychowanie: „Moje uwikłanie społeczne, niech je diabli, to mnie powstrzymuje!”

Mając dwadzieścia pięć lat, przyjechał do Hiszpanii po skończeniu uczelni i przez długie ciepłe miesiące – od maja do listopada – mieszkał na wybrzeżu



w tanim pensjonacie z dziewczyną o imieniu Stephanie. Byli najpierw bardzo szczęśliwi, potem mniej szczęśliwi, wreszcie dziewczyna odjechała z młodym Niemcem, którego poznała na plaży, i napisała do Jeffreya, że był nieodpowiedzialny, samolubny, mało troskliwy, konserwatywny. W końcu poślubiła aplikanta z prawniczego biura jej ojca w Cedar Rapids, w stanie Iowa.

Dwa lata temu przyjechał tu znowu na lato i cały czas spędził w Kordobie i Sewilli na podziwianiu flamenco, które uwielbiał. Marzył o tym, aby stać się tancerzem flamenco, tak jak niektórzy marzą, aby stać się toreadorem, i czasem nawet nim zostają; Jeffrey był przekonany, że ma budowę ciała i temperament odpowiedni do flamenco. Powstrzymywało go jednak poczucie śmieszności (lub jego uwikłanie społeczne, które mogłoby być określone – szczególnie przez niego samego w złych momentach – jako tchórzostwo).

– Widzę już moich rodziców! Zjawiliby się i zażądali, żeby ich zaprowadzić do najbliższego obozowiska Cyganów. „Zaprowadźcie nas do Cyganów, ukradli naszego chłopaczka!”

A teraz był tu znowu, po raz czwarty, ale w sierpniu, co już wystarczyło w zupełności, aby czuł się obcokrajowcem, żółtodziobem. Tak jak każdy, kto spędził ponad miesiąc w jakimś kraju, radząc sobie sam bez wielkich pieniędzy, uważał się niemal za miejscowego; ponizające było dla niego przebywać tu w czasie, kiedy każdy Hiszpan myślał tylko o jednym: że ten kraj nie jest jego, że został czasowo sprzedany turystom.

W porównaniu z obrazem tego miejsca sprzed lat, gdy był tu po raz pierwszy, kraj wydawał się skorumpowany, zrujnowany, poniżony.

Dyskutowali o tym długo, obserwując opalonych chłopców i dziewczęta, którzy bawili się na skraju skażonej wody.

Kiedy przyjechał do Hiszpanii po raz pierwszy, na początku lat sześćdziesiątych, istniały tu takie cechy jak duma i godność osobista. Ludzie byli zawsze gotowi do drobnych usług, bez proszenia i nie żądając pieniędzy. Była jakaś wielkość w Hiszpanach, wykraczająca daleko poza komercjalizm, nawet na modnych już wybrzeżach. Czuło się człowieczeństwo... kaliber... głębiej... Zaczął się śmiać z siebie, ona roześmiała się również. Łzy napłynęły mu do oczu, z pewnością nie z żalu nad Hiszpanami.

Jeśli chodzi o Kate, to przyjechała tu autem ze swoim mężem i dziećmi na długie wakacje campingowe – trudno jej było przyznać, ale zmusiła się – przed prawie dwudziestu laty. Należeli do pierwszych turystów. Na wybrzeżu zapchanym obecnie hotelami i campingami nie było wtedy nic – zupełnie nic. Od cypla do cypla ciągnął się tylko piasek, a na nim trochę rzadkiej trawy; nieraz przez całe dni nie widzieli nikogo. Ona również pamiętała różnego rodzaju samorzutne uprzejmości ze strony mieszkańców; całkowicie zgadzała się z jego słowami – godność, duma i tak dalej...

Zaczął teraz opowiadać, jak w tamtych dniach, gdy tylko jakieś zagraniczne auto pojawiło się w mieście, chmara wyrostków i dzieci walczyła o przywilej pilnowania go przez całą noc za sześć pensów; jak



kilkanaście głodnych twarzy przylepiało się do szyb, ilekroć Brownowie jedli w restauracji swoje raczej skromne posiłki, tak że jej dzieci miały ilustracje do swoich bajek; zazwyczaj w tych bajkach mały, biedny chłopiec przygląda się bogatym, którzy ujęci litością zabierają go do swego domu i dobrej rodziny, lub wróżka zmienia jego los, przenosząc go z nędznej ulicy do raju. Opowiadała Jeffreyowi o dzieciach w łachmanach, bosych dzieciach z owrzodzonymi twarzami, po których spacerują muchy, dzieciach o wydętych z głodu brzuchach. Mówiąc, myślała, jak to niegdyś, nie tak dawno temu, fakty te wydawały się powierzchownym objawem zła, które wkrótce musi być naprawione dzięki powszechnemu zastosowaniu reguł zdrowego rozsądku; nie uważano ich wówczas za typowy przejaw sytuacji człowieka, która wkrótce miała się pogorszyć i stać się jeszcze bardziej beznadziejna. Myślała, że niegdyś rozmowa taka brzmiała niemal jak dyskusja nad projektem lepszego świata lub wyrażenie troski o dobro innych. Teraz brzmiała jak deklaracja gruboskórności. Za chwilę Jeffrey i ona będą licytować się wzajemnie w tej najbardziej popularnej w klasach średnich grze: które z nich zyskało więcej przez bliskie stykanie się z cierpieniem innych ludzi.

Nie była to jej własna myśl: sformułował ją jej syn, James. Wpadał we wściekłość zawsze, kiedy ktoś wspominał o ludziach ubogich – zazwyczaj Eileen lub Tim, którzy zajmowali się różnymi pracami dobroczynnymi. James widział jedno proste rozwiązanie: była nim rewolucja. Rozwiązanie na mniejszą skalę byłoby obel-

gą dla cierpiących biedaków i stratą czasu. Klasyczna rewolucja, taka jak u Fidela Castro.

Zresztą każde z czworga dzieci miało własne poglądy, różniące się całkowicie od opinii rodzeństwa. Zajmowali na przykład zupełnie odmienne postawy wobec turystyki, wobec niezmordowanego podróżowania po wielu krajach.

Najstarszy, Stephen, był pod pewnym względem najbardziej liberalny z całej czwórki. Jego postawa, że wszystkie rządy są równie reakcyjne, dawała mu swobodę podróżowania po całym świecie, zupełnie tak jak samolubom i ludziom obojętnym, których tak często atakował. Eileen, niezainteresowana polityką, podróżowała bez wyrzutów sumienia jak Stephen. James miał największe problemy z nich wszystkich: na przykład nie pojechałby do Grecji, ale w zeszłym roku odwiedził Hiszpanię, gdyż chciał, jak twierdził, poszerzyć swoje polityczne wykształcenie; Izrael uznawał za zbyt reżimowy, ale spokojnie przemierzał kraje dyktatur wojskowych na Bliskim i Środkowym Wschodzie. Tym uważał, że koniec cywilizacji jest blisko i że wkrótce ludzkość znajdzie się w epoce ogólnoswiatowego barbarzyństwa ujętego w formę światowej biurokracji, z których to paskudnych czasów spoglądać będziemy w przeszłość, na czasy teraźniejsze, jak na zaginiony złoty wiek; odbywał podróże jak ktoś rozkoszujący się ostatnią butelką rzadkiego wina.

A tymczasem ich matka siedzi z młodym kochankiem (nie było chyba na to innego słowa), pijąc aperitify na tarasie w Hiszpanii. Nazajutrz mieli iść na walkę



byków, ponieważ Jeffrey to uwielbiał. Ze względów estetycznych.

Nim ci dwoje udali się do swego pokoju, zeszli na plażę ścieżką pachnącą oleandrami, olejkami do opalania i uryną i stanęli na piasku na tym samym poziomie co ciżba młodzieży. Było już późno, półksiężyc stał wysoko ponad morzem, a tłum koło tarasów przersedzał się; niektórzy z młodych ułożyli się już do snu na noc i leżeli objęci – gdziekolwiek – pod osłoną skały, na rozpostartych ręcznikach, na śpiworach. Na trzcinowych matach rozłożonych na piasku niektórzy jeszcze tańczyli, z włosami rozwianymi, oczami świecącymi i sennymi. Przy samym morzu dziewczyna siedząca na skale jak syrena grała na gitarze, a grupa młodych śpiewała przy dźwiękach muzyki.

Kate starała się teraz nie patrzeć na swego towarzysza; wiedziała, że w tym stanie uczuciowego przeobrażenia, w jakim się znajdował, na pewno miałby jej za złe, że patrzy; robiła już porównanie z reakcjami swoich dzieci. Pamiętała jednak... nie, nie swoją młodość, było to zbyt dawno temu i zbyt inne, aby mogło być porównywane z obecną sytuacją. Myślała o tym okresie przed dziesięcioma laty, kiedy kochała się w młodym chłopcu. Tamten ból, tęsknota za czymś, co istniało poza barierą czasu, pasowało do tego, co odczuwał teraz Jeffrey. Przeżyła to i przeszła na drugą stronę – cóż, nie miała innego wyboru. Tak również będzie i z nim. Ale wbrew temu, co ludzie mówili o ostrości tego rodzaju doświadczeń, co nawet sama mówiła, nie lubiła wspominać tamtego okresu. Były to znowu fałszywe wspomnienia, upiększyła je

w swoich myślach, tworząc coś, co by pasowało do konwencji „starsza kobieta – młodszy mężczyzna”. Właściwie jednak było to poniżające. Tak, patrząc na te wszystkie piękne młode istoty w ruchu czy niedbale usadowione lub śpiące w pozycjach pełnych wdzięku, pomyślała, że ten czas był szalenie poniżający. Powód był prosty i dlatego stary Goethe (czy Mann) stwierdził, że „przeniknął miłość”. Długi okres małżeństwa, długie, dające zadowolenie pożycie stłumiło fizyczne odczucia seksualne, przekształcając je w zwykłe i łatwe wyrażenie emocji, pewien język uczuć; chłopiec jednak, nie mając w rzeczywistości żadnego doświadczenia seksualnego, rozumiał tylko romantyzm i fantazję. Jej erotyzm w stosunku do tamtego był przerażający – lub stałby się taki, gdyby go nie stłumiła, rozumiejąc, że gra miłosna jest dla dojrzałych, uświadamiając sobie przy pierwszych objawach zażenowania, że jest uzależniona od tej długiej miłosnej gry małżeńskiej. Przebywając z nim, czuła, jakby miała jakiś sekret lub ranę do ukrycia. Temu młodemu chłopakowi, w wieku owej dziewczyny w białej sukni (inna konwencja, jak stary portret: „Dziewczyna w białej sukni z liliami”), pocałunek wydawał się bramą do świata, który w istocie nie spełniał żadnych z jej wyobrażeń, dopóki nie spojrzała na ten świat oczami dwudziestolatka z prywatnej szkoły i z angielskiego uniwersytetu, bez doświadczenia, jeśli chodzi o kobiety.

Wiedziała, że nie powinna teraz zwiększać przynęby swojego towarzysza, w którym tak wiele było zwierzęcego wstydu (jak wtedy u niej, gdy chodziło o tamtego chłopca), że nie powinna dać mu do



zrozumienia, jak łatwo mogłaby dzielić z nim to, co on czuje.

Kiedy tak stali, nie dalej niż dwanaście kroków od młodych, ale całkowicie oddzieleni od nich, minęła ich jakaś dziewczyna; uśmiechając się do siebie, szurała bosymi stopami po piachu dla samej przyjemności takiego odczucia. Rzuciła wzrokiem na Jeffreya. Uśmiech zniknął i twarz, którą mu ukazała, była bez wyrazu; potem poszła dalej, uśmiechając się. Wyraz tej twarzy był dla Kate znajomy: taką minę ukazuje się komuś spoza swojej paczki, stada czy grupy. Dziewczyna była siedemnastolatką, wysoką, szczupłą, z opalonymi nogami, o długich czarnych włosach, czuło się w niej jakąś absolutną samowystarczalność. Kate starała się postawić na jej miejscu i ocenić Jeffreya jako człowieka w podeszłym wieku, zasługującego na takie spojrzenie. Udało jej się to, ale z trudnością. Kiedy była w wieku tej dziewczyny, tak samo patrzyła na mężczyzn powyżej dwudziestu pięciu lat. Przypomniła sobie z trudem, że te boskie istoty wydawały się przede wszystkim pełne splendoru odpowiedzialności i władzy w świecie dorosłych. Wracając znów do siebie i własnego punktu widzenia, widziała teraz jedynie młodego człowieka, który ze wszystkich sił stara się poznać swoją słabość i nie załamać pod jej ciężarem. Obrócił się do Kate i powiedział:

- Dobrze, że jesteś tutaj, bo znowu zostałbym w to wciągnięty.

Na to szczere stwierdzenie, dlaczego znalazła się tutaj z nim, poczuła spazm czy ukłucie bólu - ale niewielkie, ponieważ zbyt zajęta była bolesnymi wspomnieniami,

które musiała rozważyć: wszystkie formalne wspomnienia były tak wytarte, że nieomal przezroczyste. Gdyby zapytano ją, powiedzmy w maju, w to południe, kiedy znajomy męża przyszedł do ich ogrodu - kiedy rozpoczęła się ta seria wypadków, która przywiodła ją tutaj - gdyby zapytano ją wtedy, jaka scena lub splot okoliczności odegrają najistotniejszą rolę w doprowadzeniu do takiego etapu jej życia, który musi uznać, niezależnie od tego, jak jest bolesny - wybrałaby chyba ten moment: kiedy stoi na skraju wielkiej płaszczyzny brudnego, przeoranego nogami piasku, połyskującego w banalnym świetle księżyca, i obserwuje wielką grupę młodych ludzi, niektórych młodszych niż jej własne dzieci, obok młodego człowieka, który budzi w niej, nie było sensu udawać, że jest inaczej - uczucia matczyne. Mogłaby nieomal powiedzieć: „No, no, wkrótce będzie lepiej” - i uścisnąć go.

Myślała teraz jak matka: „Odejdź stąd, będziesz musiał to przeżyć, lepiej, jeśli nie będzie mnie obok ciebie - ale, naturalnie, muszę cię obserwować i prowadzić, sama niewidoczna...”

Ich hotel nie stał w lśniącej pasie luksusowej części miasta. Mieścił się trochę dalej od morza, w starej dzielnicy, która w normalnych miesiącach zamieszkała była tylko przez Hiszpanów. Weszli jednak do foyer tak oświetlonego i ruchliwego jak w biały dzień, ponieważ był to miesiąc wakacyjny i spanie można było odłożyć na później. Parki różnych narodowości siedziały tu i popijały. Jadalnia była otwarta i ludzie jeszcze kończyli obiad, chociaż minęła pierwsza w nocy. Urzędnik recepcji podał klucz panu Jeffreycowi Mertonowi



i pani Catherine Brown, nie przestając się uśmiechać, chociaż jego postawa bezwiednie wyrażała pełną urazy dezaprobatę.

Weszli do pokoju, który nie był najlepszy w hotelu: miała dużo pieniędzy dzięki swojej świetnie płatnej pracy, ale musiała ograniczać się do możliwości Jeffreya, który chciał mieć pewność, że pieniądze babci będą w dalszym ciągu zabezpieczały jego niezależność – nie zainwestował z nich ani centa, wszystko ulokował w biżuterii i obrazach w depozycie bankowym. Hotel był z rodzaju tych, które ona i jej rodzina mogliby wybrać: bezpretensjonalny i staromodny. Pokój miał balkon, który wychodził na mały miejski ogród; dobiegały stamtąd dźwięki wesołej, perlistej muzyki i głosy ludzkie. Stała na balkonie. Przyłączył się do niej. Pocałowali się jak doświadczeni kochankowie. Jeffrey poszedł do łazienki. W dole na rozświetlonej księżycem ulicy ludzie, siedząc pod domami, gawędzili. Ich dzieci, nawet małe, siedziały z nimi lub bawiły się opodal. Było ciepło i cicho i jakaś delikatna melodia tylko pogłębiała ogólną ciszę. Ludzie, przespawszy całe popołudnie, nie zamierzali wcale iść do łóżek, póki niebo nie zacznie błędnąć. Miasto wydawało się bardziej rozbudzone, bardziej ruchliwe i ożywione niż w ciągu całego dnia. W miastach południowej Hiszpanii, w środku lata, nocą budzi się nowa witalność, która siecią towarzyskiej więzi, ciągnącą się od ulic przez uliczki i ogrody, łączy razem krzyki dzieci, szczekanie psa, muzykę, gawędy. To pora, kiedy się siedzi i obserwuje, kiedy się rozmawia i żyje. Głosy dochodziły zewsząd, z kręgów światła oświetlonej ulicy i ze spokojnej ciemności.

Jeffrey wrócił do pokoju. Weszła z balkonu i właśnie zbliżyła się do łóżka, aby je posłać, kiedy rzucił się na nie plackiem, twarzą na dół. Z początku jej uczucia kobiece wzburzyły się, traktując to jako obelgę: spali ze sobą tylko raz, a przecież są kochankami. W następnym momencie położyła już dwa palce na jego pulsie, a rękę na ramieniu, żeby sprawdzić jego stan zdrowia i temperaturę. Ciało miał rozpalone, ale i powietrze było takie. Wyglądał na wyczerpanego. Kawalek twarzy, który mogła dojrzeć, pokryty był potem i szkarłatnymi plamami. Puls miał wolny. Wyteżyła wszystkie siły, aby obrócić go na plecy, ułożyć w łóżku i okryć prześcieradłem. Rumieniec raptownie zniknął z jego twarzy: teraz była blada i ziemista. Mógł nie mieć temperatury, ale na pewno nie był zdrow.

Mimo że gdzieś w głębi duszy czuła urazę i bunt, wróciła na balkon raczej z uczuciem ulgi. Przyniosła krzesło z pokoju, który wydawał się duszny i niepokojąco ciemny w porównaniu z jasną, rześką nocą zawieszoną nad ulicą, jeszcze ruchliwą i rozbrzmiewającą śmiechem; ustawiła krzesło w rogu balkonu i usadowiła się na nim. Miała na sobie białą płócienną sukienkę, która odsłaniała ramiona i szyję, tak że powiew wiatru mógł chłodzić jej ciało. Siedziała tu, rozbudzona i czujna, w sytuacji najbardziej znajomej ze wszystkich – gdy istota młodsza od niej śpi obok. Pasma księżyca na balkonie przesunęło się. Cofnęła krzesło w ten sposób, aby jej nogi i ramiona pozostały w świetle, ale głowa znalazła się w cieniu – tak jakby księżyc był słońcem.

Na dole, kilkanaście metrów niżej, dwóch mężczyzn gawędziło na przeciwnym chodniku. Byli to



tędy mężczyźni, ojcowie rodzin, w pomiętych letnich garniturach, które jaśniały stąd jak piasek na plaży w świetle księżyca. Załamania w materiale wydawały się czarne. Dalej, w tyle, poruszały się gałęzie drzew na skwerze, a płynąca stamtąd muzyka nagle ucichła. Nieliczne auta przejeżdżały teraz z hałasem; wykazywał on, że muzyka była głośniejsza, niż się to wydawało. W przerwach między rykiem motorów i trąbieniem słyszała zupełnie wyraźnie głosy mężczyzn. Hiszpański docierał do jej uszu w dźwiękach zlepionych w grudy i bryły – w dźwiękach nie do przyswojenia. Między nią a hiszpańskim istniała jakaś zasłona, której nie mogła odsunąć. Była to jednak zasłona na wpół przezroczysta, nie taka, jaka jeszcze dzisiejszego ranka spowijała turecki. Ta w pewnych momentach stawiała się przezroczysta. Portugalski, który tkwił w niej i otwierał przed nią drzwi do kawałka tego półwyspu, dużej części Afryki i dużej części Ameryki Południowej, czasami pasował do dźwięków, które słyszała, czasami zaś nie. Język tak zupełnie nieznan jak niemiecki był tkaniną gęstą i nieprzepuszczalną. Ale przysłuchiwanie się hiszpańskiemu było jak oglądanie czegoś poprzez drzewa wzdłuż drogi, którą się przejeżdża. Rozmowa nie dawała jej spokoju, toczyła się na krawędzi zrozumienia. Kiedy Kate wychylała się z balkonu, a blask księżyca oświecał ją całą i w tej chłodnej bieli czuła się tak widoczna i wystawiona na pokaz, że nie mogła powstrzymać się od zlustrowania okiem fasady hotelu – nie, poza nią nie było nikogo na balkonach – więc gdy tak wychylała się z balkonu i dostrzegała wyraźnie gesty, pozy, ruchy tych dwóch korpulentnych ciał,

wtedy była w stanie zrozumieć dużo więcej. Ruch tłustych ramion lub nagle otwarcie dłoni uwypuklało znaczenie słów przekazywane poprzez intonację – i wtedy nieomal rozumiała hiszpański. Mówili o interesach, to było jasne. Nie uchwyciła jednak ani jednego słowa, które by oznaczało te sprawy. Intonacja ich głosów wskazywała, że dyskutują o pieniądzach: ryzyko i zysk odbijały się też w gestykulacji ich rąk. Pisk przejeżdżającego auta pochłoniął na chwilę rozmowę, a potem rzucił ją z powrotem w ciszę nocy: treść jej była prawie przejrzysta, jak okna z płytami kwarcowymi zamiast szklanych szyb. Głosy ucichły. Poczula zapach tytoniu. Wyrzwała i zobaczyła zapalone cygara. Dym unosił się w małych chmurkach mgiełki i tonął w listowiu. Jeden z tęgich mężczyzn odszedł; drugi zwlekał, rozglądając się, tak jakby noc mogła mu ofiarować namiastkę snu; potem również poszedł do domu. Za kilka minut przebiorą się w piżamy w paski. Jasne ubrania zostaną rzucone na kafelkową podłogę łazienki, aby żony je uprały. Każdy z nich wśliznie się do łóżka obok tęgiej, bladej kobiety.

*Darling! Chéri! Carissimo! Carol!*

Popatrzyła do sypialni bardzo ciemnej po blasku zimnego światła na dworze. Jej kochanek leżał rozwalony na łóżku. Słyszała jego oddech. Nie podobał jej się ten dźwięk. Gdyby był jednym z jej synów, pomyślałaby o wezwaniu rano lekarza – trzeba to przerwać od razu.

Dochodziła czwarta. Ulice wreszcie opustoszały, chociaż na skwerze ludzie w dalszym ciągu odpoczywali na ławkach, wdychali powietrze nocy, drzemali i palili.



Schody na dole były teraz puste. Dwoje dzieci bawiło się jednak spokojnie przy ścianie hotelu, podczas gdy ich ojciec siedział obok na stołku, oparłszy się plecami o mur, który prawdopodobnie był jeszcze ciepły. Zjawiła się matka i powiedziała, że dzieci powinny iść spać, co wywołało płaczliwy protest; nie trzeba było znać hiszpańskiego, ażeby zrozumieć, co każdy z nich mówił; tatuś był surowy, mama krzykliwa, a dzieci kurczowo broniły życia, które ich rodzice chcieli pogrzebać we śnie. Wreszcie mama wyniosła krzesło i usiadła przy mężu; jedno z dzieci usadowiło się jej na kolanach, drugie na jego. Dzieci zapadały wolno w sen; rodzice gawędzili cicho: może pracowali tu w hotelu, na przykład w kuchni? Niewiele aut teraz przejeżdżało. Miasto było tak ciche, jak to jest możliwe w miesiącach szczytu turystycznego.

Kate nie miała ochoty spać.

Kusiła ją myśl, aby wśliznąć się do wielkiego łóża i po prostu zasnąć, aby uniknąć tego, co powinna zrobić.

Po tylu latach ciągłej zależności od potrzeb innych ludzi była jeszcze w stanie delektować się takimi momentami jak te, wolnymi od jakichkolwiek przymusów. Potrafiła jeszcze cieszyć się myślą: jeśli nie pójde spać przed świtem, to nie będzie miało żadnego znaczenia. Nie muszę wstawać przed południem, jeśli nie zechcę. Tę wolność odzyskała dopiero trzy lata temu; naturalnie, właśnie tu musi wejrzeć, w okres, kiedy dzieci już dorosły. Mogła jednak dużo wcześniej domagać się tego prawa do wolności. Całe lata wcześniej. Jak było na przykład z Mary Finchley? Jeśli miała ochotę pozostać w łóżku aż do południa, robiła to i krzycza-

ła na dzieci, aby przyniosły jej jedzenie czy herbatę. Ilekroć nieoczekiwanych porażek zdarzyło się między momentem, kiedy Kate – młoda dziewczyna – poślubiła Michaela i kiedy Kate sprzed trzech lat zdała sobie sprawę, że ma coś do przeanalizowania.

Kulminacja nastąpiła trzy lata temu, kiedy Tim, wówczas niespokojny szesnastolatek, w czasie jakiejś kolacji przy stole zaczął krzyczeć, że dusi się pod jej kuratelą. To było oczywiste, że krzyk ten wyrwał mu się z głębi jaźni. Cała rodzina była obecna, wszyscy oburzeni; tak, zrozumieli, że było to coś nowego – destrukcyjnego, że stanowiło groźbę dla ich zespołu; wszyscy zjednoczyli się w taktownym postępowaniu, łagodząc ten moment prawdziwego cierpienia i strachu, zarówno dla niej, jak i dla chłopca. Dla Tima, bo okrzyk ten wyrwał mu się bezwiednie, bo sam był przerażony nienawiścią, którą ujawnił. Normalnie, w tej zrównoważonej i zgranej rodzinie – tak oceniali siebie, starając się utrzymać ten stan – konflikty takie były wyciągane na wierzch, dyskutowane i rozładowywane żartami. Czasami nawet w sposób brutalny. Można by powiedzieć, że duch młodej pary z Fazy Drugiej – dyskusje łagodzące bolesne kończenie się Fazy Pierwszej – zostały przejęte wiele lat później przez dorastającą rodzinę. Nikt chyba nie mógłby powiedzieć (kto? Kate wyobrażała sobie jakąś osobę krytykującą, może pracownika opieki społecznej), że to była rodzina, w której jakiegokolwiek sprawy tłumiono i ukrywano.

Jednakże to, że chłopiec wybuchnął w ten sposób, ujawniając się przed nimi wszystkimi, wykazało, że może całe te żarty i psychologizowanie, i krytycyzm



nie są zdrową i wychowawczą szczerością, jak sobie wyobrażała, jak wszyscy sobie wyobrażali, ale formą samooszukiwania się? Rodzinne *folie*, jak wariactwo łączące kochanków, którzy niszczą się wzajemnie. Jeśli istnieje *folie à deux*, to z pewnością istnieje *folie à...* z tyloma osobami, ile kto zechce!

Wspominając typową scenę rodzinną podczas dorastania jej czwórki, widziała siebie przy jednym końcu stołu – czuła i nadęta jak tuczona gęś, pod strasznym ciśnieniem czterech walczących i rozrastających się jaźni, które były albo w konflikcie, albo w przymierzu z nią – z tym ogniskiem, punktem równowagi rodziny; i swego męża przy drugim końcu stołu, tolerancyjnego, żartobliwego, nieco znużonego. Pracował tak ciężko, tak mało pozostawiało mu energii dla żony i czwórki dzieci-potworów, że nie był wciągnięty i wpłątany w ich życie. Nazywali siebie w ten sposób: my, czwórka potworów. Pięć potworów: tak była uwikłana w ich dorastanie, stałe kryzysy, ich zbliżenia do niej i ucieczki, że nie potrafiła odseparować się od nich. Nawet i teraz. Jednakże ich presja na nią, ich stałe żądania zakończyły się. A raczej prawie, oprócz najmłodszego Tima.

W czasie tamtego zdarzenia wyniosła się od stołu możliwie szybko, starając się nie wyglądać jak mała dziewczynka, co odchodzi, żeby się wypłakać i dąsać. I tak czuła się jak kot lub pies, który został nieumyślnie kopnięty przez przyjaciela. Kiedy szła, zdawała sobie sprawę, że pięć par oczu umyślnie nie patrzy na nią. Odeszła do swego pokoju, a chłopiec, który trzymał głowę schyloną nad talerzem, kończąc pudding, uciekł zawstydzony tym, co zrobił.

W swoim pokoju usiadła i zaczęła myśleć – próbowała myśleć, podczas gdy jej uczucia buntowały się: czuła się jak oszalała pod ciśnieniem dawnych uczuć: to jest niesprawiedliwe, czego ode mnie oczekują?

Czy to była jej wina, że Tim tak surowo sądził siebie, innych i ją? Pozostała trójka prawie niedostrzegalnie przekroczyła barierę dzieciństwa i wieku młodzieńczego. Było to z pewnością burzliwe i pełne problemów, ale przechodzenie Tima w wiek młodzieńczy stanowiło eksplozję, która wstrząsnęła wszystkimi. Każde z nich dyskutowało, starało się zrozumieć – dużo było słownych popisów wśród tych inteligentnych, nowoczesnych dzieci. Tim został osądzony przez nie jako największy potwór z nich wszystkich, a Kate uznano za ofiarę. Jednej rzeczy nie było jednak – wracała wciąż do tego punktu – nie było żadnych wykrętów i tajemnic. Podczas tych lat, gdy czuła się zamknięta na zawsze w wielkim pudle z czterema wciąż eksplodującymi indywidualnościami, pocieszała się myślą: ale nic się nie ukrywa, o wszystkim się mówi. Porównywała też swoją własną rodzinę z innymi (nie z Finchleyami; oni nie byli porównywalni, rządili się swymi własnymi prawami); wszystkie rodziny z dorastającą młodzieżą były podobne. W centrum każdej znajdowała się matka miotająca iskry we wszystkich kierunkach, a inni byli kruszcem w jej rękach. Czy nie za bardzo pragnęła dominować, kontrolować, traktować ich jak dzieci? Niepokoiło ją również, że daje im zbyt dużo wolności, zbyt wczesnie traktuje jak dorosłych. Ale być może to właśnie było błędem i Mary miała rację, nie zastanawiając się nigdy, jak powinna postępować – po prostu



kierowała się nastrojami. Zagadnienie nie polegało jednak na planowaniu lub nieplanowaniu. Chodziło o jej własne uwikłania. Była zbyt wplątana we wszystko, zbyt głęboko w to zatopiona, tak że dzieci nie miały chyba żadnego mocnego punktu oparcia. Ale czy mężczyzna, ojciec, nie powinien być takim punktem? Może mimo wszystko Michael miał przez cały czas rację; popełniła błąd, krytykując go; jego stopień zaangażowania był właściwy. Po co miałaby matka tkwić jak kamień młyński na dnie każdej sprawy? Gdy patrzyła wstecz, widziała, że była na zawołanie każdego, zawsze obecna, zawsze krytykowana, zawsze karmiąca własną piersią te potwory. Spoglądając wstecz na swój własny wiek młodzieńczy, nie mogła dojrzeć nic podobnego – naturalnie była w bliskich stosunkach, bardzo bliskich stosunkach ze swoją matką, do czasu jej śmierci, na rok przed wyjazdem Kate do Lourenço Marques; jej ojciec był poza domem przez całą prawie wojnę; matka i córka pozostały razem; ale nie mogła uwierzyć, aby to, co łączyło je obie, przypominało choć trochę stosunek łączący ją z dziećmi.

Ale czy warto jest teraz rozważać i przesiewać fakty, usprawiedliwiać się przed sobą? Tim przecież zaczął krzyczeć, że dusi się pod jej opieką, że ona traktuje go jak niemowlę, a reakcja wszystkich podkreśliła fakt, że to nie była zwykła, naturalna „pogawędka miłosna” (nazwa rodzinna dla wzajemnych uwag krytycznych).

No więc dobrze, postępowała wobec niego zbyt apodyktycznie.

Jednakże godne uwagi było, że tak jak teraz, siedząc na balkonie w świetle księżyca, dobrze zdawała sobie

sprawę ze swej obecnej sytuacji – że stoi jakby na skale, a północny wiatr wieje jej prosto w twarz, grożąc strąceniem w przepaść – tak i wtedy również od samego początku była świadoma niebezpieczeństwa, które grozi jej najmłodszemu synowi w czasie dorastania. Jasne więc, że nie wystarczyło wiedzieć o czymś; gdyby postępowała inaczej, nie krzyknąłby: „Na miłość boską, duszę się pod twoją kuratelą!”

Wtedy przy stole powiedziała mu tylko, aby nie zapominał o czymś – to było wszystko; teraz nawet nie pamiętała o czym... Gdyby to było przyczyną jego wybuchu, sprawa polegałaby na tym „czymś”, a nie na tym „jak”. Nie pamiętała jednak, wszystko zapadło w przeszłość. Zapadło, ponieważ nie chciała pamiętać, zdarzenie to umodelowała w ten sposób, aby mogło zająć miejsce wśród jej oficjalnych wspomnień, wspomnień, które pozostawały w jej umyśle przez dziesięć, piętnaście lat; czy może ćwierć wieku? Istniała jednak na pewno dziewczyna pełna energii i indywidualności, o dużo bogatszym doświadczeniu niż większość dziewcząt (była na przykład rok w portugalskiej Afryce Wschodniej i spędziła go świadomie i nieomal teatralnie jako *jeune fille*), i dziewczyna z temperamentem pasującym do jej czerwonych włosów (od najwcześniejszego dzieciństwa gratulowano jej z powodu tego temperamentu, ten fakt pamięta bardzo wyraźnie); dziewczyna, która wyróżniała się spośród innych, w każdym miejscu, nie tylko ze względu na swoją niezwykłą kolorystykę, ale swój styl i sposób bycia – no więc, czy coś z tego nie było prawdą? Czy nie oszukiwała siebie, opisując się w ten sposób? Nie sądziła, aby tak było. Ta dziewczyna,



której pożałowało wielu mężczyzn, poślubiła swojego Michaela. Po współżyciu ze sobą przez rok (Faza Pierwsza), stali się atrakcyjną młodą parą, ośrodkiem zainteresowania dla innych, jeszcze niezaślubionych czy wkrótce mających się pobrać par lub małżeństw, którym brakowało... czego? Wdzięku? Indywidualności? Ich małżeństwo jednak było czymś w rodzaju czarującej, kapryśnej ofiary złożonej konwenansom; zachowywali się w dalszym ciągu jak para zakochanych, kochających się. Pierwsze dziecko zmieniło to trochę, niewiele jednak. Dziecko (Stephen) zostało wpasowane w życie młodej atrakcyjnej pary, która robiła wszystko z większą werwą niż inni. Zabierali niemowlę na przyjęcia, podróżowali z nim, nie przeszkodziło ono Kate w uczęszczaniu na wykłady na temat wpływu Saracenów na poezję prowansalską. Prawdą było, że prowadzenie w dalszym ciągu życia tak, jakby nie zaszły żadne zmiany – przy stałym budzeniu się w nocy, konieczności wczesnego wstawania i ciągłym związaniu z rozkładem dnia dziecka – było ciężkie. W tym czasie jednak ta wyrwa w jej przyzwyczajeniach nie wydawała się – jak później – ważną rzeczą. Kiedy pierwsze dziecko skończyło rok, była znowu w ciąży. W umysłach obojga rodziców istniało przeświadczenie, że będą mogli żyć w ten sam sposób z dwojgiem dzieci.

Każdy mógłby powiedzieć im, że to nonsens.

Prawdziwie gwałtowna zmiana nastąpiła nie przy pierwszym, ale przy drugim dziecku. (Teraz była to młoda dama nazwana Eileen). Z jednym dzieckiem byli młodą parą beztrósko płacącą niewymuszony haracz głupim konwenansom, wymaganiom towarzyskim.

Przy drugim nacisk przesunął się w innym kierunku. Widząc, jak bardzo zmieniło się ich życie, zdecydowali się na trzecie dziecko, „aby mieć to już poza sobą”. Nastawienie bardzo odmienne; wkrótce też mieli dom, małe auto, stałą służącą, uregulowane życie; wszystko dla dobra dzieci. Rzeczą niezwykłą było, jak długo ta para w dalszym ciągu uważała te wszystkie uboczne przedmioty – auto, dom i tym podobne – za niemające nic wspólnego z nimi osobiście, nabyte nie dla ich dobra i wygody, ale wyłącznie z powodu dzieci.

Jeśli chodzi o Kate, to zdobyła swoje zalety, wewnętrzną dyscyplinę, na skutek ciężkiej pracy. Spoglądając teraz wstecz na piękną dziewczynę rozpieszczaną przez matkę, rozpieszczaną i karmioną pochlebstwami przez dziadka, traktowaną zawsze z tym lekko ironicznym szacunkiem, który okazuje się dziewczętom, i porównując ją z tą samą młodą kobietą zaledwie pięć lat starszą, Kate miała ochotę zawołać, że to był jakiś okropny podstęp, najpotworniejszy cynizm. Spoglądając wstecz, widziała siebie tylko jako odmianę tuczonej białej gęsi. Nic z hołdu, który jej dziadek składał kobietom, czy z tkliwości, jaką otaczała ją matka, nie przygotowało jej do życia, którego musiała się nauczyć w tak krótkim czasie.

Z trojgiem dzieci, a potem czworgiem, musiała walczyć o cechy charakteru, których nie było nawet w jej słownictwie. Cierpliwość. Dyscyplina wewnętrzna. Opanowanie. Samozaparcie. Nieskazitelnosc moralna. Umiejętność przystosowania się do innych – to przede wszystkim. To zawsze. Stopniowo zdobywała zalety konieczne do wychowania czworga dzieci przy



ograniczonym budżecie domowym. Zdobyła je, nim pomyślała o zdefiniowaniu ich. Pamiętała bardzo wyraźnie dzień, kiedy czytając w starej powieści pewne słowa, które wydały jej się staromodne, pomyślała: otóż to jest właśnie to – wstawanie po kilka razy w nocy o jednej porze, w ciągu miesięcy, do tego zawsze z cierpliwością; a to jest ta inna cecha – odsunięcie na bok miłości do męża, kiedy dziecko jest chore. A jakim słowem określić to, że rok za rokiem myśli się tylko o mało ważnych potrzebach i żądaniach innych, tak że wszystko, co nie jest związane z dziećmi, staje się czymś tak odległym, że już nieosiągalnym? Bawiły ją te wielkie słowa określające cechy, których oczekuje się od każdej matki. Czy były to zalety? Naprawdę? Istotne zalety? Jeśli tak, to obróciły się one przeciwko niej, stały się nieprzyjaciółmi. Spoglądając wstecz na siebie i swój stan w momentach, gdy była żoną i matką już prawie w średnim wieku i kiedy była dziewczyną żyjącą z Michaelem – miała wrażenie, że nabyła nie cnoty, ale pewną formę obłądu.

Następnego ranka po incydencie z jej najmłodszym synem tak się złożyło, że znalazła się z torbą na zakupy na High Street i musiała zatrzymać się na chwilę z powodu korka. Przyglądała się młodej kobiecie idącej ulicą z niemowlęciem w wózek spacerowy. Dziewczyna ta, może dziewiętnastoletnia, mniej więcej w tym samym wieku co Kate, gdy chowała swoje pierwsze dziecko – ubrana była w krótką spódnicę, miała rozwichrzone ciemnorude włosy, zielone oczy i wyraz spokojnej energii na twarzy. Wyglądała jednak jak dziewczynka bawiąca się w mamę. Pchała wózek jed-

ną ręką, a w drugiej niosła wielką torbę z warzywami. Kroczyła jak kobieta wikingów. Kate przeniosła wzrok od tej dziewczyny na inne. Wydawało się, jakby ulica zapelniła się nagle młodymi kobietami, niezamężnymi dziewczynami lub dziewczynami z małymi dziećmi, i wszystkie one poruszały się spokojnie, zwykłym, kołyszącym się krokiem pełnym gracji i swobody. Była to pewność siebie. To, co ona, Kate, zatraciła w stałym skrępowaniu, w świadomości konsekwencji swoich czynów.

Po dokładnym wyluskaniu prawdy co do tych młodych kobiet – bolesne było porównanie z nimi siebie, gdy popatrzyła na ruchy i twarze swoich rówieśniczek. Dwadzieścia lat różnicy wystarczyło, aby te dzielne twarze stały się ostrożne i podejrzliwe. Niektóre obdarzone były głupią dobrocią, łagodnością ofiar, straszliwą bezbronną uprzejmością, podobną do niepewnego śmiechu, który brzmi, jakby miał zakończyć się płaczem. Poruszały się, jakby im nogi odmawiały posłuszeństwa, gdyż obawiają się wpaść w jakąś pułapkę, obawiają się w coś uderzyć; poruszały się, jakby były otoczone przez niewidocznych nieprzyjaciół.

Kate spędziła rano, spacerując tam i z powrotem po tej długiej zatłoczonej ulicy, uświadamiając sobie tę prawdę, że twarze i ruchy większości kobiet w średnim wieku przypominają twarze więźniów lub niewolników.

Na początku długiej drogi absorbujących doświadczeń kroczy młoda, pewna siebie, odważna dziewczyna; przy końcu tej drogi kobieta w średnim wieku – ona sama.



Kate wróciła do domu i przez tygodnie obserwowała siebie z tego właśnie nowego punktu widzenia, jak się porusza, rozmawia, działa, doszła też do wniosku, że jest po prostu obłąkana. Od rana do wieczora żyła z obsesją kierowania, organizowania, dopilnowywania, jak wszystko powinno iść i jakie rezultaty może przynieść działanie takie lub inne. Przyglądając się sobie, słuchając siebie, zwróciła również uwagę na kobiety w tym samym wieku, które były jej przyjaciółkami. Wszystkie, każda z nich, przeszły długą edukację w jednej rzeczy – krzątaniu. (Naturalnie nie Mary Finchley. Nie Mary. Będzie musiała zrozumieć, co oznaczała dla niej Mary; jasne, że nie wystarczy jej po prostu wykluczyć z wszelkich normalnych kategorii i poprzestać na tym). Oto do czego doprowadziły wszystkie te lata nabywania cnót: ona i jej rówieśniczki stały się maszynami nastawionymi na jedną czynność: na kierowanie, aranżowanie, regulowanie, przewidywanie, nakazywanie, zanudzanie, martwienie się i organizowanie. Słowem, na krzątanie.

Wiedziała teraz, że jej rodzina zdawała sobie z tego sprawę. Kate traktowana była przez te niezależne istoty – przez męża i młodzież dopiero co uwolnioną z tyrańskich emocji wieku dojrzewania i dlatego tym bardziej nietolerancyjną w stosunku do słabości innych – jako coś, co trzeba znieść. Matka była jakąś niepewną wartością. Była jak stara piastunka, która poświęciła wiele lat rodzinie i trzeba ją teraz znosić. Zalety jej zmieniły się w wady, w gderanie i terroryzowanie innych; odważna, młoda istota zmieniła się w ciągu długiego, bolesnego procesu w obsesyjnego maniaka, bo stale i stale była na

zawołanie innych, stale zmuszona zwracać uwagę na drobiazgi, na nieważne zachcianki, żądania, potrzeby, zdarzenia i kryzysy. Zmieniła się w maniaka opętanego sprawą całkowicie nieważną.

Uświadomiła sobie to wszystko trzy lata temu. W dalszym ciągu prowadząc wielki dom, chociaż czuła, że stał się on czymś w rodzaju hotelu lub domu wypoczynkowego dla rodziny i przyjaciół oraz znajomych tych przyjaciół, starała się jednocześnie wycofać z dotychczasowej pozycji. Ta ucieczka miała charakter wewnętrzny, gdyż rzeczą prawie niemożliwą było oznajmić o swojej decyzji, nie wywołując zrytowania rodziny, nie dając im do zrozumienia, co zawdzięczają jej – tej służącej, która zajmuje się wszystkim. Jej wysiłki stały się tym cięższe, że nikt ich nie zauważał. Mąż jej był szczególnie zajęty; rozumiała też dobrze, że stara się o to specjalnie, korzystając z każdej okazji, aby rozszerzyć swoją działalność na zewnątrz, aby uciec od ograniczeń wieku średniego; był starszy od niej o siedem lat. Dzieci naturalnie przejmowały się nią i jej problemami nie więcej niż jakiegokolwiek inne zdrowe i młode stworzenia przejmują się swoimi rodzicami. Stwierdziła jednak, że zawsze przybierały wobec niej postawę obronną w momentach, kiedy starała się wykazać, że może się bez nich obejść. Uważała, że ludzie, którzy w dalszym ciągu oczekują, że będzie postępowała w ustalony sposób, ściągają ją z powrotem w przestarzałe szablony działania.

Dlaczego jednak nie oznajmić rodzinie, że ma zamiar się zmienić, że jest w trakcie zmieniania się? Nie mogła. Potraktowałiby to jako żądanie, by zwrócili na



nią uwagę, by okazali jej współczucie. Tak samo odczułaby to i ona na ich miejscu; rzecz polegała na tym, że to wszystko był nonsens – te otwarte dyskusje na tematy intymne, te rozmowy, zapisy wspomnień, decyzje, czy postępować tak, czy inaczej. (Ludzie nie zmieniają się w ten sposób: nie zmieniają się sami; człowiek zmienia się, kiedy jest zmuszony przeżyć coś, i wtedy dopiero stwierdza, że nastąpiła zmiana). Ale jeśli wszystkie te lata „pogawędek miłosnych” nie przyniosły żadnego pożytku, mogłaby teraz powiedzieć: „Dostyc już. Jestem jak kaleka czy inwalida po tych latach bycia waszą służącą, waszą wycieraczką. Teraz wy pomóżcie mnie. Potrzebuję waszej pomocy”. Tego jednak nie potrafiła powiedzieć.

Wkrótce po incydencie z Timem wyjechała sama, ażeby odwiedzić dawnych przyjaciół. Zostawiła córkę na gospodarstwie. Przedłużała swoją wizytę, używając wszelkich pretekstów. Sądziła, że jeśli utrzyma ten stan dostatecznie długo, szablon zostanie złamany, klatka się otworzy... Wróciła do domu wcześniej, niż planowała, ponieważ Eileen miała gdzieś wyjechać.

Chociaż prawie natychmiast wpadła z powrotem w to samo, od czego uciekła, była jednak w stanie popatrzeć na siebie, na tę gderliwą kobietę, którą chłopiec zwymyślał, jako na istotę rzeczywiście zwariowaną. Pomyłona.

Tamto lato, scena przy stole w czasie kolacji, jej wyjazd spowodowały, że tak się potoczyły wypadki, ponieważ bez nich nie zgodziłyby się na propozycję Alana Posta, mimo że nalegał na to jej mąż, poparł Alana – tak, jego irytacja z powodu tego, że nie rzuca się

skwapliwie na tę szansę, była pomocą. Kiedy człowiek jest w ślepej uliczce, w pułapce, trzeba zawsze przewidywać, co go czeka; człowiek powinien nasłuchiwać.

Ale co powstrzymało ją od powiedzenia, że chce sobie wynająć gdzieś w Londynie pokój na miesiące letnie? Nic, ale coś takiego było nie do przyjęcia! Byłoby to żądanie tak przesadne, że nie pomyślałaby o nim; ale prawdopodobnie właśnie to należało zrobić.

Potrzebowała odskoczni.

Siedziała teraz na balkonie, z którego światło księżyca zniknęło całkowicie, i patrzyła w górę na niebo, skąd gwiazdy cofały się w chłodną szarość, patrzyła w dół na ulicę, teraz wreszcie zupełnie pustą. Gdyby była sama, naprawdę sama w tym kraju, i mogła robić, co chce... Tak, to właśnie powinna była sobie zorganizować; a wcale nie przyszło jej to na myśl.

Mogłaby siedzieć tutaj do świtu, potem, gdyby zechciała, spać przez cały dzień, potem wędrować po mieście, które było przede wszystkim portem śródziemnomorskim, a również wielkim sklepem dla turystów. Mogłaby wędrować tam, gdzie zechce, i wrócić do domu za dwa miesiące, spędzając ten okres naprawdę sama, to znaczy jak ktoś, kto kieruje się własnym wyborem.

Teraz jednak o chłodnym świetle siedziała, myśląc, że powinna pójść spać, ponieważ Jeffrey obudzi się wypoczęty, wtedy kiedy ona będzie zapadała w sen. A jeśli nie mylą jej przewidywania, znajdzie się obok mężczyzny nastawionego defensywnie, ponieważ zasnął w nocy, zasnął i zawiódł jako kochanek, chociaż okoliczności i konwenanse wymagały postawy aktywnej.



Prawie życzyła sobie, żeby był jednak chory, nie bardzo, ale trochę.

Na końcu ulicy ukazał się mężczyzna. Był jasnowłosy, typ nordycki – turysta, tak jak i ona. Czy spędził noc na plaży z młodymi? Czy pił? Tańczył? Może gawędził w kawiarni? Może w jednym z tych chłodnych, piwnicznych barów? Dochodził do jej balkonu, kiedy światła uliczne zgasły. Zobaczyła, jak świt wyluskuje tę nocną postać z mroku: niebo zaczynało lekko się rumienić. Patrzył w górę na niebo. Nie był taki młody, aby spędzić czas z młodzieżą. Mocno zbudowany, wyraźnie w średnim wieku, o pooranej twarzy. Nie, był nawet starszy, niż przypuszczała, włosy miał zupełnie siwe, nie blond; był Hiszpanem, prawdopodobnie skończył właśnie jakąś nocną pracę. Utorował sobie drogę między oleandrami do fontanny, gdzie przystanął, aby opłukać wodą twarz i ręce. Przełknął kilka łyków, brzegiem dłoni, kierując strumień prosto w gardło. Potem przesunął ręką tak, aby woda opryskała mu pochyloną głowę. Potrząsnął nią energicznie, podszedł do ławki i położył się, odwracając twarz od ulicy i obserwatorów w stronę oparcia. Jest więc biedakiem? Bezdomnym? Zdała sobie sprawę z gwałtownego przypływu współczucia. Drwiąco obserwowała własne myśli i uczucia, bo miała ochotę zejść na dół na plac, dotknąć ramienia mężczyzny – ostrożnie, naturalnie, aby go nie przestraszyć – i zapytać, czy nie potrzebuje czegoś, jakiejś pomocy. W jakim języku? Powinna nauczyć się hiszpańskiego!

To niespodziewane wzruszenie było podobne do uczucia, które doprowadziło ją zimą, po dramatycznej

scenie z Timem, do przygarnięcia zabłąkanego kota. Jej przywiązanie do tego kota, póki trwało, było silne. Nie byłaby produktem tyloletnich „pogawędek miłosnych”, gdyby nie mogła wówczas powiedzieć sobie: ten kot przedstawia moją osobę, jest mną. Doglądała tego biednego kota, ponieważ czuję, że to mną ktoś powinien się zaopiekować. Ale kto? Naturalnie moja rodzina, która już mnie nie potrzebuje i uważa, że jestem nie do zniesienia.

Rodzina zdawała sobie sprawę z roli, jaką odgrywa kot, i z tego, co ona myśli na ten temat. Byli świadomi swojego udziału w tej sprawie i swoich uczuć, kpiący i pobłażliwi.

– No tak, wzięłaś tego śmierdzącego starego kota, ponieważ my nie jesteśmy serdeczni dla ciebie.

– Trafiłaś w sedno, mamó. Robisz demonstrację wobec nas i na tym cała sprawa polega.

Siedząc na tym balkonie, setki kilometrów stamtąd, po upływie przeszło dwóch lat, miała ochotę zerwać się z miejsca i wykrzyknąć swoją gorycz i wściekłość na nich. Wówczas naturalnie uśmiechała się i była pełna „humoru”. Teraz żałowała, że nie zbiła ich porządnie – swojej rozkosznej córki Eileen, swojego czarującego Michaela, Tima – ich wszystkich.

– Szkoda, że go nie uderzyłam – usłyszała swój szept. – Naprawdę, żałuję, że nie zbiłam ich wszystkich porządnie!

Nieraz słyszała, jak Mary Finchley wykrzykuje obelgi na swojego męża i dzieci; potem wybuchała śmiechem. Mary zawsze robiła to, co chciała robić.

Rodzina traktowała Kate jak osobę chorą, a kota jako lekarstwo.



- Akurat dobry środek na klimakterium - usłyszała kiedyś, jak Tim powiedział do Eileen.

Nie doszła jeszcze do okresu klimakterium, ale nie miało sensu mówić im o tym, widocznie matka przechodząca okres przekwitania pasowała do mitologii rodziny. Czuła się czasem jak ranny ptak zadziobywany na śmierć przez zdrowe ptaki. Lub jak zwierzę drażnione przez okrutne dzieci. Czuła zresztą, że na to zasługuje, ponieważ tak bardzo nie znosiła samej siebie; tak, to była okropna wiosna po złej zimie. Obawiała się, że jest naprawdę nienormalna, gdyż tyle czasu spędza na złościeniu się. Potem dwoje starszych zaczęło poświęcać cały swój czas studiom, przyjaciółom i to wprowadziło ją w zachwyt. Była prawdziwie zachwycona, chociaż naturalnie czuła się winna z tego powodu. Poczucie winy wydaje się nieomal definicją macierzyństwa. To wszystko było nonsensem, jedną wielką bzdurą. Popelnili gdzieś błąd... Kto? Ona sama? Nie dzieci. Naturalnie, że nie! Społeczeństwo? Ale dlaczego w tej sprawie tyle było napięcia, antagonizmu i urazy? Wszystko jednak już się skończyło. Eileen zajęła się mężczyznami; został tylko Tim, który w dalszym ciągu trzymał ją na muszce - takie odnosiła wrażenie. Tak więc paskudny czas minął. Przyglądała mu się z daleka... Lecz jeśli tak było naprawdę, dlaczego znalazła się tutaj z tym młodym człowiekiem, który - jak Mary Finchley oceniłaby na pierwszy rzut oka - mógł ofiarować jej tylko to, co już знаła i czego nie pragnęła... Nie odeszła z balkonu, dopóki wschodzące słońce nie wystrzeliło gorących promieni na morze i miasto... Była naprawdę zmęczona. Ciemność pokoju wypełniła jej oczy przyzwyczajone

do światła dnia. Dopiero po chwili zobaczyła, że Jeffrey spogląda na nią. Uśmiechnęła się, gotowa rozpocząć rozmowę, spostrzegła jednak, że nie jest naprawdę rozbudzony. Wygramolił się spod prześcieradła, skulił na łóżku i patrzył nieruchomo jak zaskoczone zwierzę; jego nogi tancerza drgały, wyrażając sen, w którym musiał być jeszcze pogrążony, twarz miał czujną, podejrzliwą, napiętą. Powiedziała ostrożnie: „Jeffrey!” - ale w tym momencie wydał gwałtowny, zduszony, nieartykułowany dźwięk i wystrzelił jak pocisk do łazienki. Słyszała, jak wymiotuje. Stała w dalszym ciągu w tym samym miejscu, zastanawiając się, czy będzie już przytomny, kiedy wróci z łazienki. Wszedł do sypialni, czepląc się drzwi, potem brzegu szafki. Wydawało mu się chyba, że jest sam; potem zobaczył ją, staniając się, posunął się naprzód, złapał się kurczowo łóżka, patrzył. Zrozumiała, że jej sylwetka odcina się ostro od drzwi balkonu oślepiającego już blaskiem słońca; musiała wydawać mu się jakimś ciemnym, zaczajonym kształtem. W końcu uśmiechnął się. Wiedział, powinien wiedzieć, kim ona jest. Był to wysiłek, ponieważ nadal na wpół spał, ale był uprzejmy z natury, wychowany tak, aby dogadzać innym, okazywać uprzejmość. Uśmiech był grzecznością, której wymagała sytuacja, a nie oznaką życzliwości. Silnymi rękami przyciągnął się do łóżka i upadłszy na nie, zasnął natychmiast.

Siedziała przy nim w swojej białej plisowanej sukience, którą spowijał jeszcze rześki chłód nocy przyniesiony do pokoju w ucieczce przed upałem dnia. Przysięgała sobie, że kiedy się obudzi, nie będzie mu okazywała uczuć matczynych, nie będzie sugerowała



lekarza, nie będzie się przejmowała. Leżąc obok tego młodego człowieka, który był co najmniej „niedysponowany”, jeśli nie chory, starała się wejść w sposób rozumowania kobiety, która przyjechała tu dla przeżycia romansu. Zakładając, że jest jeszcze „kobietą-kochanką” (w ten sposób to ujęła), a nie kobietą-matką, jaką stała się w wyniku ćwierćwiecza niańczenia innych – więc, gdyby była to „kobieta-kochanka” – co by wówczas odczuwała? Było to łatwe do wyobrażenia, wystarczyło przypomnieć sobie Michaela. Budziłaby Jeffreya, aby się czulić; ona i jej mąż lubili kochać się, kiedy ona lub szczególnie on miał temperaturę. Michael zawsze łatwo dostawał gorączki z byle powodu; przez lata też wykorzystywali w pełni tę przyprawę do celów erotycznych – tak przynajmniej sądzili. Nie mogła wyobrazić sobie teraz takiego zbliżenia z Jeffreyem. Bowiem (tak jak oczywiście literatura, różni eksperci i doradcy w sprawach małżeńskich mogliby jej powiedzieć) jeśli kobieta jest dobrze i prawdziwie dopasowana do mężczyzny, to nie jest jej łatwo nawiązać stosunek z innym. (Z tego powodu nigdy nie była w stanie uwierzyć w uroki zamiany żon czy w przyjemność cudzołóstwa). Jej doświadczenie w tej dziedzinie ograniczało się zresztą do Michaela, no i pośrednio – do relacji Mary.

Oczywiście, gdyby była szalenie zakochana, tak jak wymagały tego okoliczności, a nawet zmysł estetyczny, względnie wyczucie tego, co stosowne, nie leżałaby tutaj, starając się wyobrazić sobie, że jest podniecona erotycznie.

Oparła się na łokciu i przyjrzała mu się z całą uwagą mamy obserwującej chore dziecko. Chociaż ciało

jego buchało gorącem, odnosiło się wrażenie, że jest mu zimno. Czoło miał zroszone lodowatym potem. Pachniał niezdrowo. Nie, nawet kobieta szaleńczo zakochana nie wybrałaby tej chwili, aby się do niego zbliżyć. Obojętność, z jaką przyjęła ten wniosek, potwierdziła stopień jej niezaangażowania uczuciowego.

Zasnęła i natychmiast znalazła się na skalistym wzgórzu. Tak, była tam jej biedna foka posuwająca się wolno, z trudem, w kierunku odległego, niewidzialnego oceanu. Uniosła śliskie stworzenie w ramionach, och, nie powinna była zostawić jej tutaj. Foka była słabsza; jej ciemne oczy patrzyły na nią z wyrzutem. Skórę miała bardzo suchą; musi zdobyć dla niej trochę wody. W pewnej odległości zobaczyła dom. Zataczając się, poszła w tym kierunku. Był to drewniany dom, z dachem stromo opadającym, ze względu na śnieg, który – wiedziała – wkrótce zacznie padać, ponieważ była już jesień. Dom był pusty, ale ludzie tu mieszkali, gdyż na palenisku maleńkiego kominka znajdowały się świeżo wypalone główne. Położyła fokę na kamieniu przed paleniskiem i zaczęła dmuchać w palenisko, starając się rozpalić ogień. Drewna nie było dużo, ale udało się jej wreszcie rozniecić ogień. Foka leżała spokojnie, oddychając z trudem. Oczy miała zamknięte. Potrzebowała gwałtownie wody. Kate zaniósł ją do łaźni i spryskała wodą z drewnianych kublów stojących wzdłuż drewnianych ścian; sen nabierał coraz bardziej posmaku jakichś innych czasów, mitu czy starej baśni. Oczy zwierzęcia otworzyły się i wydawało się, że odżywa. Pomyślała, że ma wiele rzeczy do zrobienia: musi sprzątnąć dom, przynieść z lasu drewno na opał, nim



spadnie zimowy śnieg, zdobyć jedzenie, wyjąć ciepłe ubranie z szaf i przygotować je dla siebie i dla mieszkańców domu, którzy, wiedziała, byli jej krewnymi, ale przekształconymi w postacię mitologiczną, potężniejszych rozmiarów, reprezentujące coś więcej niż w zwykłym życiu. Na górze w pokoju ujrzała wysokiego, jasnowłosego mężczyznę z niebieskimi oczami. Znała go. Był jej kochankiem. Był nim zawsze. Zaczęli się kochać. Czekali na siebie przez lata i przez to czekanie i pragnienie sprawili, że miłość ta była doskonała... Przypomniała sobie fokę. Foka potrzebowała jej, leżała opuszczona na podłodze łożni, czekając na nią. Opuściła jasnowłosego młodego mężczyznę, który był panem jakiegoś wielkiego rodu, może księciem, mówiąc do niego: „Przykro mi, chcę z tobą zostać, ale muszę przedtem zanieść fokę do morza”.

Obudziła się zaatakowana przez blask słońca i przez Jeffreya, który starał się ją wziąć, jak dziesięcioletek sprowokowany przez swój gang do wdrapania się na wysoki mur. Chociaż jej ograniczone doświadczenia seksualne nie obejmowały stosunku z Amerykaninem, literatura zaznajomiła ją z problemem męskiej wrażliwości Amerykanów w tej dziedzinie. Ponadto Mary Finchley spędziła kiedyś dwa tygodnie z amerykańskim pilotem i poinformowała ją – naturalnie szczegółowo – o swoich doświadczeniach. (Nie należało tego wysłuchiwać, Kate często ganiła się za to). Jednak ostatniej nocy sytuacja wymagała erotyzmu: Jeffrey zawiódł; jego męskość znalazła się pod znakiem zapytania.

Pomyślała o zażartowaniu na temat sytuacji, ale zrozumiała z jego przekrwionych oczu i ponurej miny,

że żarty na ten temat nie są możliwe. Była szósta; spała krócej niż godzinę. Teraz, po wyczerpaniu się jego agresji, widać było wyraźnie, że jest chory: powinni chyba, jak ludzie rozsądni, rozstać się przyjaźnie i rozejść się każde w swoją stronę.

Leżąc w zwojach zmiętych, białych falbanek – prawdziwy obraz kobiety nęcąco znużonej – patrzyła na młokosa, który gdyby miał choć trochę rozsądku, poszedłby do lekarza.

Wysiłkiem woli tak wielkim, że uruchomiłby rakietę kosmiczną, powstrzymała się od zaproponowania doktora.

Ubrali się i zasiedli na tarasie, już przepelnionym, ożywionym, rozbrzmiewającym wieloma językami; Jeffrey po trzykrotnym spacerze do toalety wyznał, że dostał biegunki i wybiera się do apteki.

Została teraz sama i obserwowała mężczyznę około pięćdziesiątki, który siedział przy kwitnącym krzewie z dziewczyną może dwudziestoletnią. Tak jak Michael miał włosy ucięte prosto przy szyi i twarzy, uczesane bez przedziałka; u kobiet fryzurę taką nazywano „w chryzantemę”. Kate niegdyś również się tak czesała. Szczupła, opalona i przystojna twarz mężczyzny, z której nie schodził wyraz ironii maskującej miłość własną, kusiła tę wzruszająco świeżą dziewczynę; była tym pochlebiona i raczej znudzona. Mężczyzna wyglądał na inteligentnego; urywki rozmowy – tym razem w języku angielskim – spowodowały, że Kate powiedziała do siebie: – Mój przynajmniej nie jest głupi”. Sądziła, że powinna się czuć zawstydzona. – „*Mon semblable*”\*

\* Mon... (fr.) – mój bliźni, mój odpowiednik.



- powiedziała do niego cicho, ale wtedy przypomniała sobie, że nie dalej niż dwadzieścia cztery godziny temu pożegnała się z Ahmedem - innym wcieleniem siebie, do którego w myślach zwracała się „bracie”. Gdzieś w Stanach jej Michael, uczesany „w chryzantemę”, ze szczupłą atrakcyjną twarzą, bogaty w doświadczenia, może również osłaniał się ironią, podczas gdy sama młodość obleczona w zachwycającą powłokę siedziała obok niego - schlebiana i znudzona. Jeśli tak było, Kate nie знаła go takim: nigdy nie widziała, aby był dworny, ironiczny, nieodporny na ciosy. Jego kobieta nie musiała zresztą być bardzo młoda. Kate naprawdę nie wiedziała, jakiej szukał. Naturalnie była z nim Eileen, czyli że nie będzie mógł swobodnie robić tego, co zechce; może ta młoda dziewczyna siedząca przy nim to jego córka, a w jego wyglądzie maluje się duma i miłość, jak zwykle u mężczyzn w średnim wieku, gdy przebywają z dorosłymi córkami... Jedną rzecz była pewna: że kiedy Mary robiła to co ona - decydowała się na romans z młodym mężczyzną - nie zachodziły żadne tajemnicze dolegliwości ani takie niezbyt przyjemne, wzbudzające refleksje o sobie spotkania na słonecznych tarasach południa z facetami w średnim wieku i ich dziewczętami. Kociakami. Naturalnie, że nie. Mniej więcej przez cztery lata Mary utrzymywała sporadyczne stosunki z kelnerem z greckiej restauracji. Miał około dwudziestu trzech lat, kiedy się to zaczęło, był przystojny i „zawsze taki namiętny”, jak mówiła Mary. Uwielbiał ją. Był gotów ją poślubić, chciał się do niej wprowadzić i stać się ojcem dla jej trojga dzieci. Ponieważ Mary się sprzeciwiła, utrzymywali romans

szczególny ze względu na atmosferę spokoju, przyjemnego umiarkowania i wzajemnej sympatii. Trwało to aż do czasu, gdy wyjechał z powrotem do Grecji.

Wtedy Mary płakała. To był jedyny raz, gdy Kate widziała ją płaczącą. Tak więc nawet Mary płaciła haracz za ten rodzaj przygód miłosnych najwyższego rzędu... Jeffrey torował sobie drogę wśród zapchanych stolików, obładowany paczuszkami lekarstw wszelakiego rodzaju. Przez chwilę omawiali różne możliwe plany; patrzył krytycznie na wakacyjną scenerię wokół siebie i wkrótce oznajmił, że chciałby pojechać w głąb kraju, do „prawdziwej Hiszpanii”.

Stanął teraz przed nimi problem finansów. Jeffrey nie miał dosyć pieniędzy, aby lecieć samolotem lub wynająć auto. Stać go było tylko na autobusy i pociągi, na które wobec tego i ona była skazana. Zgodziła się z zadowoleniem.

Plaża poza tarasem była w dalszym ciągu pusta, zorana zeszłej nocy stopami. Dwóch mężczyzn z wielkimi grabiami wygładzało piasek na przyjęcie młodych, którzy jeszcze byli w łózkach; niektórzy zresztą spali na brzegu plaży, tam gdzie stykała się ona z tarasem. Kate wiedziała, że oni nie mieliby żadnych „hamulców”, jeśli chodzi o pieniądze; dzielili się tym, co mieli. To, że Jeffrey nie potrafił wydać pieniędzy bez uczucia - jak sam mówił - wewnętrznego niepokoju, stawiało go już poza towarzystwem „młodzieży”, nie mówiąc o innych przyczynach.

- Jest taka tania miejscowość dalej na wybrzeżu - powiedział. - I nie ma tam turystów. Można dostać pokój za dolara dziennie.



Siedział odchyłony do tyłu w skąym cieniu oleandrów, z ręką na piersiach, jakby je ochraniał, z oczami wółprzymknętymi. Pierś pod jego dłonią podnosiła się i opadała bardzo wolno, jak u człowieka śpiącego. Pograżał się ciągle w długich chwilach milczenia, jego druga ręka, zwieszona luźno na stole, drgała lekko; zapadał w drzemkę i budził się znowu siłą woli. Osa usadowiła się na małej plamce dżemu na jego palcu. Przyglądał się jej przez chwilę, po czym strząsnął ją ruchem, który by mógł przestraszyć słonia.

- Myślę, że powinieneś poleżeć w łóżku, dopóki nie poczujesz się lepiej. - Te słowa wyrwały się z jej ust; szarpnął głowę i popatrzył z furią.

- Dlaczego? - spytał zimno.

W niecałe dwadzieścia cztery godziny po przyjeździe do Hiszpanii byli znowu w autobusie i jechali wzdłuż wybrzeży ku północy, w odwrotną stronę niż fala turystów tocząca się na południe. Byli w drodze do miasteczka nietkniętego cywilizacją. Nie tyle miasteczka, jak twierdził Jeffrey, ile wioski złożonej z kilku domów zamieszkałych przez rybaków, których żony z zachwytem witały podróżnych i dopiero po namowach przyjmowały od nich pieniądze. Dojechali do tej miejscowości późnym popołudniem i znaleźli wielki nowy hotel i zatłoczoną plażę.

Jeffrey, który spał przez całą drogę z głową na jej ramieniu - co starała się ukryć przed nim - przyjrzał się tej scenie milcząco i zawrócił do autobusu.

- Ale gdzie jedziemy?

- Dalej wybrzeżem. Jest jeszcze inne takie miejsce.

- Czy nie powinniśmy przedtem zjeść kolacji? I może pojechać rano?

- Nie, nie, to jest bardzo blisko stąd, tylko trzydzieści kilometrów, jedźmy!

Wskoczyli z powrotem do starego autobusu, teraz już prawie pustego, ponieważ wyrzucił on swój ładunek ludzi, którzy po pracy wracali do domów przez pola.

Pojechali dalej. W dole, po prawej stronie, śródziemnomorski błękit wcinął się zakolami i pętlami w brązowe wybrzeże, w jasne plaże, zapchane ciałami.

Czasami do autobusu ładowała się z pełnym koszem jakaś kobieta wracająca z codziennych zakupów lub z odwiedzin u krewnych. Dzieci wsiadały w jednej wiosce, a w godzinę później wysiadały na jakimś wzgórzu, gdzie nie było widać żadnego domu ani nawet światła. Odbiegały w ciemność, trzymając się za ręce, i wymieniały głośne uwagi czy informacje; słowa hiszpańskie jak nieznane ptaki fruwały ponad morzem.

Jeffrey spał. O północy dojechali do końcowej stacji autobusu. Byli za Almerią, w małym miasteczku oddalonym o kilometr od brzegu. Był tam hotel zbudowany nie do celów turystycznych. Mężczyzna w recepcji przyglądał się im bez słowa komentarza, gdy się rejestrowali, a potem wprowadził ich do jadalni, gdzie jacyś przyjezdni Hiszpanie, nie turyści, siedzieli przy obiedzie. Jeffrey zamawiał jedno pożywne danie po drugim, marszczył brwi, podnosząc widelec z jedzeniem do ust, ale kiedy zapach potrawy docierał do jego nozdrzy, kładł widelec z powrotem na talerz. Robiło to wrażenie, jakby nigdy nie słyszał o chorobie



lub o uczuciu mdłości. Wyglądał na zdenerwowanego: dlaczego tak się działo, że jego ręka, jakby niezależnie od jego woli, opuszczała wciąż na talerz widelec z jedzeniem? Kiedy podano deser, zjadł kilka brzoskwiń i poprosił o więcej. Kate, najadłszy się do syta, gdyż był to jej pierwszy posiłek w tym dniu, przyglądała się, gdy połykał piątą brzoskwinię, a potem wybiegł z jadalni.

Znalazła go powalonego na łóżku, z lampą świecącą mu prosto w twarz. Ręką zasłaniał oczy jak od słońca. Na jej widok zmarszczył mocniej brwi. Zobaczyła siebie w zielonej sukni niezakrywającej białych ramion i nóg, zobaczyła ciężką falę swoich rudych włosów, swoje ciepłobrazowe oczy. Spod dłoni spojrzał koso, widząc tę nieznaną, która stała u wezglowia łóżka i uśmiechała się do niego.

- Jeffrey!

- Czego chcesz?

- Trzeba wezwać lekarza.

Obrócił twarz w bok, jak żołnierz, któremu rozkazano: „W prawo zwrot!” - i położył się z rękami wyciągniętymi wzdłuż ciała. Potem przewrócił się na drugą stronę, naciągając prześcieradło na siebie. Był w dalszym ciągu całkowicie ubrany, nawet w butach. Jeśli chodzi o Kate, to zasnęła od razu po poprzedniej, prawie nieprzespanej nocy.

Obudziła się wcześniej; był już na nogach i garściami wrzucał do ust pigułki, które kupił w aptece. O siódmej miała przed sobą młodego człowieka w pełni sił, który oznajmił: - Pojedziemy w głąb kraju, do Grenady. Jesteśmy blisko.

Zgodziła się na to oczywiście.

Ale kiedy pijąc kawę ze słodkimi bułeczkami, obserwowła osy zajęte dżemem brzoskwiniowym, on, unikając jadalni, stał ze szklanką wody sodowej w ręku i konferował z recepcjonistą. Nie było stąd żadnego bezpośredniego autobusu do Grenady. Musieli wrócić do Almerii i złapać tam inny autobus. Ta podróż zajęłaby im cały dzień.

Podszedł do drzwi pokoju jadalnego, aby ją zawołać; widziała, że umyślnie odwracał oczy od jedzenia. Zdecydował się jechać dalej wzdłuż wybrzeża. Dalej na północy była odpowiednia miejscowość; pamiętał ją dobrze. Powrót autobusem do Almerii, a potem oczekiwanie na drugi i całodzienna podróż w głąb kraju były wyraźnie ponad jego siły. Jednak musiał być w ruchu. Wiedziała, że to było mu potrzebne.

- Do Grenady pojedziemy później - oznajmił i zaniósł jej i swoją walizkę do czekającego autobusu do Alicante, dokąd mieli dotrzeć około trzeciej po południu. Nie będą jednak jechać aż tak daleko, ponieważ miasteczko, o którym wspominał, znajdowało się przed Alicante.

Autobus przepelniali pasażerowie miejscowi, nie turyści, chociaż było kilkoro młodych z wybrzeża, podróżujących tym najtańszym środkiem lokomocji.

Wszyscy razem tworzyli wesołą, zaprzyjaźnioną grupę; gawędzono i dzielono się wiadomościami - chociaż, naturalnie, nie mogła z tego zrozumieć ani słowa. Było to naprawdę jedno z najdziwniejszych doświadczeń, bardziej nawet niezwykle niż absurdałna sytuacja, w której się znalazła - niż ta podróż z młodym człowiekiem, którego nie mogła zostawić, ponieważ



był chory czy też załamany, i który wyraźnie postanowił jechać bez końca na północ, wzdłuż słonecznego, ukwieconego wybrzeża; przez cały okres pobytu w Turcji, który skończył się dwa dni temu – co z trudem sobie przypominała, ponieważ wydawało się to tak dawno – była jak wielojęzyczna maszyna; większość języków, które słyszała wokół siebie, była jak drzwi lub szklane szyby. Przed przyjazdem do Hiszpanii wyobrażała sobie nawet, że jej fachowe kwalifikacje ze świata konferencji będą jej nadal towarzyszyły, przepelniały ją w jakiejś mierze, tak że będzie potrafiła bez trudu mówić po hiszpańsku; ale oto obudziła się ze snu, w którym latała w przestworzach, niezdolna w pierwszej chwili uwierzyć, że nie może wzbić się w powietrze i poszybować w przestrzeń. Miała chwilami wrażenie, jakby prawie знаła ten język, jakby kiedyś rozumiała go, a teraz cierpiała na czasową amnezję. Kiedy jakaś kobieta z drugiej strony autobusu uśmiechnęła się do niej lub kiedy kierowca podchodził, zbierając pieniądze za przejazd, otwierała usta, aby przemówić – w umyśle obracała zwroty z innych języków, starając się znaleźć właściwe, ale było to bezużyteczne. Rozciągała mięśnie ust w uśmiechu, który wyrażał serdeczność i chęć porozumienia. Siedziała, przysłuchując się wciąż od nowa głębokim dźwiękom, które nie chciały odsłonić swego znaczenia, chyba że obracała się, aby patrząc, odczytać znaczenie z wyrazu twarzy albo z ruchów głowy czy rąk. W tym samym czasie kiedy siedziała jak osoba niewidzialna w tym rozgadany i roześmianym tłumie, Jeffrey natychmiast znowu zasnął; zsuwał się na swoim siedzeniu coraz bardziej i ciężko się o nią opierał.

W południe autobus zatrzymał się na dłuższy postój, aby pasażerowie mogli się czegoś napić lub zjeść kanapkę. Zostawiła go leżącego na siedzeniu, kupiła sobie lemoniadę, wypaliła papierosa i wróciła, gdy kierowca akurat obserwował śpiącego Jeffreya. Wskazała na niego palcem, podkreślając gestem jego niezdrowy wygląd. Przytaknęła i uśmiechnęła się, bo choć język miała sparaliżowany, to uszy nieomal chwytaly sens słów. Potrząsnąwszy na koniec głową, kierowca zasiadł na swoim miejscu i ruszył. Było niewiarygodnie gorąco. Wszystko migotało i oślepiało i zarówno ona, jak i Jeffrey byli złani potem. Pot jego miał niezdrowy zapach, twarz była bardzo blada, z odcieniem żółtawym. Żółtaczka? Ale przy jego ciemnej cerze byłby w tej chorobie zupełnie żółty.

Dotarli do Alicante po południu i Jeffrey wreszcie się obudził. Był mokry od potu i miał dreszcze. Zdecydowany był jednak jechać dalej na północ. Ujęła go za oba ramiona i powiedziała:

– Jesteś niezdrow. Czy słyszysz mnie? Jesteś chory. Musisz pozwolić mi położyć cię do łóżka i wezwać lekarza.

Wyszarpnął się z jej rąk zupełnie tak, jakby wpadł w sieć pajaka lub zaczepił rękawem o pniak drzewa. Podszedł do autobusu stojącego w pobliżu i wsiadł, nie spojrzawszy nawet, dokąd jedzie. Stała, zastanawiając się, czy nie powinna zawołać o pomoc. Ale kogo? Policję?

Zamiast tego chwyciła walizki, które stały teraz samotnie na skraju chodnika, ponieważ ich autobus zakręcił i wyruszył z powrotem drogą, którą przyjecha-



li, i przeniosła je do drugiego autobusu. To, że ten naprawdę uprzejmy Amerykanin pozwolił, by dźwigała ciężkie walizki, i nawet tego nie zauważył, świadczyło o jego stanie.

Na autobusie widniała tabliczka z jakąś nazwą; nie miała pojęcia, dokąd jedzie i jak daleko. Ale czy to było ważne? Kupiła w kawiarni wodę sodową i zabrała ją do autobusu. Jeffrey wypił płyn, ale z wyrazem niechęci, jak głodne zwierzę przyuczone do traktowania pokarmu jako rzeczy wstrętnej czy niebezpiecznej. Podniósł łąpczywie szklankę do ust i łykał chciwie, potem trzymał płyn w ustach z wyrazem okropnego podejrzenia. Łykając, starał się jakby przypomnieć sobie, co o tym mówiono – chyba coś okropnego! I znów podniósł szklankę do ust ruchem szybkim, pełnym rozpacz: w ten sposób wypił całą wodę sodową i nie zwymiotował jej. Tak więc miała pewność, że nie zasłabnie z powodu odwodnienia – sprawa istotna. Opadł z powrotem na siedzenie. Robiło się coraz goręcej. Ulice ziały pustką, ponieważ był to czas siesty. Ospali ludzie zapelniali kawiarnie i ławki wokół zakurzonego placu. Miasto dusiło się pod ciężarem upału i kiedy autobus ruszył, był prawie pusty.

Przy każdym podrzucie autobusu Jeffrey bezwładnie podskakiwał i osuwał się na boki. Jechali dalej na północ, ale po półgodzinie droga skręciła od wybrzeża w głąb lądu. Jeffrey nie zauważył, że Morze Śródziemne przestało im towarzyszyć. Po pewnym czasie powiedział jednak z zadowolonym uśmiechem:

– Och, to właśnie ta droga, pamiętam, miasteczko jest tu blisko.

Autobus jechał przez płaski kraj skąpo uprawiany. Potem zaczął wspinać się na niskie wzgórza. Teraz, kiedy wjechali wyżej, morze ukazało się za nimi jak odległa niebieska płaszczyna. Wkrótce zniknęło; zakryły je wzgórza. Jechali po wyboistej drodze wijącej się pod górę. Jeffrey trząsł się, podskakiwał, drzemał. Objęła go ramieniem, aby nie upadł. W pewnej chwili obudził się, lecz nie w tym niedawnym, posępnym wcieleniu chorego człowieka, ale jakby wrócił we śnie do wcześniejszego okresu, w którym zabiegał o jej względy. Uśmiechnął się do niej czarująco i powiedział:

– Kate! Czy naprawdę nie jest nadzwyczajnie? Czy nie jest wspaniale? Jest wprost... – ale nie dokończył, bo znowu padł w sen.

Słońce oświetlało teraz przednią część autobusu. Pasażerowie, którzy tam siedzieli, przenieśli się na tylne miejsca, a kierowca starał się trzymać głowę w cieniu dachu, podnosząc ją, z brodą wzniesioną do góry. Wyglądało, jakby wystawiał ją na otrzymanie ciosu.

Słońce skryło się za pasmem wzgórz, dużo wyższych niż te, przez które przejeżdżali. Był już wczesny wieczór. W wiosce, która wyglądała jak jakaś osada w północnej Afryce – z popękkanymi, nędznymi domkami, z ludźmi przytłoczonymi biedą – autobus zatrzymał się, aby zostawić drucianą klatkę z drobiem oszalałym z pragnienia, beczkę sardynek w oliwie i skrzynkę pomarańczy. Zabrał natomiast dwie siostry zakonne, które wydawały się umęczone upałem do granic wytrzymałości, oraz poczekał, aż Kate wróciła z kawiarenki z wodą sodową dla Jeffreya. Potem ruszył dalej w głąb kraju.



Kate była teraz zupełnie apatyczna. Widziała jasno, że wkrótce ta okropna podróż musi się skończyć. Nie dlatego, że Jeffrey chciał ją zakończyć: potrzebował ruchu, samej jazdy, podróżowania – czuła to i rozumiała. Ale zaczął już trochę majaczyć; budził się na kilka chwil tryskający wesołością, gawędził, chichotał, potem raptownie znów zapadał w drzemkę. Nawet on wkrótce będzie musiał zdać sobie sprawę, że jest chory i że musi skończyć z tą jazdą. Albo któryś kierowca odmówi zabrania ich w dalszą drogę. O ósmej wieczorem, kiedy księżyc pęczniał jasnością, aby wkrótce zatopić wszystko w swoim blasku, zatrzymali się na placu w jakiejś miejscowości. Była to niewielka osada. Z fontanny do basenu smętnie kapiała woda; na jego obrzeżu świeciła biała, popękana filizanka porcelanowa. Rosło tu kilka zakurzonych drzew. Budynek po przeciwległej stronie placu wyglądał na kawiarenkę; było tam duże okno, od wewnątrz zasłonięte jakimś materiałem dla ochrony przed słońcem; na zewnątrz stały dwa stoliki, przy których siedzieli mężczyźni i pili. Przy placu wznosił się również solidnie wyglądający, staromodny budynek z napisem „Hotel”. Znalazła miejscowość na mapie. Byli około kilkudziesięciu kilometrów w głębi kraju.

Zostawiła Jeffreya w autobusie na granicy snu i jawy i poszła do hotelu. Właściciel wyłonił się z jadalni, gdzie siedział przy stole; wyjaśniła w różnych językach, że podróżuje z mężem, który jest chory. Francuski okazał się wybawieniem; señor Martinez poszedł z nią do autobusu i pomógł wyciągnąć stamtąd Jeffreya. Przypominało to wyciąganie z pralki wilgotne-

go tobołu białizny; był cały mokry, ze śliskimi rękami i włosami przyklepionymi do skóry. Podtrzymywali go, taszcząc na piętro, gdyż nie było windy, i położyli na wąskim łóżku w pokoju typowym dla wszystkich hoteli. Stało tam podwójne łóże dla mamy i taty oraz trzy małe łóżka dla dzieci.

Señor Martinez zszedł na dół i wrócił za chwilę z butelką wody mineralnej; nie trzeba mu było mówić, że Jeffreyowi grozi odwodnienie, był doświadczonym ojcem rodziny. Podtrzymując chorego, przytykał mu do ust jedną szklanekę płynu po drugiej; Jeffrey pił chciwie, ale z wyrazem okropnego niesmaku.

Señor Martinez odszedł, oznajmiając, że będzie się starał sprowadzić jakiegoś lekarza.

– Ale musi pani zrozumieć, madame – *il faut que vous compreniez, oui!* – to jest mała wieś i biedna, nie mamy tu lekarza – *pas de médecin, oui?* – przyjeżdża on z miejscowości oddalonej stąd o trzydzieści kilometrów i może jest teraz na urlopie, nie mam pojęcia. Ale zrobię wszystko, co mogę.

Zszedł do swego biura, a Kate usiadła w gorącym i dusznym pokoju, na twardym krześle przy oknie, i znów wpatrzyła się w rozgwieżdżone niebo, dachy i drzewa bielejące w świetle księżyca. Jeffrey mówił o konieczności złapania natychmiast innego autobusu, potem śmiał się z czegoś, co przypominał sobie z dzisiejszej jazdy autobusem, ale czego nie udało mu się opowiedzieć, gdyż znów zasnął. Señor Martinez wrócił z wiadomością, że ciotka lekarza oznajmiła, że wróci on za trzy dni. Jeśli sprawa jest pilna, najlepiej byłoby skontaktować się z siostrami zakonnymi.



- To jest mała miejscowość, rozumie pani? Mieszkają tu ludzie biedni. Jeśli doktor przyjeżdża, to tylko do poważnie chorych. Siostry w klasztorze opiekują się cięższymi przypadkami.

Stali po obu stronach łóżka i patrzyli na chorego; ubranie przylepiło mu się do ciała, a czaszka uwydatniała się pod mokrymi pasmami włosów.

Señor Martinez, mający około pięćdziesiątki, był chyba obrazem Jeffreya za ileś lat. Składał się cały z wypukłości: spadzista łysa czaszka, wąskie spadziste ramiona, obwisły spadzisty brzuch. Jeffrey - Amerykanin niemieckiego pochodzenia - wyglądał, jakby pochodził z tych stron, ponieważ señor Martinez mógł łatwo być jego ojcem.

Ale co mu właściwie dolega?

Kate myślała, że gdyby to był jej syn, nie byłaby wcale zaniepokojona, postawiłaby diagnozę, że jest to stan, w którym człowiek czuje potrzebę wyłączenia się: jakaś gorączka czy zaziębienie lub spadek żywotności wymagają nieraz wizyty lekarza i kilku dni leżenia w łóżku; sprawą zasadniczą jest jednak leżenie. Oczywiście, sama stosowała taką ucieczkę, zupełnie świadomie, kiedy życie dostarczało zbyt dużo przeżyć. Jest to proces podobny do nadejścia zimy skuwającej ziemię; ma się wrażenie, że całe ciepło cofa się do wewnątrz, ogień jest głęboko schowany pod skałą, słońce zbyt daleko w przestrzeni. Człowiek leży skulony lub rozwalony, zależnie od swoich przyzwyczajeń, gdzieś daleko, jakby jego własne ciało, oczy i zmysły nie miały z nim wiele wspólnego; leży jak pies, który położył się w słońcu, aby zyskać trochę ciepła.

Señor Martinez, ojciec rodziny, nie sprawiał wrażenia bardziej zaniepokojonego niż Kate. Jeffrey jednak, sądząc z wyglądu, był tak chory, że nie dostrzegał nikogo; patrzył obok nich lub przez nich i trząsł się konwulsyjnie w gwałtownych paroksyzmach, które wydawały się żenująco dramatyczne. Ciemne, pełne życia oczy señora Martineza wyrażały otuchę i życzliwość, kiedy powiedział: *«Alors ça va mieux demain, oui, oui, madame, j'en suis certain...»* - jakby to on był doktorem, a ona zdenerwowaną matką. Wyszedł, mówiąc, że postara się, aby przygotowano dla niej jakiś posiłek w jadalni, ale że naturalnie nie jest to elegancki hotel jak te, do których jest przyzwyczajona, musi jednak pogodzić się z tym, co jest.

Sala restauracyjna była nie większa niż pokój jadalny w domu zamożnej rodziny mieszczańskiej; tym też prawdopodobnie była niegdyś. Stały tam ciężkie, ciemne meble, ciężkie, białe obrusy leżały na stołach. Posiłek składał się z zupy chlebowej, kawałka smażonego mięsa i owoców. Usługiwała dziewczyna, która sprzątała pokoje, podawała do stołu i pomagała w kuchni. W hotelu tym zatrzymywali się urzędnicy państwowi wizytujący teren, policjanci, których posterunek znajdował się o kilka kilometrów stąd, i księża przyjeżdżający spowiadać zakonnice i udzielać im sakramentów.

Ułożyła się spokojnie do snu. Było to pierwsze ciche miejsce od czasu, kiedy opuściła swój wielki ogród w Blackheath. Wybrzeże hiszpańskie, Konstantynopol, „Żywność dla Świata” w Londynie - wszystkie te miejsca rozbrzmiewały dzwonkami, stukotami, krzykiem i paplaniną. Tutaj zbudziło ją o północy kłapanie



podków konia czy muła przechodzącego pod oknami. Ale Jeffrey obudził się również i tak jakby nie był od wielu godzin wyłączony z normalnego życia, usiadł i spytał zwykłym głosem, co mógłby zjeść i gdzie się znajdują.

Wytłumaczyła. Znowu przez moment poczuli się razem dobrze w tym cichym hotelu, w wiosce, gdzie wszystko teraz pozostawało w bezruchu. Powiedział: „Musiałem więc być chory?” Potwierdziła i zeszła na dół w koszuli nocnej, tak jak we własnym domu, aby zobaczyć, czy nie znajdzie czegoś do jedzenia w jadalni; wiedziała, że służąca i señor Martinez, którego żona z dziećmi wyjechała odwiedzić krewnych do Barcelony, od dawna już śpią. Znalazła na wielkim kredensie bochenek chleba i masło przykryte od much i posmarowawszy kilka kromek, przyniosła je, wraz z paroma owocami, do pokoju. Oczekiwał jej Jeffrey, który w tym czasie wziął szybko kąpiel, uczesał się i ubrał, a teraz zażądał, aby wyszli poszukać jakiejś kawiarni lub restauracji. Wydawał się podejrzanie pełen energii. Jego niezwykła pobudliwość i niepokój stanowiły ostrzeżenie. Wytłumaczyła mu znowu, że w tej wiosce wszyscy od dawna już śpią, że są daleko od szlaków turystycznych, że rano stąd wyjadą. Zjadł żarłocznie, z wyrazem obrzydzenia, i w momencie gdy wmawiał w nią, że powinni pójść na spacer i podziwiać księżyc, znów zrobiło mu się niedobrze.

Potem, trzymając się łóżka, zielony, chwiejący się na nogach, oznajmił, że jest już zupełnie zdrow; wreszcie wpelzł do niego z powrotem, położył się i zasnął.

Pomyślała, że może rano poczuje się lepiej.

Istotnie, obudził się wcześniej i zeszli razem do hotelowej jadalni, gdzie señor Martinez pił właśnie kawę. Zwierzyła mu się ze swojej nocnej kradzieży, ale naturalnie zauważył to już i zrozumiał. Był przemity, ale spostrzegła zmianę w jego sposobie bycia. Poprzedniego wieczoru zostawiła paszporty na biurku hotelowym: zamieszanie spowodowane chorobą Jeffreya przeszkodziło hotelarzowi wpisać ich dane od razu do rejestru. Zrobił to dziś rano. Zeszłego wieczoru Kate i señor Martinez byli jak rodzice konferujący nad łóżkiem chorego dziecka; teraz musiał zdać sobie sprawę, że jego gości łączy jakiś gorszący związek. Wyrzut i smutek emanowały z jego postaci. Był to wyrzut w pewnym sensie filozoficzny. Spojrzenie jego pięknych, łagodnych oczu spoczywających na kochankach mówiło: „Jesteśmy wszyscy ludźmi biednymi. Nas nie stać na takie rzeczy”.

Kazał jednak dziewczynie podać im dobrą, świeżą kawę i grzanki z chleba przyrządzone na sposób angielski – wiedział wszystko o tym zwyczaju; och, tak, jego młodszy brat był kelnerem w restauracji w Manchesterze; mówił też ciągle w kółko, tak jak osoba nerwowa powtarzająca coś wielokrotnie, że bardzo mu jest przykro, ale aż do jutra nie będzie stąd żadnego autobusu. Jego zdenerwowanie wyrażało to, czego przez uprzejmość nie chciał powiedzieć, a więc, że wołałby wcześniej pozbyć się ze swego hotelu ich grzechu i rozwiąłości.

Starał się jednocześnie być uprzejmy, wyrażając żal, że miejscowość posiada tak niewiele atrakcji; ponieważ, naturalnie, są oni na wakacjach i szkoda, aby tacy



światowi ludzie byli przykuci do wsi, która nie ma nic interesującego do zaoferowania.

I w ten sposób ciągnął, podczas gdy Kate siedziała w milczeniu, świadoma, że stawiają tego miłego człowieka w fałszywej sytuacji; miała nadzieję, że półmrok zaciemnionego pokoju osłoni jej zakłopotanie. Señor Martinez nadal mówił po francusku i zwracał się do Kate; wiedział już, że Jeffrey rozumie trochę po hiszpańsku, ale ignorował go. A więc jego dezaprobatą skierowana była przeciwko mężczyźnie! Czy nie czuł żadnej w stosunku do kobiety? Jeffrey nie podobał mu się, ale Kate – mimo swojej niemoralności – chyba tak.

Kiedy skończyli posiłek, wyszli na mały plac. Był pusty. Pies leżał w cieniu. Było już tak gorąco jak w południe, sierpniowe słońce wybieliło niebo. Fontanna cicho sączyła wodę. Zaintrygował ich wielki prostokąt oszklonego okna po przeciwległej stronie: drzwi szeroko otwarte dla dostępu powietrza. Była to kawiarnia, ale goście schodzili się wieczorem; nikt nie miał czasu przesiadywać tu w ciągu dnia. W kawiarni nie było nikogo, nawet kelnera. Weszli w ulicę obok placu, minęli kuźnię i sklep. Był to sklep wiejski. Sprzedawano tam cebulę, zwykłą kielbasę, oliwę z beczki, sardynki, które straciły całą swoją indywidualność po zgnieceniu ich razem z solą zaskorupiałą na powierzchni, zielonkawo-czerwone pomidory pachnące mocno winoroślą i polami, ogromne bochny bladego chleba, paprykę. We wsi mieszkało może sto rodzin; kilka kroków dalej ciągnęły się już pola, gdzie kukurydza zaczynała żółknąć wśród drzew oliwnych i kamieni.

Wrócili w milczeniu na plac. Señor Martinez obserwował, jak próbowali zakosztować kawiarnianych przyjemności, i ustawił drewniany stół pod drzewem obok wejścia do hotelu. Pomachał do nich ręką, wskazując na stolik, i przyniósł szklanki wody mineralnej z plasterkami cytryny. Usiedli tu, wiedząc, że są obserwowani. Domy we wsi miały okna zasłonięte okiennicami, a w każdej z nich był wizjer. Kilkakrotnie jakiś wieśniak czy robotnik rolny przeszedł przez plac, życząc im dobrego dnia. Ludzie tu byli pełni godności i rezerwy. Zupełnie tacy sami jak ci, których wspominał Jeffrey. Tutaj była ta poszukiwana przez niego wartość: w powściągliwej, pełnej wyrzutu postawie señora Martinez, który mimo wszystko w tym momencie konferował w kuchni z kucharką, aby przygotować posiłek bardziej w guście przyjezdnych niż mieszkańców wsi; w zachowaniu kobiet, które siedziały lub stały za zasłoniętymi oknami, nie pokazując się wcale; w postawie mężczyzn przychodzących w południe pić wodę z fontanny.

Jednak przesiadywanie na widoku wszystkich było czymś w rodzaju kary.

Otaczała ich nędza tak wielka, że nawet ubrania tej pary, zupełnie zwyczajne w ich własnych krajach, były poza zasięgiem możliwości kogokolwiek tutaj; jej torebka, którą do tej pory uważała za rzecz zupełnie zwykłą, kosztowała prawdopodobnie tyle co miesięczne zarobki tych ludzi; teraz Kate nie mogła oderwać oczu od tego eleganckiego, błyszczącego przedmiotu, który leżał na porysowanym, drewnianym blacie stołu. Zafundowała ją sobie w hotelowym sklepie, w Kon-



stantynopolu. Ale wiedziała, że ludzie przechodzący obok nich czy patrzący przez okno nie zazdroszczą im ubrań, torebki, obuwia. Rzeczą nie do zniesienia było to, co ona i Jeffrey przedstawiają sobą, ich przypadkowa podróż, wątpliwe przyjemności, swoboda poruszania się, przelotny związek.

Znajdowali się tylko kilkadziesiąt kilometrów od wybrzeża; tam na wybrzeżu tacy jak oni byli czymś normalnym. Wszyscy, a w każdym razie wszyscy przyjezdni, jeździli z kraju do kraju samochodami, autokarami, statkami, samolotami, pociągami lub szli piechotą, przebywali kontynenty, aby zobaczyć festiwal muzyczny czy po prostu jakąś restaurację, swobodnie zawierali przyjaźnie, miłości, związki seksualne – a to wszystko ludzie tutejsi musieli uważać za zupełnie nieprawdopodobne.

Oto siedzieli tu: Kate Brown, czterdziestopięcioletnia matka czworga dzieci, żona cenionego lekarza, który prawdopodobnie w tym momencie wyklada na konferencji o jakimś szczególnie zawiłym przypadku chorobowym systemu nerwowego, i Jeffrey, który niewątpliwie od dziś za rok będzie – bez zachwyty wpawdzie, ale sumiennie – pracował w biurze prawnym swego wuja w Waszyngtonie; „kochankowie”, ale z tak znikomym zaangażowaniem uczuciowym, że gdy patrzyli wstecz na swoje wspólne przeżycia, „miłość” stanowiła w nich najmniej istotny czynnik. Prawdopodobnie sto lat dzieliło każdą kobietę czy dziewczynę w tej wiosce od możliwości korzystania z takiej swobody. Pani Bovary będzie jeszcze w przyszłości obrazem ich wykroczeń; a jeśli nawet mężczyźni, tak jak brat

señora Martineza, wyjeżdżają do Manchesteru, aby pracować tam jako kelnerzy, można być pewnym, że zachowanie i moralność tego wyuzdanego i wyrafinowanego miasta nie zostaną tu przeniesione. Ale ludzie tutejsi byli w większości chłopami, pracowali na roli. Uprawiali kukurydzę i robili z niej mąkę. Uprawiali oliwki i sprzedawali trochę owoców. Sadzili pomidory. Pracowali w majątku bogatego właściciela ziemskiego, który spędzał prawie cały rok w Madrycie lub w swojej willi na wybrzeżu, tak jak jego ojciec i dziad; płace tych ludzi sprawiały, że wioska trwała w niezmienniej nędzy.

W południe słońce tak bardzo przerzedziło listowie drzewa, że wznosiło się ono teraz nad nimi jak baldachim z koronki; wycofali się do hotelu, gdzie Jeffrey zemdlony osunął się na podłogę. Znowu Kate i señor Martinez wnieśli go na górę i położyli na łóżku.

Znowu też Jeffrey przestał być obecny, patrząc niewidzącymi oczami z wyrazem oburzenia i zdziwienia zarazem. „Dlaczego spodziewacie się po mnie tak wielkiej żywotności?” – mówiły jego oczy patrzące w sufit, po ścianach, w kwadrat oślepiającego światła, który był oknem, lub na señora Martineza. Znowu był zlany potem. Teraz właściciel hotelu wyjąkawszy przeprosiny, odchylił powieki młodego człowieka: wewnątrz kolor powiek był żółtozielony. Wskazał palcem bez słowa na jego ramiona odcinające się od białej kapy kolorem żółci. Potrząsnął głową i podreptał na dół, ażeby zatelefonować do ciotki lekarza.

Ciotka obiecała, że kiedy lekarz zadzwoni do niej, tak jak zwykle pytając o chorych, powie mu, że jest



tu młody Amerykanin z gorączką, bardzo pocący się, z żółtymi oczami i skórą. Według niej, powiedział señor Martinez, jest to wypadek żółtej febry: miała krewnego w Ameryce Południowej, który na to umarł. Wzruszył ramionami: naturalnie, nie można brać poważnie tej pocziwej kobiety.

Kate poszła na górę i znalazła Jeffreya w stanie jakiegoś wewnętrznego załamania. Leżał na plecach, tak bezwolny i słaby, że kiedy podniosła jego ramię, opadło z powrotem na łóżko z głuchym plaśnięciem. Wydawało się, jakby wszystkie kości wewnątrz jego ciała połamały się lub skurczyły. Oczy miał wpółotwarte. Wyglądał nieomal jak trup, ale nie przestawała powtarzać sobie (naturalnie bezgłośnie, jak robi się to w stosunku do dzieci lub ludzi, którzy chcą się odciąć od świata nakazów): „Tak, ale on musi wybrać albo jedno, albo drugie, musi być albo prawnikiem, albo wólcą, tylko taki wybór ma przed sobą. Gdyby tak nie było, nie leżałby tu z gorączką i żółtą skórą – ale nie chory, nie, nie chory w ten sposób, jak ktoś, kto zapadł na cholere czy choćby odrę”.

Naturalnie Jeffrey jednak chorował, naprawdę chorował, chociaż gdyby był hiszpańskim robotnikiem rolnym lub chłopem, dla którego opuszczenie dnia pracy oznaczałoby niejedzenie, nie chorowałby wcale. Nie, oczywiście, nie miała do niego urazy! Nie miała, chociaż nie mogła się powstrzymać od myśli, że wolałaby, aby ten duchowy kryzys przeżywał już w domu, w Stanach. Bo tym, naturalnie, była jego choroba... Myśląc o sobie, mruczała cicho, teraz już poza zasięgiem słuchu señora Martinez, że jest bezwstydną, gdyż znalazła

zła się tutaj tylko z powodów seksualnych. To właśnie było przedmiotem ich kontaktu – ciało, rozkosze ciała; żalując, że nie ma tu nikogo, z kim mogłaby podzielić się tym żartem, przemyśla gąbką twarz Jeffreyowi i podniosła go, aby mógł się napić.

W pokoju jadalnym siedział korpulentny mężczyzna w uniformie, z bronią u pasa. Był to uniform wojskowy. Rewolwer sprawował kontrolę, podczas gdy dziewczyna podawała zimną zupę, zimne mięso, sałatkę i chleb.

Kate, wróciwszy do pokoju, zastała Jeffreya dokładnie w tej samej pozycji, w jakiej go zostawiła. Zmusiła go więc znowu do wypicia wody, a potem sama rzuciła się na łóżko i zasnęła. Spała i spała, słuchając czegoś, co znajdowało się niejako poza zasięgiem słuchu: wewnętrzny głos sumienia chciał, aby coś zrozumiała, ale była zbyt tępą, aby to pojąć. Śniła o focie, chyba już od dawna, gdyż czuła jej ciężar w ramionach. Zwierzę było jeszcze wilgotne od wody, którą skropiła jego grzbiet. Za nią ponure słońce zataczało niski łuk nad skrawkiem horyzontu. Słońce było blade, nie grzało wcale, wszystko stawało się coraz ciemniejsze; wydawało się jej, że idzie i idzie w wiecznym chłodnym półmroku.

Następnego ranka słońce wycofując się z pokoju, zostawiło na ciele Jeffreya swój jaskrawy ślad. Kate odszukała właściciela hotelu i poprosiła go, aby postarał się znowu skomunikować z lekarzem. Ciotka jednak nie odbierała telefonu: okazało się, że ranki spędzała na modlitwach w kościele klasztornym. W czasie kiedy Kate i señor Martinez naradzali się przy oknie, jakaś ciężarówka zatrzymała się na placu. Był to stary,



poobijany ford i kierowca zaczął napełniać chłodnicę wodą z fontanny. W tym samym czasie wjechał na plac koń z wozem. Takie pojazdy musiały być używane w Hiszpanii od stuleci. Koń był spragniony, ponieważ poczłapał prosto do fontanny i zaczął pić, podczas gdy kierowca ciężarówki zanurzał pustą puszkę po oliwie tuż pod jego pyskiem.

Zmarszczka na czole señora Martineza zniknęła. Wybiegł na dwór, porozmawiał z kierowcą ciężarówki i wróciwszy, oznajmił, że człowiek ten – robotnik drogowy – zabierze Jeffreya do klasztoru pod opiekę sióstr, jeśli oni natychmiast przygotowują chorego do drogi.

Kate i señor Martinez próbowali ubrać pacjenta, który nie opierał się, ale ciało miał tak ociężałe i bezwolne, że musieli zrezygnować i owinąć go kocami. Znieśli go na dół gołego, opakowanego jak mumię, i pomogli usadowić w sfoferce. Señor Martinez postanowił pojechać razem z Jeffreyem, ponieważ zakonnice nie mówiły w żadnym innym języku poza hiszpańskim. Ani Kate, ani señor Martinez nie mogli przypomnieć sobie francuskiego słowa określającego żółtaczkę, uzgodnili więc nowy termin „la maladie jaune”; ta niefachowa diagnoza miała być przekazana klasztorowi.

Ciężarówka odjechała z placu, podskakując na wybojach, z Jeffreyem rozłożonym niczym trup między właścicielem hotelu i robotnikiem drogowym. Było to o dziesiątej rano.

Señor Martinez, który po powrocie upewnił Kate, że siostry zgodziły się zaopiekować Jeffreyem, zatelefonował w jej imieniu do klasztoru o piątej po południu; powiedziano mu, że pacjent śpi i według nich musi

być ciężko chory, oczekują jednak przyjazdu lekarza z Alicante, który w poważnych przypadkach zjawia się u nich zawsze.

Kate zdecydowała się pójść do klasztoru, chociaż nie mogła w niczym tam pomóc. Droga prowadziła wzdłuż ulicy, której przedtem nie zauważyła: była to raczej dróżka czy alejka, bardzo nędzna; po obu jej stronach ciągnęły się domki jednoizbowe: każdą izbę zajmowała jedna rodzina. Frontowe drzwi wychodziły na jedną alejkę, tylne na inną. Drzwi stały otworem i w każdej izbie znajdowały się dzieci różnego wzrostu i ich matka, prawdopodobnie w wieku Kate lub młodsza, ale o wyglądzie starej kobiety. Wielu starców siedziało na stołkach w alejce wśród drobiu i kóz. Nie widać było żadnych młodych mężczyzn czy w wieku średnim: byli w pracy. Kate szła ulicą, uśmiechając się. Czowała się zawstydzona i żadne argumenty nie mogłyby rozwiązać tego uczucia. Przy każdym prawie oddechu powtarzała sobie wciąż, że o kilkadziesiąt kilometrów stąd na wybrzeżu byłaby wtopiona w tłum ludzki, byłaby jedną z niezliczonych reprezentantek pewnej moralności wśród setek czy tysięcy – w tym miesiącu chyba milionów – takich jak ona. Ale myśl ta nie pomagała. Uśmiechy i pozdrowienia tych ubogich kobiet, w tych biednych, wytartych czarnych sukienkach, chmary dzieci, ta cała okropna, beznadziejna nędza, były oskarżeniem rzucanym jej, spacerującej tutaj w swojej eleganckiej białej sukience, z modnymi, rudymi włosami (które jednakże przy przedziałku ukazywały pasmo siwizny), z elegancką torebką, z wykreowanym, zadbanym ciałem...



Po przebyciu około stu metrów dotarła do końca uliczki, na kamieniste wzniesienie porośnięte oliwkami, między którymi biegła polna droga (ciężarówka przejeżdżała wtedy rano); popatrzyła za siebie na zapchaną, ciasną uliczkę z czarno ubranymi kobietami i bosymi dziećmi, jak z obrazów Murilla; dzieci nie odrywały od niej oczu.

Szła dalej z płonąca twarzą między drzewami oliwnymi, a potem między kukurydzą, aż do eukaliptusa, który wydzieliał ostry, nawet bardziej intensywny zapach niż oliwki. Tam był klasztor. Wysoki, kamienny mur ciągnął się łukiem po obu stronach kutej żelaznej bramy, poza którą znajdował się czysto wymieciony dziedziniec z kilkoma kwitnącymi krzewami i stał dwupiętrowy biały budynek. Kiedy przechodziła przez podwórze, inna wielka brama – najwyraźniej główna, gdyż weszła prawdopodobnie jakąś boczną furtką – otworzyła widok na kościół dominujący nad wszystkim – nad budynkiem klasztornym, murem, ozdobnymi bramami, nad oliwkami, polami, kamienistą ziemią. Jego kopuła błyszczała, odbijając czerwień zachodu. Kate zastukała do tylnych drzwi budynku i została powitana uśmiechami, najpierw przez jedną kobietę w czarnym habicie, potem dwie, potem trzy, potem całe stado, z których wszystkie wiedziały o niej i o tym, że zamierza przyjść odwiedzić ich pacjenta. Zaprowadziły ją do małego pokoju obok dziedzińca; Jeffrey leżał na żelaznym łóżku pod błyszczącym obrazem krwawiącego serca. Na niskim stole stał krucyfiks; krzyż z kości słoniowej wisiał na pobielanej ścianie.

Jakieś lekarstwo sprawiło, że Jeffrey wydawał się teraz jeszcze bardziej oddalony od rzeczywistości niż rankiem. Był całkowicie spokojny, zimny i wilgotny przy dotyku, ciało jego wyglądało jak pomalowane. Równie dobrze mogłaby nie przychodzić tu wcale, ale posiedziała chwilę na wyplatanej krześle, a tymczasem siostry przyniosły jej kawę i ciasto, potem kieliszek wina, stale uśmiechnięte i zachwycone, że tu jest, co daje im sposobność służenia Bogu. W końcu podziękowała im i wyszła. Udała się do kościoła. Był cichy, pachniał kadzidłem i Kate miała ochotę pobyć tu trochę i pomyśleć lub nawet może zastanowić się nad modlitwą, ale uznała, że nie ma to sensu. W tym małym, niepozornym, niewyróżniającym się przybytku było dostatecznie dużo złota i drogocennych kamieni, aby nakarmić i wyleczyć tysiące. Ta myśl, tutaj, nie znajdowała żadnego oparcia: była to myśl obca, tkwiła w niej drażniąca bezużyteczność spraw przegranych; mimo to buntowniczo chroniła ją w swoim umyśle, wychodząc z kościoła, aby pomaszerować z powrotem do wsi, w pachnącym, przyjaznym zmierzchu.

W uliczce zamieszkałej przez liczne rodziny mężczyźni wrócili już z pola; była zadowolona, że zapadł zmierzch pogłębiony przez ostry blask światła w zabudowaniach. Całą drogę słyszała dobry wieczór, dobry wieczór, *buenos tardes, buenos tardes*, a dzieci tłumem biegły przy niej wśród kurzu, aż weszła do hotelu, a one jak ptaki rozpierzchnęły się przed przeszkodą i uciekły, pokrzykując w ciemności.

W pokoju jadalnym w towarzystwie podstarzałego księdza, który okazał się właśnie lekarzem oczekiwanym



w klasztorze, zjadła gorącą, gęstą zupę, smażone jajka, pomidory z pieprzem i duszone pigwy. Poprosiła księdza, aby zatelefonował po zbadaniu „jej męża”; spotkała się z jego zimnym spojrzeniem, które nie wyrażało jednak świadomego potępienia, i weszła na górę do swojego pokoju, aby czekać na telefon. Ksiądz miał iść do klasztoru pieszo, tak jak i ona, po drodze na pewno pogada z wesołymi, życzliwymi kobietami w czerni, na koniec zbada Jeffreya. Dopiero po północy rozległ się przenikliwy dźwięk telefonu i señor Martinez wszedł na górę, oznajmiając, że ojciec Juan uważa, iż młody człowiek ma żółtaczkę, ale są pewne objawy, które zaprzeczają tej diagnozie. Za trzy dni, kiedy miejscowy lekarz odwiedzi klasztor w ramach swoich regularnych wizyt, będzie wiadomo coś bardziej konkretnego.

Położyła się do łóżka i zasnęła lekko, czujnie, unosząc się w płytkim jeziorze snów, gdzie cienie myśli poruszały się tak spokojnie jak ryby w jakimś miejscu bardzo odległym od ciemnej, północnej krainy, gdzie ona i jej foka odbywały swoją uciążliwą wędrówkę. Obudziła się wcześnie, kiedy dzień był jeszcze świeżą szarością płynącą poprzez ciemność. Usiadła przy oknie, aby obserwować budzenie się wsi.

Wkrótce przy fontannie ukazał się jakiś mężczyzna, wyciągnął rękę, aby skierować pył wodny na twarz, potem podsunął głowę pod strumień, przechylił się i pił; słabe promienie słońca zabarwiły jego brązowe policzki.

Czarny koń przywędrował z bocznej uliczki i stojąc z opuszczonym łbem, mrugał powiekami, odganiając muchy z oczu.

Kobieta wyszła przed dom i postawiła w kurzu drewniany stółek. Zawróciła wolno do domu i pojawiła się znowu z nożem, emaliowanym talerzem pełnym papryki i plastikową miską. Ubrana była w wyblakłą czerni biednych kobiet krajów europejskich. Usadowiła się ostrożnie na stołku, tak jakby siedzenie było czynnością, która może sprawić jej ból, i ustawiła miskę między kolanami. Przytrzymując talerz zgiętą ręką, kroila plasterki papryki do miski. Była starą, zmęczoną kobietą z siwiejącymi włosami ściągniętymi mocno do tyłu. W tej chwili Kate pomyślała – nie, tak chyba nie jest, prawdopodobnie przekonam się znowu, że wcale nie jest stara. Kobieta popatrzyła prosto na Kate siedzącą w białych falbankach przy oknie. Uśmiechnęła się i Kate odwzajemniła jej uśmiech. Naturalnie kobieta nie była starsza od Kate, ale zniszczona pracą jak koń.

Kate cofnęła się od okna i ubrała. Zjawiła się taca z kawą, słodkimi bułeczkami i dżemem. Teraz słońce buchnęło żarem. Przymknęła okiennice przed oślepiającym blaskiem i nie mając nic do czytania oprócz starych tygodników, które tu, w tej wsi, zgodnie z jej oczekiwaniami, wydawały się w każdym wierszu fałszywe i głupie, usiadła i beczynnie spędziła cały ranek aż do następnego posiłku. Zdrzemnęła się znowu, a potem poszła do klasztoru. Jeffrey leżał w wybielonej celi, której podłogę polano wodą o przyjemnym zapachu. Siostry kilka razy w ciągu dnia spryskiwały pokój pachnącą wodą, aby odświeżyć suche powietrze i aby opadł kurz, który leżał wokół klasztoru jak wybielone płótno.



Zmuszając się, poszła z powrotem wśród domostw biedoty i przesiedziała w swoim pokoju aż do obiadu, do dziesiątej wieczorem; potem miała ochotę pójść do kawiarni, która o tej porze była pełna. Naturalnie jednak nie mogła tego zrobić, gdyż w kawiarni siedzieli głównie mężczyźni. Nawet z Jeffreyem byłoby to niemożliwe lub krępujące, bo przeszkodziłoby ludziom, którzy przychodzili tu co wieczór – dla których kawiarnia była przedłużeniem ich rodzinnego życia.

Żałowała, że nie może zdobyć się na energię, aby zakończyć to, co od tak dawna powtarzała sobie, że musi zrobić – znaleźć czas na myślenie. Ale nie była w stanie myśleć, mogła tylko czuć. Tęskniła do swego domu, swego życia w nim – naturalnie tego z przeszłości. Ale to było równoznaczne z wybieganiem myślą w przyszłość i stały wysiłek, aby hamować siebie słowami: „To się skończyło, to jest przeszłością”, przynosił wciąż fale emocji, których nie potrafiła opanować.

Tęskniła do swego męża.

Jej sytuacja, od czasu gdy opuściła dom w maju, stała huśtawką uczuć od pragnienia miłości do irytacji z powodu tego pragnienia, od chęci uzyskania własnej wolności do tchórzowskiej potrzeby ograniczeń – wszystko to przekształciło się teraz w palące pożądanie, wiedziała jednak, że będzie mogła zaspokoić je dopiero w przyszłości – jesienią. Tęskniła fizycznie do swojego męża, jak niegdyś wiele lat temu, będąc jeszcze młodą dziewczyną, tęskniła do kochanka; ale naturalnie obecna tęsknota była tysiąc razy intensywniejsza, ponieważ wiele wspomnień, pobudzających ją teraz, nagromadziło się w ciągu lat. Chociaż przez cały dzień i pół

nocy zajęta była analizowaniem i przyglądaniem się swojemu małżeństwu – tak jak jakimś przedmiotowi utrzymanemu pod światło między palcami – pulsowanie jej ciała, wszystkie jej wspomnienia związane były wyłącznie z mężem. Z tym mężczyzną, na którego rozumowo patrzyła chłodno, jak na kogoś, kto dokonał świadomego wyboru dogadzania swojemu ciału, póki to będzie możliwe. Z mężczyzną, na którego patrzyła raczej ze znużeniem, a nie z chłodem, usiłując jednak zachować lojalność i postępować w duchu powiedzenia: „Nie zgadzam się z tym, co on myśli, ale będę walczyć do śmierci o jego dobro itp.”. Z tym mężczyzną, z którego uczuciowo drwiła, ponieważ traktowała go jak małego chłopca, niezdolnego oprzeć się chęci pałaszowania słodczy.

Jej pożądanie seksualne – zawieszone w próżni, nieznajdujące żadnego oparcia w tym, co myślała, w tym, co czuła, w tym, czego oczekiwała od przyszłości – pozostawało w całkowitej niezgodzie z jej postanowieniem, że teraz, dzisiaj, ma tylko jeden obowiązek: pomyśleć o tym, czym stało się jej życie i jakie powinno być w przyszłości. To pożądanie jednak nie przypominało głodu osoby, która musi się obejść bez jedzenia; nie cierpiała ani nie odczuwała palącej potrzeby, ponieważ jej seksualne chęci były niejako odłożone na później. Do jesieni. Do przyszłości, która będzie miała inny kształt, niż wyobrażali sobie jej mąż, ona sama, jej dzieci aż do owego znamienego popołudnia w maju, kiedy wszystko uległo zmianie. Przyszłość nie będzie kontynuacją tamtej przeszłości, z obecnym latem, które we wspomnieniach okaże się nieważką luką



w życiu. Nie, przyszłość zacznie się od momentu, kiedy przestała być dzieckiem. Coraz bardziej bowiem miała wrażenie, jakby wyszła właśnie z jakiegoś okresu obłądu, który trwał przez wszystkie te lata od początku dojrzewania, kiedy natura jej zaczęła się domagać mężczyzny (wtedy naturalnie pojmowała to romantycznie), aż do chwili z niedawnej przeszłości, kiedy narkotyk przestał działać. Wszystkie te lata wydawały się teraz jakby zdradą tego, czym naprawdę była. Podczas gdy jej ciało, jej chęci, jej uczucia – wszystko w niej – obracały się jak słonecznik ku jednemu mężczyźnie, przez cały ten czas trzymała w swoich rękach coś innego, coś cennego, co na próżno ofiarowywała swojemu mężowi, swoim dzieciom, każdemu, kogo знаła – co jednak nigdy nie zostało przyjęte, nie zostało zauważone. Ale rzecz, którą ofiarowywała, nie zdając sobie nawet sprawy, że to robi, rzecz zignorowana przez nią samą i przez wszystkich innych, była jej cechą najbardziej istotną.

Nawet teraz, wolna od jakiegokolwiek przymusu, sama w warunkach, które podczas tych lat, gdy oddana była całkowicie rodzinie, wydawały się tak często nieosiągalne, nie była w stanie odpocząć i pomyśleć, zrozumieć, ponieważ ciągle czuła, że płynie ku przyszłości, w ramiona swojego męża, w ten bezmiar intymnej bliskości, która niegdyś istniała. Jej umysł osądzał to jako rodzaj obłądu. Tęskniła do przeszłości, była nią opętana. Siedząc sama w swoim hotelowym pokoju, odczuwała gorączkowe pragnienie, które przenosiło ją do jej sypialni w domu, w ramiona męża; zimny wiatr podrywał liście wokół ich domu, ale ciepło pokoju odgradzało ich od chłodu; to była przeszłość.

Siedziała przy oknie, była ostatnią osobą we wsi, która jeszcze czuwała: wszystkie światła pogasły. Parę światełek wysoko na zboczu góry, gdzie wedle wyjaśnienia señora Martineza wznosił się inny klasztor, migotało z daleka jak latarnia sztormowa, która wysyła światło daleko w głąb łądu, migocąc na skutek wiatru, który nią huśta. Ale to mruganie spowodowane było poruszaniem się liści przysłaniających jedyne światło przy bramie klasztornej. Stwierdziła to, gdy wspinała się nazajutrz rano drózkami na wzgórze: wśród drzew pomarańczowych, gdzie spacerowały kury, stał samotnie mały, biały budynek. Siostra zakonna okopywała motyką ziemię między drzewkami pomarańczowymi; jej czarne rękawy odrzucone były do tyłu, odsłaniały przeguby rąk, kurz osiadł na czarnych spódnicach.

Oblubienica Chrystusa uśmiechnęła się do Kate. Kate odwzajemniła jej uśmiech.

Obląkana, pomyślała. My wszyscy, cała nasza cholerna banda, wszystko to jest zwariowane, zarówno mężczyźni, jak kobiety, wszyscy jesteśmy obląkani i nie wiemy o tym. Tutaj tkwi ta kobieta w swoim dobrowolnym więzieniu, tutaj jest ona, więzień swoich wspomnień, a tam Michael – zajęty nie tyle jedzeniem, ile kosztowaniem czekoladek.

Latarnia na bramie była żelazna i wyglądała na starą. Prawdopodobnie rozmyślnie zrobiona tak, aby wyglądała na starą. Liście, które sprawiały, że światło migotało w nocy, rosły na wiekowym drzewie oliwnym.

Kiedy wróciła do hotelu, señor Martinez zauważył, że nie powinna chodzić sama w takim upale; żałował,



że nie ma tu żadnych rozrywek, może jednak zechciałyby skorzystać z dziedzińca, który jest zamknięty dla zwykłych hotelowych gości, ale dla niej może być otwarty.

W patio znajdowała się mała sadzawka, w której z trudem można było dojrzeć złote rybki w warstwie kurzu i gęszczu roślin wodnych pokrytych masą bąbelków. Po drugiej stronie, w zacienionym kącie, siedziała stara kobieta, ciotka żony señora Martineza. Czytała modlitewnik i robiła na drutach czarny szal.

Wieczorem Kate znowu odwiedziła Jeffreya. W dalszym ciągu nie odzywał się do nikogo, jak stwierdziły siostry, ale teraz otworzył oczy, poznał ją i powiedział normalnym głosem: „Och, cześć, no jak tam?” – i z powrotem zapadł w sen czy odrętwienie.

Tego wieczora w klasztorze zjawił się miejscowy lekarz i siostry zatelefonowały do señora Martineza, donosząc, że przypuszczalnie Jeffrey jest chory na tyfus, ale nie ma powodu do obaw.

Następnego ranka tyfus został wykluczony, ale żółtaczka nie potwierdzona. Minął dzień i jeszcze jeden. Odwiedzała Jeffreya, siedziała z nim, szła do klasztoru przez ubogie ulice, alejki i pola oliwne; siedziała na dziedzińcu, zwalczała z furią swoje uczucia, złościąc się na siebie – i śniła o focie. Coraz bardziej wciągała się w atmosferę snu, tak że nawet na jawie rozpoznawała nastroje, przebłyśki uczuć (jeśli to było właściwe słowo) pochodzące ze snu, związane z foką. Jej sny były dla niej zawsze czymś bliskim, zawsze pragnęła się z nich czegoś nauczyć. Już od czasu dzieciństwa, kiedy miała pięć czy sześć lat, potrafiła przenosić się w krainę

odległą od tej zwykłej, rozświetlonej blaskiem dnia, dotknąć tam znajomego przedmiotu lub swobodnie spacerować w tym świecie, który rozwijał się jak bajka czy mit; wiele takich długotrwałych snów wplotło się w jej życie i kiedy napotykała nową fazę rozwoju znajomego tematu, leżała, czuwając tak długo, jak mogła, i rozmyślała o zjawiskach, których nie potrafiła dojrzeć nigdzie indziej, jak tylko w tych odbiciach podobnych do cieni ognia na ścianach jej snu.

Ale ten sen, sen o focie, miał zupełnie inny charakter niż wszystkie dotychczas jej znane. Nie dlatego, że wydawał się „rzeczywisty” – wiele jej snów było tak realnych jak życie na jawie. Nie, różnica polegała na atmosferze, tak szczególnie swoistej, że mogła zanurzyć się w niej, nawet kiedy foka się nie pojawiała – kiedy była w pewnym sensie czasowo poza sceną, zajęta gdzieś indziej własnymi sprawami. Mogła zapaść w sen i wiedzieć, że jest to „sen o focie”. Wchodzenie w ten sen było równie istotnym zajęciem w jej obecnym życiu, jak pobyt w tym hotelu w biednej zakurzonej wsi w czasie upalnego sierpnia, jak wizyty u Jeffreya i czekanie na jego wyzdrowienie, jak walka ze swoją uczuciową jaźnią, która wydawała się zdradzać ją samą. Wplątana była w sen, który toczył się w jej świadomości, w niej samej.

Pewnego gorącego popołudnia w czasie sjeśty znalazła się z foką na arenie; rzymski amfiteatr wznosił się w północnym krajobrazie. Była na dole, na samej arenie. Nagle otworzono klatki w murze otaczającym arenę i wyskoczyły z nich dzikie zwierzęta. Lwy, lamparty, wilki, tygrysy. Biegła z foką, wspinając się na galerię



tak wysoko, jak potrafiła, a zwierzęta goniły za nimi. Z wysiłkiem wdrapała się na sam szczyt amfiteatru, na kruchą drewnianą balustradę, która trzęsła się pod ciężarem jej i foki. Przyłgnęła do balustrady i podciągnęła nogi w górę, starając się unieść fokę poza zasięg kłów i pazurów. Otaczał ją straszny hałas warczących i ryczących zwierząt. Myślała, że zabraknie jej sił, aby trzymać dłużej fokę w bezpiecznej odległości. Jej siły wyczerpywały się, a zwierzęta podskakiwały, kłapały zębami i warczały u jej stóp, tuż-tuż przy pokrytym bliznami ogonie foki. Potem dzikie skoki stały się słabsze i wkrótce znalazła się ze swoim ciężarem daleko od zwierząt, które zmniejszyły się, skurczyły i zniknęły.

Minął już tydzień od czasu, kiedy zabrano Jeffreya do klasztoru. Nie, z całą pewnością nie chorował na tyfus, chociaż zakonnice i lekarz przeżyli ciężkie dwie doby. Nie przypuszczali również, aby była to żółtaczka, gdyż żółtość skóry zanikała. Ustąpiła wreszcie zupełnie, ale teraz miał dość wysoką temperaturę. Pewne było tylko, że jest chory i zbyt słaby, aby podróżować.

Kate odwiedzała go codziennie, czasami dwa razy w ciągu dnia. Poznawał ją teraz i rozmawiali, co prawda niewiele, ale przyjaźnie i ze wzajemną sympatią, jak na początku w Konstantynopolu. Jego gorączka rosła i opadała. Mówił, że czuje się tu szczęśliwy. Od dawna pragnął właśnie leżeć w takim skromnym pokoju i patrzeć na drzewo, klomb petunii, krzak jaśminu w blasku słońca. Nie wierzył, że jest chory. Zapominał o dniach, w których był półprzytomny, i nie zdawał sobie sprawy, że przez wiele dni był nieświadomy niczego. Jego pobyt w klasztorze rysował mu się jako okres

spokoju. Oto leży sobie w białym łóżku, w białym pokoju i przygląda się liściom i kwiatom.

Kiedy Kate nie była w klasztorze, godzinami prześadywała na dziedzińcu hotelowym. W nocy siedziała przy oknie i obserwowała księżyc w pełni, bacznie chroniąc się przed zdradliwością wspomnień, pragnień i fałszywych nadziei.

Jednego dnia spacer do klasztoru okazał się ponad jej siły. Było zbyt gorąco, spała zbyt długo w czasie sjeśty, czuła lekkie mdłości po ciężkim, nieodpowiednim o tej porze roku jedzeniu; poprzedniej nocy był już chyba świt, gdy opuściła okno wypełnione blaskiem księżycy, gwiazdy na niebie, światelko klasztoru migocące u stóp wzgórza poprzez ruchomą zasłonę liści. Poprosiła señora Martineza, aby zadzwonił do klasztoru i zawiadomił Jeffreya, że ona nie przyjdzie tego wieczora; pozostała w łóżku, nie schodząc na dół na obiad, rano odesłała tacę z nietkniętym śniadaniem i kiedy señor Martinez zjawił się w jej pokoju, aby dowiedzieć się o jej zdrowie, odczytała z jego twarzy, że tak jak Jeffrey jest chora.

Och, więc to było tylko to? Czuła się tak dziwnie - nie wiedziała, jak to opisać, ale świadomość, że może dostała żółtaczki czy czegoś innego, na co choruje Jeffrey, była uspokajająca. Całą ostatnią noc leżała w łóżku - siedzenie przy oknie było ponad jej siły - i obserwowała posuwanie się księżycy przez ugwieżdżony kwadrat; szła jednocześnie na północ z foką w ramionach. Wierzyła, że gdzieś przed nią musi być morze, bo jeśli nie, zarówno ona, jak i foka zginą. Śnieg zaczął prószyć, gromadząc się w rozpadlinach i wgłębieniach



wśród ostrych, czarnych skał. Drżała i cieszyła się, że ciało foki przylega do jej ciała, chroniąc je. Foka oparła głowę o jej ramię i Kate czuła miękką szczecinę na swoim policzku. Foka była ledwo żywa, wiedziała o tym. Wiedziała, że wkraczając w tę zimę, która leży przed nią, niosła swoje życie i foki – tak jak suchy listek na wyciągniętej dłoni w zimnym wietrze.

Señor Martinez powiedział, że powinna upoważnić go do zatelefonowania do ciotki lekarza, która poprosi doktora, aby przybył i ją zbadał. Kate zrozumiała, że jest na początku procesu, który może zaprowadzić ją do wybielonej celi obok tej, w której leży Jeffrey. Jeśli była chora lub miała zachorować, to powinna wracać do domu. Do tej chwili wydawało się jej niemożliwe zostawić tu Jeffreya samego, bo według niej świadczyłoby to o braku serca czy nieodpowiedzialności, teraz jednak powiedziała sobie, że jest on przecież mężczyzną trzydziestoletnim i będzie żył nadal i prawdopodobnie radził sobie doskonale, nawet jeśli przestanie spędzać z nim godzinę raz albo dwa razy na dzień; nie była zresztą w stanie robić tego nadal. Musi go opuścić. Posłała mu telefoniczną wiadomość przez señora Martinezę i siostry, poprosiła też señora Martinezę o papier listowy, gdyż hotel nie posiadał własnej papeterii, i napisała do Jeffreya. Był to krótki, zabawny list: pełen żalu i ironii w związku z sytuacją, w jakiej się znaleźli. Pisząc go, zrozumiała, że jest chora, ponieważ wymagało to ogromnego wysiłku z jej strony. Wiedziała, że we właściwym czasie otrzyma podobny list od Jeffreya. Wtedy już ta mała wioska i ich odmienne przeżycia zapadną się w przeszłość, jak filmy, które choć róż-

ne, zaczynają się jednak od tej samej sekwencji. W ich wypadku od obrazu mężczyzny i kobiety w wiejskim autobusie, który zatrzymuje się w nieznanym miejscu. Oboje patrzą w jaskrawy księżyc. Widać wiejski plac. Na brzegu małej, popękanej fontanny świeci biała porcelanowa filiżanka. Przy kawiarni siedzą mężczyźni, pijąc piwo. Jest tu kilka drzew, które nie wyglądają normalnie. Czy obumierają? Nie, są pokryte grubą warstwą kurzu.

Kiedy stała obok fontanny ze swoją walizką, po zapłaceniu niewiarygodnie skromnego rachunku, señor Martinez ścisnął jej ręce w swoich dłoniach, a oczy miał pełne łez. Też poczuła łzy napływające do oczu. I znowu była zakłopotana, bo chociaż señor Martinez polubił ją, och, tak, naprawdę polubił ją bardzo, i rozumiał dobrze, dlaczego ten chory młody człowiek wybrał właśnie ją, choć o tyle starszą od siebie (paszporty ujawniają wszystko), to był zgorszony, w dalszym ciągu zgorszony, co prawda z uczuciem żalu: wiedział, że świat toleruje obecnie tego rodzaju stosunki, ale nie sądził, aby dzięki temu świat stał się lepszy. To wszystko i wiele jeszcze innych rzeczy przekazywał w uścisku swoich rąk, w spojrzeniu wilgotnych, pełnych życia oczu; tymczasem autobus stał, warczał łagodnie w słońcu wczesnego poranka w oczekiwaniu na dwóch pasażerów, na Kate i młodą dziewczynę, która, jak wyjaśnił señor Martinez, jest córką wieśniaka uprawiającego pomidory na polu przy drodze do klasztoru; dziewczyna jechała na miesiąc jako służąca do hotelu na bogate wybrzeże, po czym miała wrócić do domu, aby pomagać matce w opiece nad sześciorgiem młodszych dzieci.



Señor Martinez wniósł walizkę do autobusu i powiedział kierowcy, że señora nie czuje się dobrze i powinna być traktowana ze specjalną uwagą. W istocie, Kate potrzebowała opieki; jazda na wybrzeże była udręką mdłości i upału, a blask morza, kiedy tam dotarła, przyprawił ją o zawrót głowy. Było południe. Bolała ją głowa i powinna położyć się do łóżka, ale teraz wiedziała, że musi zrobić jedno – jak najprędzej powrócić do Londynu.

Na wybrzeżu znalazła następny autobus i wkrótce była w mieście, które posiadało już agencję turystyczną; o piątej po południu dotarła do lekarza. Kilka kilometrów w głąb kraju, wśród tych ubogich ludzi, zdobyć lekarza wymagało dni oczekiwań i interwencji sług Kościoła.

Doktor wysłuchał wszystkiego, co miała do powiedzenia o żółtaczce i tyfusie, zbadał ją i stwierdził, że według niego jest anemiczna. Poradził jej skonsultować się z własnym lekarzem zaraz po przyjeździe do Londynu, chociaż, dodał, on osobiście jest zdania, że wkrótce wyzdrowieje całkowicie. Przepisał jej środek uspokajający i policzył sobie za wizytę coś około pięciu funtów. Naturalnie w czasie najwyższego przypływu, kiedy rzeki złota płynęły w dół i w górę wybrzeża i kiedy señora była wyraźnie osobą zamożną – wystarczyło popatrzeć na jej suknię, torebkę i pantofle! – czy nie było to słuszne?

Señora stwierdziła, że opinia lekarza co do jej zdrowia pokrywa się z jej własną co do Jeffreya, że jego niedyspozycja – przynajmniej na początku – była chorobą woli; mimo to czuła się zbyt słaba na jazdę autobusem

czy autokarem i na nowo wkroczyła w świat zamożnych, wynajmując auto na lotnisko.

Tam zdrzemnęła się na krześle, oczekując na jakieś wolne miejsce w samolocie; godziny wlokły się w nieskończoność. Położyła się na kanapce, odgradzając plecami od ciekawości czy dezaprobaty innych pasażerów. Odczuwała wciąż deprymujące mdłości, charakterystyczne przy tej tajemniczej chorobie, i kiedy w końcu, następnego ranka, znalazła się w samolocie, zdała sobie sprawę, jak okropny popełniła błąd. Miała pewność, że umrze, pragnęła tego, i podtrzymywała ją jedynie myśl o własnym łóżku, we własnym pokoju z kwiecistymi zasłonami, spoza których widać zielone gałęzie przesiewające blask słońca czy chmur lub światło księżyca. Boże, nie mogła doczekać się powrotu do swojego własnego domu! Marzyła, że chociaż jedno z jej dzieci wróciło już z wakacji i będzie mogło jej pomóc. Podawała już adres taksówkarzowi, kiedy przypomniała sobie, że nie ma prawa do swego domu; był on pełen obcych ludzi. Poprosiła kierowcę, aby poczekał, aż się namyśli. Zrobił to, a zegar odmierzał czas kłopotliwych rozważań; rozumiała, że szaleństwem było szukanie hotelowego pokoju w Londynie w sierpniu. Nie chciała jednak zatrzymywać się u przyjaciół, a szczególnie u Mary, która z pewnością przyjąłaby ją z entuzjazmem, o ile nie była zajęta jakimś romansem; jej dzieci również były nieobecne.

W końcu powiedziała taksówkarzowi o swoich kłopotach i zaznaczyła, że wynagrodzi go za pomoc w ich rozwiązaniu. Ruszył w kierunku centrum Londynu, obracając się od czasu do czasu, aby sprawdzić,



jak się czuje, czy nie powinno jej się zawieźć do szpitala; potem jeździł od hotelu do hotelu, zostawiając ją w taksówce, podczas gdy sam przedstawiał jej sprawę w recepcji – w jednej, drugiej, trzeciej, czwartej. W końcu w hotelu w Bloomsbury, którego pani doktorowa Brown nie wybrałaby nigdy, gdyż był za drogi, taksówkarz przyszedł oznajmić jej, że jeśli jest w stanie poczekać około godziny, to zwolni się pokój dwuosobowy z łazienką; cena przeraziła ją, ale nie miała wyboru.

## Hotel

Po rozliczeniu się z taksówkarzem zapłaciła za hotel; zapytano ją, czy czuje się na tyle znośnie, by poczekać na zwolnienie pokoju, siedząc w foyer? Pytanie to i okazana troskliwość były zachwycające; gdzieś indziej mogłaby teraz przebywać, chyba że udałaby się do szpitala. To jednak zostało odrzucone przez taksówkarza i recepcjonistę po naradach, w których musieli zapewne wziąć pod uwagę infekcję, epidemie, sprawy tego rodzaju. Nie, recepcja, taksówkarz i ona sama zdecydowali, że nie jest chora, ale raczej wyczerpana, tak więc siedziała słaba w foyer i starała się odzyskać równowagę umysłu, koncentrując się na obserwowaniu otoczenia. Na pewno Europa w sierpniu, oglądana z jakiegoś odpowiedniego punktu geograficznego, na przykład ze szczytu Alp, przez wyjątkowo silną lunetę, musiała wydawać się terenem wędrówki ludów, wymiany rzesz państwa. W tym foyer ozdobionym rabatami kwiatów – sztucznych, ale imitujących tak wspaniale naturę, że kwiaty prawdziwe wydawałyby się przy nich cherlawe i nie na miejscu – uniformy licznego personelu, świąteczne ubiory przyjezdnych przysłały naprawdę interesujący fakt: że była tu prawdopodobnie jedyną



Brytyjką. Rozbiegani gońcy i portierzy, uśmiechnięte i promieniające sympatią spoza swoich biurek niańki, w rodzaju tych, do których sama niedawno należała, kelnerzy, jak również goście – wszyscy rekrutowali się z różnych stron Europy. Równie dobrze mogłaby być teraz w Konstantynopolu, w Maladze czy Alicante – mogłaby znajdować się gdziekolwiek bądź, chociaż, naturalnie, nie w wiosce, którą wczoraj opuściła. Jej uszy w dalszym ciągu usiłowały uchwycić grupy dźwięków, do których nie posiadała klucza, wchłaniając w tym samym czasie inne sekwencje brzmień, które łatwo znajdowały drogę do jej umysłu. Młoda para obok niej mówiła po niemiecku; obrócili się i zaczęli się jej przyglądać, a Kate zastanawiała się, dlaczego to robią. Nie odrywali od niej oczu, patrząc raczej przyjaźnie, ale z uwagą. Byli bardzo atrakcyjni i wyraźnie wyglądali na bogatych. Mimo parnego londyńskiego lata mężczyzna miał na sobie długie futro, podobne do tkaniny moleskinowej, w bladym fiołkowym kolorze. Może zresztą był to miękki zamsz. Płaszcz był cały zapięty, z wyjątkiem kołnierza ukazującego pod spodem jasną plamę białego jedwabiu. Oczy jego były ciemne i tklive, włosy ostrzyżone na pazia, opadające w miękkich, czarnych lokach. Dziewczyna była jego sobowtórem. Miała ciemne włosy, podobnie przycięte. Jej oczy i uśmiech były równie zachwycające. Ubrana była w długą, białą krepdeszynową suknię zapiętą z przodu i wzdłuż rękawów na mnóstwo malutkich guziczków obciągniętych materiałem. Nosila bardzo długie, kryształowe paciorki i białe sznurowane buty. Ręce jej, z wyglądu zręczne, szybkie, ozdobione były na

każdym palcu pierścionkiem. Nawet w tym dobrze odżywionym, dobrze zharmonizowanym tłumie ci dwoje wyróżniali się, promieniując szczególną harmonią zmysłowego doboru. Wystarczyło tylko, aby weszli do pokoju, a każdy wiedział już, że ich posiłki, stosunki fizyczne, rozmowy, ich sen – stanowią na pewno ucztę. Wyglądali tak, jakby przez całe życie gładziły ich niewidoczne ręce zanurzone w miodzie... Kate wpatrywała się w tych dwoje. Dlatego oczywiście i oni patrzyli na Kate: „Tak, jesteśmy przyzwyczajeni do tego, aby się nam przyglądano, wiemy, że jest to cena, którą musimy płacić za to, że jesteśmy tak pięknie ubrani, za to, że jesteśmy sami piękni, ale nie należy przesadzać!” Kate odwróciła wzrok w inną stronę i słuchała ich niemieckiego – nie, teraz mówili po francusku i zastanawiali się, czy wynająć auto, aby odwiedzić przyjaciół, którzy mieszkają w Wiltshire, czy najpierw zjeść lunch – nie, nie w restauracji w tym hotelu, gdzie było jasne, że nie można oczekiwać jedzenia zbyt... Dźwięki wydawały się odpływać i przyplływać, odnosiła nieomal wrażenie, że ją wachlują; czoło miała zimne i mokre; młoda uśmiechnięta kobieta w jaskrawym czarno-białym uniformie nachyla się nad nią i zaprasza ją w mocno akcentowanych zdaniach angielskich, aby przeszła do swego pokoju. Ponieważ Kate patrzyła ze zdumieniem, zaproszenie zostało powtórzone.

– Przykro mi – powiedziała Kate. – Nie czuję się dobrze.

Zrobiła wysilek, aby się podnieść, ale się zachwiała, a dziewczyna podtrzymała ją. Ciepło i troska spłynęły już na Kate: och, tak, dziewczyna знаła swoje obowiąz-



ki – kto mógł to lepiej ocenić niż Kate, która tak niedawno robiła to samo?

– Tak mi przykro, powiedziano mi, że nie czuje się pani dobrze i wygląda pani na to, ale proszę pozwolić, że zaprowadzę panią do jej pokoju, powinna się pani koniecznie położyć do łóżka, widać to od razu.

Człowiek musiał czekać na tę opiekę, za którą płacono się tak wielkie sumy – był to środek lata, sierpień – ale gdy już raz machina życzliwości zaczęła działać, usługi były najwyższej jakości.

Opatulona jak larwa w kokonie czułością i ciepłem, Kate znalazła się wkrótce w swoim pokoju, a młoda dziewczyna, Anya z Austrii, przebywająca w Londynie dla ostatecznego oszlifowania swego, wyraźnie już doskonałego, wyszkolenia w funkcjach kierownika hotelowego, pomogła Kate rozebrać się, położyła ją do łóżka, zaciągnęła zasłony, ażeby stłumić światło, zawołała służących z piętra, polecając im przynieść herbaty z cytryną i sucharki, doradziła odpoczynek, spokój, ciszę – i odeszła, przekazując Kate opiece innej młodej dziewczyny. Była to Włoszka, równie czarująca i troskliwa, która przebywała tu, aby udoskonalić swój angielski i zdobyć dodatkową praktykę. Nie była ona tak dalece zaawansowana w funkcjach zarządzania jak jej koleżanka – Anya, ponieważ tkliwa czułość i troskliwość Anyi rozprzestrzeniały się na wszystkie piętra hotelu, natomiast Sylvii tylko na to jedno piętro.

Sylvia wycofała się po zadeklarowaniu swoich usług na każde zawołanie Kate.

Kate leżała w pokoju wielkości najmniejszego pokoju sypialnego w jej domu. Był zaplanowany i wy-

ekwipowany jak kasetka z przyborami do szycia. Łóżko jednoosobowe, w którym leżała, było takie, jakie dzieliła z Michaeliem przez pierwsze lata, kiedy mogli sobie pozwolić tylko na najmniejszy wymiar małżeńskiego łóża. W odległości wyciągniętej ręki stało drugie, takie samo łóżko, nakryte popielatą skórą, na której dwie różowe poduszki rozłożone niedbale przypominały atmosferę rodzinnego domu i komfortu: wszystkie inne przedmioty w tym pokoju miały charakter funkcjonalny. Zasłony były grube, różowego koloru; nadawały się do prania w pralce i nie wymagały prasowania; co za sens jest przebywać w hotelu, jeśli patrzy się na wszystko okiem gospodyni domowej? Mimo to ciągnęła dalej swoją inwentaryzację: dywan miał odcień ciemnoszary, aby nie było widać na nim brudu. Ściany, stwierdziła, nie zostały mądrze wytapetowane: były białe, o nierównej, bąblowatej fakturze materiału; takie ściany musiały być prawdopodobnie odkurzane co najmniej dwa razy w tygodniu. W pokoju był telewizor i radio oraz deska rozdzielcza za łóżkiem, pełna przełączników i przycisków do naciskania i przekręcania.

Ale nie było tu spokojnie, nie – pojazdy szalały i wyły pod oknem, które przy tej pogodzie musiało naturalnie być otwarte, a gdzieś niedaleko na korytarzu znajdował się chyba jakiś pokój służbowy: dochodziły stamtąd głośnie brzęki i śmiechy. Mogła tu mieć ciemność, bezruch, odpoczynek – ale nie będzie miała ciszy i spokoju.

Powinna jednak zanurzyć się w sen, dopóki nie minie ta nieokreślona choroba. Żółtaczką? Nie, nie była wcale żółta. Jej ciało również nie było zimne; przeciw-



nie, paliło ją, tak jakby suchy żar Hiszpanii nadal pozostawał w jej tkankach. Wydawało jej się, że ma gorączkę, i bolała ją głowa. Miała mdłości i czuła, jakby niezależnie od żaru zewnętrznego tkwił w niej jakiś zimny, przejmujący chłód... Zdała sobie teraz sprawę, jak okropna była ta długa podróż w trzęsącym się autobusie i w samolocie, a potem jeszcze w taksówce – koszmar gorącego, mdłego ruchu wypełnionego deprymującymi nudnościami.

Musiała zwymiotować. Zwymiotowała. I znowu... Trzymając się oburącz umywalki, zobaczyła w lustrze bladozieloną twarz ze szkarłatnymi plamami na policzkach i proste strąki matowych rudych włosów opadające na twarz. Siwizna była coraz bardziej widoczna. Kości twarzy uwypuklały się mocno, skóra była zmięta i ziemista. Gdyby z tą twarzą przespacerowała się przez wieś, kobiety uznałyby ją za jedną z nich: chwiejnym krokiem wróciła do łóżka i zapadła w drzemkę. Zdała sobie sprawę, że ktoś cicho zapukał do drzwi, że weszła Sylvia i uśmiechnięta twarz pochyliła się nad nią. Ale Kate nie poruszyła się; a potem nastąpił długi, wolno posuwający się czas przebywania pod wodą, w pokoju, w którym dzień i noc różniły się tym, że czasem była to ciemna, hałaśliwa jaskinia, którą przecinały błyszczące pionowe smugi światła, od których musiała odwracać twarz, a czasem ciemna jaskinia oświetlona poziomą smugą nad podłogą, od której również musiała chronić oczy. Sylvia przychodziła często z napojem cytrynowym, w którym rozmieszane było białko jajka, co uważała za odpowiednie lekarstwo dla Kate w jej stanie zdrowia. Napój był wspinały i Kate wypijała każdą

szklanke, która pojawiła się obok niej – a po wyjściu Sylvii wymiotowała. Wiedziała, że Sylvia pełni funkcję szpiega kierownictwa hotelu, które chciało mieć pewność, że Kate nie cierpi na jakąś poważną chorobę, gdyż naraziłoby to ich na nieprzyjemności ze strony władz. Sylvia donosiła o stanie Kate, co oczywiście robiłaby też Kate, będąc na jej miejscu. Nie miała do niej żalu; przeciwnie, starała się tylko ukryć przed nią fakt, że wymiotuje tak często i tak gwałtownie i że hałas jest dla niej cierpieniem gorszym niż mdłości. Kate bowiem, leżąc w półśnie, czuła, że hałas niweczy wszystko wokół niej, czuła, że wali się na nią z łomotem i powoduje ból w kościach; zgrzyt hamulców na ulicy raził jej kręgosłup, a wielojęzyczne rozmowy dochodzące z korytarza, głuche odgłosy kroków pulsowały i drgały w powodzi doznań zalewających jej umysł.

Z korytarza dochodził wielokrotnie ciężki, furkoczący dźwięk; chyba pytała o to Sylvię, ponieważ zapamiętała odpowiedź, że wózek na rolkach rozwozi środki do utrzymywania czystości, a inne wożą posiłki, napoje i papierosy, i że te wózki podróżują w górę i w dół po piętrach przez cały dzień i większą część nocy. Brzęczały, grzechotały i trzęsły cienkimi ścianami, podczas gdy okna dygotały od ruchu ulicznego.

Musiała chyba też prowadzić inne rozmowy z Sylvią. Na przykład wiedziała, że Sylvia pochodzi z jakiejś wsi koło Wenecji, gdzie ojciec ma gospodę, a cała rodzina pomaga mu w jej prowadzeniu. Sylvia też wykonywała wszystkie prace w rodzinnej gospodarce; była kelnerką, służącą, kucharką, zastępowała nawet ojca, kiedy zeszłego lata wyjechał na wakacje z matką do



Szwecji. W następnym roku będzie w hotelu w Lyonie, będzie pracowała w charakterze takim jak Anya teraz: posunie się więc o szczebel wyżej. A jeszcze rok później? Wyjdzie za mąż za swego narzeczonego, który obecne lato spędza w Zurychu, praktykując w handlu winami. Dostaną posadę w tym samym hotelu, może we Włoszech, ale niekoniecznie, mogą być we Francji, w Niemczech, nawet tutaj, w Anglii. Ostatecznie może to być gdziekolwiek, czy nie ma racji? Widziała siebie jako kierowniczkę, jego jako kierownika w dobrym hotelu, powiedzmy tej klasy lub nawet wyższej. Ten hotel jest bardzo dobry, tak, wywarł na niej bardzo korzystne wrażenie, ale w przyszłości chciałaby prowadzić hotel na wsi, taki jak ojca, tylko na dużo wyższym poziomie, dla ludzi bardzo bogatych, których stać jest na kupienie sobie doskonałej prostoty, doskonałego spokoju, wszystkiego na najwyższym poziomie. Naturalnie, wówczas sama Sylvia nie będzie już tą jedyną rozdawczynią życzliwości i uczucia na każde zawołanie; do tej funkcji zostaną zaangażowani inni ludzie.

Tymczasem jednak spełniała tak dobrze swoje obecne zadania, że jej twarz w zaciemnionym pokoju nachyloną nad Kate stała się dla niej symbolem pociechy i dobroci; śmieszne, absurdalne – tak, oczywiście, Kate, chociaż chora, zdawała sobie z tego sprawę, ale jednak jak bardzo było tu przyjemnie. I nic dziwnego, że przystojna para – on w swoim futrze miękkim jak jedwab, ona w białej krepdeszynowej sukni z setkami guzików, z których każdy obciągnięty był w jedwab o innej nieco fakturze niż krepdeszyn, tak że na pierwszy rzut oka wydawały się nieomal wypolerowaną kością

słoniową – nic więc dziwnego, że ta para była tak ufna, tak pewna siebie, tak opanowana, nie starając się nawet o to: samopoświęcenie Sylvii i tysiąca innych, podobnych do niej, sprawiło, że stali się tacy. Gdzie byli teraz? W Szwajcarii? W Grecji? Ale nie musieli przecież ograniczać się do Europy; mogli być już w Ameryce Południowej czy w Islandii.

Kate stwierdziła, że jest całkowicie rozbudzona i otacza ją prawdziwa cisza. Nic nie turkotało na korytarzach i ruch uliczny zamilkł. Poczuli się głodni. Po zatelefonowaniu odkryła, że jest czwarta nad ranem; zdecydowała jednak, że przebywając w takim hotelu, może sobie pozwolić na swobodne korzystanie z wszystkiego. Służba przyniosła jej jakieś zimne danie i kieliszek dobrego wina, ale było to przedwcześnie. Zjadła trochę i znowu zwymiotowała, ale w dalszym ciągu zachowała pełną przytomność i gotowa była rozpocząć życie na nowo. Wstał dzień wraz ze swoim zgiełkiem; światło raziło blaskiem. Podniosła się z łóżka i ubrała. Suknia wisiała na niej jak na kołku, waga wskazywała, że straciła siedem kilogramów. W ciągu jakiego czasu? Starła się przypomnieć sobie, ale zdołała tylko wynioskować, że musi być teraz początek września.

Stała przed lustrem, zasłony na oknach były wreszcie odsłonięte, ukazując plac zapchany rozżarzoną masą aut, a nad nimi ciężki, wilgotny baldachim listowia. Zobaczyła kobietę – same kości: wystające łokcie, grube kolana ponad cienkimi łydkami; miała ona małe, ciemne, niespokojne oczy w białej, obwisłej twarzy otoczonej zmierzwioną masą miedzianych włosów. Siwa linia przedziałku była już szeroka na trzy



palce. Wyglądała jak ktoś obcy, nic z ładnej, zadbanej kobiety z domu w południowym Londynie, a ludzie, którzy z taką przyjemnością oglądali miłą, uśmiechniętą, elegancką Kate w organizacji „Żywność dla Świata” i w Kostantynopolu, nie poznaliby jej teraz.

Powodem były włosy, włosy przede wszystkim... ale nic łatwiejszego, jak to naprawić. Zatelefonowała do salonu fryzjerskiego w hotelu, prosząc o zarezerwowanie godziny, dowiedziała się jednak, że będzie musiała czekać aż do późnego popołudnia; zrozumiała również, że nie ma dość sił na to wszystko, co zaplanowała zrobić. Chciała przespacerować się ulicami, które oddzielały ten hotel od siedziby „Żywności dla Świata”, i odebrać listy, które powinny czekać tam na nią. Rzeczywiście nie miała sił, bo zemdląca; znalazła się na podłodze z potłuczonym ramieniem, położyła się z powrotem do łóżka i poprosiła o posłanie po jej listy hotelowego gońca. Nie było ich wiele. Chodziło jej najbardziej o listy od męża, tęskniła do nich. Wysłała do niego wiele pocztówek i jeden list z Kostantynopola, w którym pisała, że chce „wpaść” do Hiszpanii, wiedząc, że na pewno pomyśli, iż znalazła atrakcyjne towarzystwo; zdecydowała jednak, że lepiej powiadomić go o tym teraz, tak aby miał czas to przetrwać. Były dwa listy od Michaela, ciepłe, pełne humoru i informacji o wszystkim, łącznie z poczynaniami ich córki, która z kilkorgiem przyjaciół przebywała w Filadelfii i być może zakochała się poważnie. Listy te przekreśliły wszystkie krytyczne myśli, jakie kiedykolwiek snuła na temat swojej sytuacji, swojego małżeństwa. Leżała w łóżku znowu bardzo chora, ale

pełna tęsknoty do męża, do tej zażyłości opartej na wzajemnym zrozumieniu, do ich intymności. Wydawało się jej teraz, że była dziecinna, czując kiedykolwiek urazę z powodu jego romansów; nie miały znaczenia, gdy porównało się je z faktem, że jeśli ona wyciągnęła rękę do niego lub on do niej, w geście tym zawarte było ćwierćwiecze spędzone razem. Puste łóżko na odległość ramienia od jej łóżka ubliżało jej; to, że w ogóle się tutaj znalazła, że porzuciła nawet na moment kanwę, w którą wplecione było jej życie, wydawało się błędem, który popełnić może tylko kobieta szalona. Gwałtowność tych reakcji, jej niechęć do podniesienia się znowu z łóżka, jej skłonność do płaczu, pragnienie wysłania telegramu do męża z prośbą, aby wrócił do domu – to wszystko przekonało ją, że jest nadal chora i że może byłoby rozsądnie wezwać lekarza. Ale po zdecydowaniu, że to robi, ześliznęła się znowu w sen, daleko od siebie samej, aby pozbyć się swojej deprymującej tęsknoty do męża, do cokolwiek. Śniła, że znajduje się w kraju, w którym sosny i świerki stały wokół niej w gęstym, czystym śniegu. Niebo było bezsłoneczną szarością. Zbliżyła się do wsi, gdzie wszystko zbudowane było z drewna i ludzie wylegli z domów jej na spotkanie, wśród nich – wyższy i górujący nad innymi – młody król, ten, którego spotkała w drewnianym domku i kochała się z nim, podczas gdy foka leżała w łaźni. Był jasnowłosy, miał przystojną szczupłą twarz i bardzo niebieskie oczy. Ale od czasu gdy go ostatnio widziała, postarzał się wyraźnie. Nachylił się, aby ją pocałować, dokumentując swoje prawa do niej, a potem porwał ją w wir



tańca. Wszyscy ludzie z tej wsi tańczyli, starzy i młodzi, mężczyźni i kobiety; trzymali się za ręce lub w pasie i obracali w kółko. On i ona – młody król i Kate – tańczyli na podwyższonej drewnianej estradzie, tak aby mieszkańcy wsi mogli ich wyraźnie widzieć, ponieważ wirując, nie odwracali oczu od swojego króla i od niej, wybranej przez niego małżonki; wszyscy uśmiechali się i śmiali w głos, ciesząc się, że jest tam z królem. Muzyka była głośna, lecz nie wiedziała, skąd płynie. Potem młody król zszedł z estrady, pozostawiając ją samą, i ująwszy za ręce młodą dziewczynę, która tańczyła z chłopcem, chyba swoim bratem, wciągnął ją z uśmiechem na estradę i zaczął z nią tańczyć. Jej długie, złote warkocze, przewiązane czerwoną wstążką, fruwały wokół niej, kiedy wirowała po estradzie prowadzona ręką króla obejmującą ją w talii i śmiała się, gdy jego uśmiechnięta twarz pochylała się coraz bliżej ku jej ustom w pocałunku. Kate uciekała coraz dalej z uczuciem wielkiego żalu. Mieszkańcy wioski biegli za nią, krzycząc: stała się nieprzyjacielem, ponieważ została porzucona. Złapali ją i przytrzymali; młody król nie zważał na nich ani na Kate, tańcząc nadal z dziewczyną. Wsadzili ją do dołu obramowanego drewnianą ramą, tak że otaczały ją żywiczne deski, nie mogła jednak wydostać się stamtąd; oczy jej były ponad krawędzią dołu i widziała, jak młody król tańczy z dziewczyną na estradzie. Krzyknęła, że została niesprawiedliwie uwięziona, niesprawiedliwie odsunięta, a król, na którego uśmiechniętej twarzy pojawiła się złość, przeszedł szybko przez śnieg, ciągnąc swoją partnerkę za rękę, i stanął nad dołem, strofując ją za

brak szlachetności, małostkowość i krytycyzm, za jej brak uczuć społecznych, ale przede wszystkim niezrozumienie praw, które rządzą życiem: król musiał tańczyć z każdą kobietą i dziewczyną po kolei, dopóki każda z nich nie zostanie wyróżniona przez ten taniec z królem na estradzie, na oczach całej wsi. Zabawa toczyła się dalej, głośna muzyka, śpiewy, śmiech i pocałunki. Sosny nad głową kołysały się i szumiały, a kiedy zimny wiatr powiał mocniej, zaczęły zawodzić i wyć. Kate musiała wydostać się z dołu, wiedziała o tym. Gdzieś niedaleko stąd znajdowała się foka, zupełnie sama; znowu próbowała z trudem wlec się po ziemi w kierunku morza. Przypuszczała, że Kate ją opuściła.

Obudziła się bardzo zziębnięta. Chciała się podnieść z łóżka, ażeby popatrzeć na siebie i sprawdzić, czy nie jest żółta, czerwona lub zabarwiona w taki sposób, że mogłoby to być podstawą do jakiejś diagnozy, opadła jednak z powrotem na łóżko i zadzwoniła po Sylvię. Weszła dziewczyna, której przedtem nie widziała. Była pulchną brunetką w białej, krótkiej sukience. Miała okrągłą twarz i życzliwe czarne oczy. Uśmiechała się; nad ustami rysował się lekki wąsik, który był zapowiedzią przystojnej, apodyktycznej kobiety w przyszłości. W ruchach jej przebijała pewność siebie i poczucie własnej wartości, co podobnie jak u Sylvii i Anyi wynikało z absolutnego przekonania, że dobrze wykonuje swoją pracę. Nachyliła się nad Kate z uśmiechem, położyła swoją chłodną rękę na jej dłoni i spytała, jak się dzisiaj czuje. Usiadła na łóżku Kate, trzymając jej rękę, i wyjaśniła, że jest Szwajcarką z tej części kraju, gdzie mówią po francusku, i szko-



li się w hotelarstwie; ona również ma narzeczonego praktykującego w handlu winami; przysłała na miejsce Sylvii, która zastępuje teraz Anyę, ponieważ ta została kierowniczką na okres dwóch tygodni, w tym czasie gdy kierowniczka wyjechała odwiedzić chorą matkę. Miała na imię Marie, uśmiechała się wciąż i powiedziała, że madame nie ma temperatury, ale może martwi się czymś? To sprawiło, że Kate roześmiała się, i obie się śmiały, ale śmiech Kate przeszedł w płaczliwy jęk, który był jakby żądaniem natychmiastowego okazania jej uczucia. Kate nie dolegało nic poważnego; obie były tego samego zdania. Jednakże miała zawroty głowy, mdłości i ubywało jej wciąż na wadze. Marie przyniosła jej trochę zupy, którą Kate natychmiast zwróciła; dziewczyna była w pokoju i pomogła Kate przejść w porę do łazienki. Obie doszły do wniosku, że jednak powinien teraz nastąpić rytualny akt wezwania lekarza. Doktor przyszedł i tak jak lekarz w Hiszpanii odrzucił różne przypuszczenia. Kate nie ma żółtaczk. Nie, nie choruje na tyfus. Nie, nie jest anemiczna lub jeśli tak, to tylko trochę. Prawdopodobnie ma grypę w jednej z jej licznych form i powinna leżeć w łóżku i brać te proszki... Kate zasnęła znowu.

Daleko za nią słońce wysliznęło się bokiem ponad horyzont ciemnych gór, gdzie lód nigdy nie topnieje, i ukośnie posuwając się w dół, tuż nad szczytami, zapadło z powrotem w strefę swojego dnia, pozostawiając tę ciemną krainę zimnym cieniom. Otaczał ją głęboki półmrok, ledwo widziała nagie wzgórza, wśród których wyszukiwała drogę. Foka leżała bezwładnie w jej objęciach, z głową na jej ramieniu. Obsuwała

się przy każdym kroku Kate, ponieważ była w stanie śpiączki czy agonii. Kate słyszała jej suchy, chrapliwy, nieregularny oddech. Powinna znowu zwilżyć skórę foki. Wszystko jednak było zamrożone, a suchą skórę należało polać słoną wodą. Położyła zwierzę na śniegu i w ciemności zaczęła szukać czegoś, co mogłoby mu pomóc. Znalazła skałę, której szczeliny wypełnione były kryształkami soli. We wgłębieniu między dwiema skałami zobaczyła lód i rozbiła jego powierzchnię. Pod spodem było trochę wody. Rozkruszyła w niej kryształki i uzyskała słony roztwór. Przeniosła tu półżywą fokę, lecz woda, mimo rozpuszczonej soli, już zamarzała, szybko więc zaczęła spryskiwać zwierzę, ponieważ mróz ścinał powierzchnię małej sadzawki. Nim jednak lód stał się twardy, udało się jej zwilżyć wodą całą fokę – jej biedną, suchą skórę, jej pysk i powieki. Zwierzę otworzyło oczy i zajęczało cicho, ale z wdzięcznością. Wiedziała, że foka ożyła teraz i została uratowana, przynajmniej na pewien czas. Musi podnieść ją i zdążyć na północ, ciągle na północ, coraz dalej od słońca, które było daleko na południu w swojej strefie wiecznego dnia. Ciemność wokół niej była gęsta. Znowu padał śnieg. Podniosła fokę, która nie była teraz tak ciężka, gdyż oddychała i żyła, i poszła z nią dalej na północ.

Była połowa września, kiedy zwlokła się z łóżka. Straciła jeszcze na wadze. Wokół kościstej twarzy sterczały włosy sztywne i zmierzwiłone, w pomarańczowych strąkach, siwe u nasady. Nie mogła ich rozczesać. Naturalnie, przy odrobinie ciepłości w załatwianiu wizyty u fryzjera, mogłyby powrócić za kilka godzin do



dawnego wyglądu – ciężkiej, lśniącej, jedwabistej masy – który był jej „stylem”. Lub był nim przez trzy miesiące. Ale po powrocie do domu będzie chyba musiała wrócić do swego „stylu” uczesania sprzed lata – ładne i dyskretne fale. Zupełny brak elementu prowokacji? Jeśli jednak jej ciało było zlepkiem samych kości, jaki sens miało układać tę czy inną fryzurę? Myśl ta, po przeanalizowaniu, okazała się prostym wnioskiem, że nie jest w stanie zmusić się do siedzenia pod suszarką.

Związała włosy z tyłu głowy: było to zbyt młodzińskie, ale stwierdziła, że nie ma energii, aby zrobić coś więcej. Przeszła przez hall, który tak mocno pachniał perfumami, że poczuła znowu mdłości, i znalazła się na ulicy, gdzie każda twarz była obliczem zaabsorbowanego turysty szukającego wrażeń. Ludzie gapili się na nią. Widząc swoje odbicie w oknie wystawowym, zrozumiała dlaczego. Zrozumiała, że powinna była związać jakąś opaskę na głowie, a inną wokół worka, który zwisał jej z ramion. Weszła do pierwszego z brzegu sklepu, który sprzedawał galanterię, kupiła pierwszy lepszy wielki kapelusz i wcisnęła go głęboko na oczy. Teraz czuła się zabezpieczona przed spojrzeniami, przed krytyką.

Znalazła odpowiedni autobus, wspięła się z trudem na górę i usiadła, kołysząc się lekko z osłabienia, podczas gdy autobus wiozł ją na południe w kierunku jej domu. Chciała na niego popatrzeć. Nie, nie wchodzić do środka, ale po prostu zobaczyć go. Nigdy nie patrzyła na swój dom tak, jak to miała zrobić teraz, gdy był wynajęty obcym ludziom. Będzie to jak wejrzenie we własne życie.

Wysiadła z tego autobusu, przesiadła się w inny i znalazła się przy końcu swojej ulicy. Była szeroka i wysadzana drzewami. Nie widać było nikogo w pobliżu. Spaniel pani Jasper siedział na chodniku, dysząc ciężko. Poznał ją, ale się nie poruszył. Z jego języka kapły wielkie krople śliny. Widząc tego przegrzanego psa w jego grubym futrze, zrozumiała, że jest bardzo gorąco i że jest spocona.

Szła wolno swoją ulicą. Czuła się, jakby dopiero teraz wróciła z zagranicy do domu, do Anglii. Teraz była już naprawdę u siebie. Porzuciła kosmopolitów. Młoda panna Hatch była w swoim ogrodzie przed domem i okopywała krzak białej róży. Dziewczyna rzuciła okiem na Kate, która przechodziła obok, spojrzała znowu i właśnie kiedy Kate miała ją pozdrowić, przestała interesować się dziwną kobietą i zabrała się znowu do kopania.

Kate stała pod platanami swojego ogrodu i patrzyła. Wielka, jednolita przestrzeń zieleni leżała spokojnie pod promieniami przedpołudniowego słońca. Niebo było czyste i ogród wydawał się nadmiernie wystawiony na działanie promieni. Rośliny wymagały wody. Gołąb gruchał na drzewie, pod którym siedzieli w to przełomowe popołudnie. Trawnik powinien być już strzyżony. Lokatorzy zrobią to prawdopodobnie w ostatnich, pełnych pośpiechu minutach przed ich powrotem – przed przyjazdem prawdziwej rodziny. Na trawniku leżał przewrócony leżak, sprawiając żalotne wrażenie.

Kate stała nadal w głębokim cieniu. Może ktoś wyjdzie na dwór? Ale nikt się nie pokazał. Pani Enders



chyba gotuje. A może wyszła na zakupy? Nieważne. Oto jak jej dom, jej ognisko rodzinne, będzie wkrótce wyglądał, kiedy Michael i ona opuszczą go, aby przenieść się do jakiegoś mieszkania. Człowiek mówi „mój dom”, „moje ognisko rodzinne”. Nonsens. Ludzie przepływają przez domy, które pozostają niezmienione, przystosowując się nieznacznie do swoich mieszkańców. A Kate, gdy patrzyła na ten dom, w którym mieszkała przez blisko ćwierć wieku, nie odczuwała absolutnie nic. Nic. Czuła się jakoś lekko, tak jakby miała gdzieś pofrunąć. Na pewno było głupotą wstać z łóżka tak nagle – po tym jak leżała przez trzy tygodnie i nie jadła przez tak długi okres – tylko po to, aby przebyć pół Londynu. Postanowiła, że położy się z powrotem do łóżka na resztę dnia. Opuściła schronienie pod drzewem i na przeciwnym chodniku zobaczyła Mary. Mary była w kapeluszu i rękawiczkach. Nie znosiła ich nakładając; rzadko kiedy to robiła; skąd więc mogła wracać? Usta Kate ułożyły się do uśmiechu, w oczekiwaniu na moment, kiedy Mary popatrzy na nią. Ale mars na czole Mary nie zniknął. Tak jak i Iris Hatch, rzuciła obojętnym okiem na kobietę, która stała opodal, popatrzyła znowu z powodu ekscentryczności tej istoty – co robi włóczęga na tej przyzwitej ulicy? – i poszła dalej.

Dopiero teraz Kate opanowały gwałtowne uczucia. Jednym był strach; drugim – uraza. Jak Mary mogła popatrzyć na nią i jej nie poznać? Były przecież bliskimi przyjaciółkami przez długie lata! Mary musiała chyba być pijana lub coś w tym rodzaju! Dzieliły ze sobą kryzysy domowe i osobiste, sprawy dzieci – być

może swoich mężów? Kate wiedziała, że Mary przez pewien czas podobał się Michael – oznajmiła jej to sama, co było dla niej charakterystyczne. I Kate wiedziała, że Michael uważał Mary za kobietę bardzo atrakcyjną – otóż wszyscy mężczyźni tak uważali, nawet jeśli nie chcieli, nawet jeśli mieli do niej stosunek nieprzychylny. Tak było w wypadku Michaela. Kate była nawet trochę zazdrosna – do diabła, znowu robiła to samo, posługiwała się fałszywymi wspomnieniami: to prawda, że płonęła z zazdrości, doprowadziła się przez to do choroby. Intensywność jej bliskich stosunków z Mary datowała się właśnie od tego czasu. Mówiąc najogólniej, nie było to wspomnienie, z którego mogła być dumna.

Kate przyglądała się odchodzącej Mary; plecy wyprostowane pod prosto nałożonym, sensownym kapeluszem: nic z tego, co widziała, nie było prawdziwe i charakterystyczne dla Mary, która kroczyła teraz w przebraniu.

Zdała sobie sprawę z ulgi, jaką odczuła, że Mary jej nie poznała. Więcej: czuła się wniebowzięta, tak jakby uwolniono ją od czegoś. Szybko opuściła cień drzew i poszła wzdłuż rozświetlonego słońcem chodnika, mijając głębokie plamy cienia. Zobaczyła, że Mary zrzuciła już kapelusz, rękawiczki i pantofle i stała na trawniku na bosaka, z nogami w rozkroku, oparłszy ręce na biodrach, jej piersi luźno zwisały pod sukienką. Twarz jej zmarszczyła się, gdy intensywnie i z uwagą wpatrywała się w dom Kate.

Przymrużone oczy sprawiły, że wyglądała na zakłopotaną: było to typowe dla Mary. Bardzo często stojąc



w obliczu jakiejś sprawy, przybierała wyraz twarzy osoby, która potrzebuje mieć koło siebie tłumacza.

Na przykład w tych szczególnych chwilach, które nazywały „sesjami starych mężatek”. W istocie było ich tylko dwie. Pierwsza odbyła się mniej więcej rok temu po wizycie nauczyciela dziesięcioletniego syna Mary; przyszedł dać jej do zrozumienia, że chłopcu brak tego, co powinien otrzymywać „ze swego domowego środowiska” – jak to określił nauczyciel.

Tak się złożyło, że Michael wyjechał wtedy na weekend, mąż Mary był w pracy, a dzieci Kate i Mary zajęte były własnymi sprawami. Po wielokrotnych okrzykach zachwytu, że obie w tym samym czasie znalazły się same, doszły do wniosku, że nadarzyła się specjalna okazja, i pojeździły do sypialni Mary, gdzie najpierw piły kawę, a potem whisky.

Mary opowiedziała Kate bardzo szczegółowo, we właściwy sobie sposób, co brzmiało jak sumienne sprawozdanie, ale było wyrazem jej zakłopotania, o wskazówkach nauczyciela w kierunku „lepszej integracji” dziecka. Jedno określenie następowało po drugim: dobrze przystosowane, typowe, normalne, zintegrowane, bezpieczne, normatywne; wkrótce zaczęły się uśmiechać, w miarę jak wzbierała w nich obu wesołość, częściowo na skutek perspektywy całkowitej wolności przez dwa dni, a częściowo z powodu whisky.

Kate, dokładając swoje trzy grosze, opowiedziała Mary, jak niegdyś wychowawczyni przyszła z podobną sprawą dotyczącą Eileen, wówczas „trudnej” z jakiegoś tam powodu, którego już teraz nie pamiętała. „Powiedziała wtedy, że problemy Eileen zostaną łatwo rozwią-

zane w takiej dobrze zbudowanej komórce rodzinnej jak nasza” – relacjonowała Kate. Mary nagle parsknęła śmiechem. „Komórka – powtórzyła Kate. – Tak, powiedziała, że jesteśmy komórką. Nie tylko to, komórką nuklearną”. Roześmiały się. Zaczęły ryczeć, wyć, skręcać się ze śmiechu, Mary turlała się po łóżku, Kate w swoim fotelu. Przyszły im na myśl inne wydarzenia, każde z nich przynosiło nowy zestaw porywających słów. Przy każdym wyrażeniu skręcały się i wyły od początku. Rozmyślnie wyszukiwały słowa, które mogły wywołać śmiech, i wkrótce zwyczajne słowa budziły ich rozbawienie, nie tylko slogany jak „stosunek między rodzicami i dziećmi”, „wspólna płaszczyzna”, „sytuacja stresowa”, ale nawet – „dźwięk”, „kazał”, „zdrowy” i tym podobne. A potem wyły ze śmiechu przy słowach „rodzina”, „dom”, „matka”, „ojciec”.

Ale Kate zaczęła czuć się nieswojo; jej skrępowanie – instynkt Mary był wyostrzony – ujawniło się od razu; twarz Mary przybrała zwykły wyraz zaciekania i gotowości poznania prawdy: dlatego teraz Kate reaguje jakąś formą dezaprobaty, której nie było chwilę temu?

Kilka dni później, czekając w kuchni Mary na ugotowanie się jakiegoś dania, zaczęły znowu śmiać się z powodu słowa Kate, które bezwiednie wymknęło się z właściwego miejsca w zdaniu i zostało mocno zaakcentowane. Opowiadała, że weszła do bawialni i zobaczyła, jak jej dzieci i mąż grają w coś w karty; jednak słowo „mąż” odseparowało się od innych, co sprawiło, że się roześmiały. Nie mogły się już potem powstrzymać. Zaczęły improwizować, opowiadać anegdoty czy



opisywać zdarzenia, w których pewne słowa w sposób naturalny uwypuklały się: żona, mąż, mężczyzna, kobieta... Śmiały się i śmiały. „Ojciec moich dzieci” – mówiła jedna z nich; „żywiciel rodziny” – dodawała druga i wyły jak szalone.

Był to rytuał, jak przyjęcia kawalerskie, na których wszystko to, czego mężczyźni usiłują w normalnym życiu przestrzegać, jest opluwane, znieważane i umniejszane.

Oczywiście ta sesja skończyła się również z winy Kate; Mary pohamowała się całkiem chętnie i szybko i usiadła, by wypalić papierosa, rozrzuciła popiół naokoło i uśmiechała się w swój zwykły sposób. No więc, przestałyśmy się tak zabawiać, prawda? Przypuszczam, że przekroczyłyśmy granicę? Ale jaką granicę? Powiedźcie mi, wytłumacz, proszę.

Wkrótce oba incydenty, które nie powtórzyły się więcej, odeszły w przeszłość i Mary wspominała o nich w ten sposób: „Pamiętasz, Kate, kiedyśmy tak się śmiały? Kiedy odbywałyśmy nasze sesje starych mężatek?” I wyraz jej twarzy był taki jak teraz, kiedy wpatrywała się w dom naprzeciwko swego ogrodu, mrużąc oczy w słońcu. Nie rozumiem, ale jeśli tak twierdzisz, myślę, że będę musiała to przyjąć; robię, co mogę, aby dopasować się do twoich poglądów, wiesz przecież. Zawsze tak robię.

Stała wśród leżaków, bezużytecznej już dziecinnej drabinki, rowerów, ogrodowego stołu, baseniku dla ptaków, hortensji, skraplacza trawników, dwóch kotów, polewaczki i kolorowego stosu rzeczy porzuconych na trawie: torebki, kapelusza, rękawiczek i pantofli.

Kate minęła spaniela, który leżał wyciągnięty na całą długość; różowym językiem zbierał żwir i leniwie poruszał ogonem na powitanie.

W autobusie myślała wciąż w kółko: Mary nie poznała mnie. Ta dziewczyna, Iris Hatch, nie poznała mnie.

Było już południe, ruch ogromny, powrót do centrum Londynu zabrał jej ponad godzinę i przez całą drogę Kate myślała: nie poznały mnie, oglądały mnie każdego dnia swojego życia, ale nie poznały mnie. Tylko pies mnie poznał.

Powtarzała to wciąż, gdy wlokła się po stopniach prowadzących do hotelu, starała się przemknąć niezauważona przez hall, opierała się o ściany windy, która przyprawiała ją o zawrót głowy, i gdy padała na łóżko w swoim pokoju. Patrzyły prosto na mnie; nie poznały mnie. Nie była tym wcale zasmucona, ale zachwycona, czuła się prawie pijana od ulgi, że przyjaźń, więzy, „znajomość z ludźmi” są tak płytkie, tak łatwe do obalenia.

Spała przez całe popołudnie, a po obudzeniu się powiedziała troskliwej Sylvii, która znowu wróciła na to piętro po swoim locie w wyższe regiony pracy zawodowej, że czuje się znacznie lepiej, tak, czuje się świetnie, tak, chyba już wyzdrowiała. Chociaż głupotą było wstawać znowu – w dalszym ciągu nie była w stanie opanować różnych odruchów – poprosiła w recepcji o kupienie dla niej biletu do teatru.

Nie troszczyła się o wybór sztuki. Chciała obejrzeć ludzi przebranych w cudze pióra, tylko tyle. Jej najbliższa przyjaciółka nie poznała jej: utrata wagi, kapelusz nałożony byle jak, prawdopodobnie niepewny chód,



fakt, że Mary wyobrażała ją sobie gdzieś na brzegach Morza Śródziemnego – dość było tych drobiazgów, aby Mary nie poznała kobiety, którą widziała każdego dnia przez całe lata; wystarczyło tylko, aby Kate odegrała trochę inną rolę od swojej zwykłej.

Urzednicy w recepcji byli dumni, że zdobyli dla niej bilet na *Miesiąc na wsi*; udało im się bezbłędnie wybrać właściwą sztukę; z tego właśnie byli dumni.

O ósmej wieczorem siedziała już na swoim miejscu w przednim rzędzie parteru. Teatr był zapchany. W normalnych miesiącach sztukę tę grano by w mniejszym teatrze dla wybranej publiczności, ale był to wrzesień, miesiąc prawie tak samo opływający w złoto jak sierpień. Dolary. Gros publiczności stanowili Amerykanie. Przyszli obejrzeć główną bohaterkę – sławne nazwisko w sławnej sztuce. Było to wydarzenie kulturalne najwyższego gatunku; atmosfera była o wiele za ciężka, bo przesycona tym ogromnym szacunkiem.

*Miesiąc na wsi* jest nawet zabawną sztuką, ale na swój sposób. Zabawną, jak bywają pewne historie z życia wzięte, w których ła kryje się za wymuszonym uśmiechem. Trzeba być jednak we właściwym nastroju. W takim właśnie jak Kate cztery lata temu, kiedy oglądała tę sztukę; pamięta, że wyszła z teatru jak po zjedzeniu szczególnie dobrze przygotowanego posiłku.

Kate i Michael często chodzili do teatru. Jeśli sporo czasu upłynęło między jednym a drugim pójściem do teatru, czuli się winni zaniedbania, jakby nie wypełnili obowiązku w stosunku do samych siebie. Zazwyczaj szli razem z przyjaciółmi, ponieważ dzieci wołały kino. Równie chętnie chodzili oglądać

sztuki awangardowe, gdzie aktorzy mieszały się z widownią lub występowali bez ubrań, lub znieważali publiczność, jak i stare sztuki, na przykład Szekspirowskie, postawione na głowie, ażeby zilustrować jakąś osobistą wizję reżysera, czy sztuki jak ta, które były jakby słuchaniem dobrze znanych wierszy, pięknie mówionych. Przy ocenie występu – to było dość dobre, to nie było dobre – podstawą było uczucie dosytu, spożycia czegoś dobrego lub nie, bądź też uczucie głodu i potrzeba jakiegoś pokrzepienia. Pokrzepienia w czym? Kate uważała jednak zawsze, że ten rodzaj sztuk był najbardziej sycący. Ibsen, Cechow, Turgeniew – sztuki, gdzie człowiek obserwował ludzi takich jak on sam, w ich kłopotliwych sytuacjach wyjętych z życia.

– Tak bardzo rosyjskie – szeptali wokół ludzie.

Oznaczało to, że widzowie byli na bardzo niskim poziomie doświadczeń życiowych, gdyż inaczej mówiliby: „Zupełnie jak my, prawda?”

I rzeczywiście Kate uważała, że rodzina Natalii Pietrowny jest bardzo podobna do jej własnej. Lub raczej tak uważała, kiedy oglądała ostatnio tę sztukę. Może było błędem przychodzić do teatru zaraz po chorobie i długim leżeniu w łóżku?

Siedziała na widoku, w pierwszym rzędzie parteru, i ludzie obserwowali ją. Niektórzy patrzyli na nią tylko samo, co i na scenę. Wydawała się tu zupełnie nie na miejscu – ekscentryczka ledwo mieszcząca się w granicach wyobraźni, ze swoją różową workowatą suknią przewiazaną w pasie żółtym szalem, z gąszczem różnokolorowych włosów, z wychudzoną twarzą żółtego



koloru, w której widać było same kości i płonące, gniewne oczy. Kręcąc się nerwowo na swoim fotelu, mruczała do siebie: „Och, co za bzdura! Rosyjskie... Kretyni! Co za nonsens!”

Natalia Pietrowna powiedziała: „I czego mogę się spodziewać? O Boże, nie pozwól mi gardzić sobą!” I ta niepokojąca istota, która zapewne musiała być bogata, jeśli stać ją było na kupienie tak drogiego biletu, powiedziała głośno, zwracając się wprost do aktorów, w sposób natarczywy, a nawet poufały: „Och, nonsens, nonsens, dlaczego to mówicie?”

Myślała, że chyba coś jest nie w porządku z jej sposobem widzenia rzeczy. Bo chociaż była tak blisko sceny, czuła, że jest od niej bardzo oddalona; starała się też z tego otrząsnąć, w inny sposób współuczestniczyć i skupić uwagę, ponieważ pamiętała swój normalny nastrój w teatrze i wiedziała, że jej obecny stan jest zupełnie inny. Miała naprawdę wrażenie, jakby patrzyła na istoty na scenie przez teleskop, tak niezwykle i odległe wydawały się jej w zestawieniu z rzeczywistością. Ostatnim jednak razem, gdy oglądała tę sztukę, powiedziała o Natalii Pietrownie: „To jestem ja”. Pomyślała wtedy, czy jest osoba, gdziekolwiek na świecie, która nie rozpoznałaby jej od razu?

Otóż na pewno nie ludzie z wioski hiszpańskiej, gdzie była ze swoim kochankiem, Jeffreyem. Nie oni. Tamte kobiety łączyła tylko jedna wspólna cecha z Natalią Pietrowną, która mając dwadzieścia dziewięć lat, zgodnie ze stwierdzeniem Turgieniewa, zachowywała się i myślała jak kobieta pięćdziesięcioletnia. Kobieta, która myślała o sobie, że się starzeje, że czepia się

młodości. Wyraźnie wiek dziewiętnasty, jak i życie ludzi ubogich prędko postarzały kobiety. Trudno sobie wyobrazić kobietę dwudziestodziecioletnią, która by zachowywała się teraz w ten sposób; nie uważałaby ona zakochania się w studencie za coś wstydliwego, w żadnym razie.

Jeśli więc tak było, co robili tutaj ci wszyscy ludzie? No więc, co? Bzdura, wszystko to była bzdura – och, naturalnie, nie gra aktorów, nie sposób, w jaki rzecz została przedstawiona, to wszystko było wspaniałe, wspaniałe. „Jesteście cudowni!” – krzyknęła do aktorów, odczuwając jakby obawę, że jej mocno krytyczne myśli mogłyby im zaszkodzić, ale oni kontynuowali grę, nie zważając na zwariowaną kobietę, która siedziała tuż przed nimi.

Tak, wspaniałe; a cztery lata temu cierpiała katusze, czuła się krytykowana; przeżywała głęboką przykrość z powodu tego, że urocza dama okłamuje samą siebie i jest próżna; bo dama ta stanowiła odbicie każdej z tych kobiet na widowni, które niegdyś były ośrodkiem zainteresowania, a teraz widzą, jak ich moc wyślizguje się im z rąk.

Ale niezależnie od tego, czy wołała: „Wspaniałe!” – czy uważała, że powinna się pohamować, gdyż ludzie patrzyli na nią i uciszali ją – nie było wątpliwości, że to, za co zapłaciła mnóstwo pieniędzy, aby obejrzeć, wydawało się (na pewno z powodu nastroju, w jakim się znajdowała) jakby prywatną zabawą lub rytuałem paczki dobrze urodzonych maniaków, którym nikt jeszcze nie powiedział, że są szaleni. Była to farsa, a nie pierwszorzędna i głęboka sztuka, bogata w prawdy



o ludzkiej naturze. Faktem było, że sprawy zachodzące na świecie, załamywanie się wszystkiego, poszarpały proporcje zdarzeń w tej sztuce i innych podobnych i nadały im groteskowy charakter. Żart. Jak jej własne życie. Groteska.

Ale ci ludzie tutaj rozjadą się do domów, przebywając tysiące mil morza i powietrza, i będą opowiadać swoim przyjaciółom, że widzieli *Miesiąc na wsi*, i przechowywać program w pudełku pełnym specjalnych pamiątek.

- Och, proszę być cicho - ktoś powiedział. Do niej.

A więc w dalszym ciągu wypowiadała na głos swoje uczucia? Co za brak wychowania z jej strony! Powinna chyba wymknąć się stąd i wrócić do łóżka.

„Stoję na skraju przepaści, ratujcie mnie!” - krzyknęła Natalia Pietrowna; a widzowie zadrżeli przejęci jej rozpaczą.

Teraz Kate zacisnęła mocno usta, myślała: ona jest szalona. Dziwaczka. Bez piątej kleпки. Pozwolono jej na to. Co więcej, zachęcano ją do tego. Powinna znaleźć się pod kluczem. A my tu siedzimy i przyglądamy się jej. Powinniśmy rzucać w nich zgniłymi owocami. I w siebie. Tak właśnie, gdyby miała jakieś jabłko lub banana, i do tego zgniłe... ale na miłość boską, nie myśleć o jedzeniu. Nie patrzeć również na scenę, lepiej nie.

Rozejrzała się wokół siebie, wiedząc, że spojrzenie jej oczu jest zarozumiałe, agresywne, tak jakby spodziewała się, że zasyczą do niej: „Nie gap się!” Ale spójrzcie na nich, na tych wszystkich turystów, zupeł-

nie podobnych do niej sprzed kilku tygodni, na tych ludzi dobrze ubranych, z solidną powłoką, wypielęgnowanych, ze starannie zrobionymi twarzami i włosami - dobry Boże, popatrzcie na te głowy; są takie miejsca na świecie, gdzie rodzina mogłaby się utrzymać przy życiu za pięćdziesiąt pensów tygodniowo. Pieniądze wydane na niektóre uczesania tutaj mogłyby utrzymać przy życiu kilkanaście rodzin przez miesiące. Był to śmieszny sposób rozumowania, ponieważ nie wносиło to nic nowego do tego, o czym ludzie myśleli od dwustu lat: rewolucja francuska. Od dwóch tysięcy lat: chrześcijaństwo. Może nawet tysiące lat wstecz, gdyby człowiek więcej wiedział. Przez wiele tysięcy lat ludzie patrzyli na kunsztowne uczesania i myśleli o tym, ile pochłaniają one jedzenia i ciepła. Była to oczywiście myśl zupełnie bezużyteczna, po co więc zawracać sobie nią głowę? Jednak tego rodzaju myśli, bezużyteczne czy nie, są natrętne: kobieta, która siedziała obok niej, była gruba i stara, o matowych, białych włosach starannie utapirowanych i skręconych w loczki, aby ukryć błyszczącą, różową skórę głowy. Jej diamenty i futra nakarmiłyby setki rodzin przez długie lata. O tym ludzie prawdopodobnie nigdy nie przestaną myśleć. Godna uwagi była ta sala pełna ludzi, raczej zwierząt, patrzących w jednym kierunku na inne przebrane zwierzęta, wyniesione na scenę, aby grać, zwierzęta pokryte materiałami i kawałkami futra, przystrojone świecidełkami, o twarzach i szponach pomalowanych na kolorowo. Każde z nich skończyło niedawno pożeranie jakiegoś zwierzęcia; a futra, które widać było wszędzie mimo ciepłego wieczoru, pochodziły od zwierząt, które



przedtem żyły, bawiły się i cudzołożyły w lasach i na polach, i stopy każdego pokryte były zwierzęcą skórą, a ich włosy – nie, człowiek musiał wciąż wracać do tego, niemożliwe było się powstrzymać – ich włosy były najgorsze: klaki i czapy, i grzywy, i peruki, ufryzowane i poskręcane w loki, wygładzone, wydłużone i skrócone i wyfioczone, włosy pofarbowane na wszystkie kolory, uperfumowane, wypomadowane i polakierowane. Była to sala pełna zwierząt, psów i kotów, wilków i lisów, które stanęły na swoich tylnych kończynach i nałożyły na siebie wstążeczki i wyszczotkowały swoje futra... Ta myśl była jeszcze bardziej bezużyteczna. Był już jakiś karykaturzysta, chyba tak, który rysował ludzi jako zwierzęta, tak więc, co za sens było myśleć w ten sposób; niczego przez to nie osiągnął, ponieważ wszystko szło po staremu dalej i dalej.

Natalia Pietrowna mówiła z pewną nutą kokieterii: „No więc jeśli słowo «chorobliwy» nie przemawia do ciebie, powiem wobec tego, że jesteśmy oboje starzy, starzy jak świat”.

Och, na miłość boską – pomyślała Kate, ale niestety, wypowiedziała to również na głos, ponieważ jakaś kobieta, która siedziała kilka miejsc dalej, wychyliła się do przodu, obrzucając ją pogardliwym spojrzeniem. Kobieta była podobna do kota, starego kocura, który stał się tłusty i leniwy... Ale dosyć tego, powinna całkowicie odwrócić swoją uwagę od sceny, skoro nie potrafi zachowywać się właściwie; doprawdy, dlaczego nikt inny poza nią nie mógł zauważyć, nie widział, że to, czemu tak wszyscy się przyglądają, jest popisywaniem się maniaków? Parodią czegoś.

Właściwie wszyscy powinni pokładać się ze śmiechu, zamiast przejmować się i wzruszać tymi śmiesznymi, absurdalnymi, nieważnymi problemami.

„Nieszczęsna kobieto, po raz pierwszy w życiu jesteś prawdziwie zakochana!”

Wkrótce widzowie opuścili salę; tłum rozpychał się, potracał i pruł naprzód, ażeby zdobyć szklankę czegoś do picia, a Kate poszła do toalety, gdzie bez zdziwienia zauważyła, że z lustra, w którym się przeglądała, patrzy na nią małpa. Babka klozetowa była tłustą, starą świnią, a kobiety przychodzące się odświeżyć – kotami i psami. Jedna z nich była ładnym liskiem z wydatnym, ostrym nosem i bystrzymi, uważnymi oczami. Wracając na salę, gdzie widzowie z trudem przepychali się z powrotem na swoje miejsca, Kate zobaczyła, że wszyscy stali się tym, czym kilka minut temu wyobrażała sobie, że mogą być: znajdowała się w sali pełnej zwierząt, z których każde ubrane było śmieszniej od drugiego. Czy w ten sposób ten stary karykaturzysta widział zawsze ludzkość? Może nie była to jego fantazja, ale żył ciągle w takim stanie, w jakim ona znajdowała się teraz? Obsługiwały go w sklepach świnię i małpę, kochał kobiety z twarzami kotów i psów, unikał wilków, patrzył w lustro z nadzieją, że któregoś dnia ukaże się tam wreszcie ludzka twarz, niszcząc maskę zwierzęcą, którą stale napotykał; podpełzał do lustra i starał się zaskoczyć siebie samego, spodziewając się, że światło wczesnego poranka lub przerwa we śnie czy nagłe odwrócenie się od sztalug lub szkicownika pozwoli mu zobaczyć człowieka, którego oczy patrzą w jego oczy?



I myślał, że może któregoś dnia, kiedy to się zdarzy, maski zwierzęce znikną z twarzy wszystkich ludzi wokół niego i wtedy – no, co wtedy?

Wtedy bez wątpienia lew położy się z owcą i wszelkie te śmieszne myśli przestaną krążyć w umysłach ludzi, te dawne „postępowe”, „liberalne”, „inteligentne” – lub socjalistyczne czy różne inne – ponieważ okazały się bezużyteczne, nie zmieniły niczego; to wszystko przecież, co odgrywane jest tam na scenie, zostało zmiecione przez rewolucję; i co z tego, nadal ludzie są przy tym i nic się nie zmieniło, i te same myśli obracają się i obracają w ludzkich głowach wzdłuż swoich wyżłobionych torów i już wkrótce będą głośno dźwięczały, jak wiele starych, podrapanych płyt gramofonowych, i ludzie stwierdzą, że to, co krąży ze zgrzytem w ich umysłach, jest nie do zniesienia, jest jałową, bezsensowną paplaniną. Wtedy położą temu koniec. Nie będą mieli wyboru.

Natalia Pietrowna w wytwornej zielonej sukni – trzeciej tego wieczoru – walczyła ze łzami; łzy współczucia napłynęły do oczu Kate.

Ażeby odegrać to tak dobrze, sportretować śmieszne, haniebne postępowanie, które powinno być wygwizdane i potępione przez wszystkich, mężczyźni i kobiety o wielkiej inteligencji i talencie spędzali lata na ciężkiej pracy, poświęceniach, studiach, upokorzeniach, karmiąc się nadzieją i żyjąc z mizernych zarobków w prowincjonalnym teatrze. Pocili się i cierpieli dla takiej właśnie chwili wzlotu na wyżyny sztuki jak ta, gdy Natalia Pietrowna, zamiatając ciężkimi spódnicami brudne deski sceny, mówi do dziewczyny

zakochanej w tym samym młodym człowieku: „Jeśli uważasz, że dwóch mężczyzn w tym domu zna już nasz sekret – wiem, że jest to całkowicie moją winą – więc czy nie powinniśmy – zamiast upokarzać się wzajemnie – starać się uratować z tej niezdolnej sytuacji? Czy zapomniałaś, kim jestem, jaka jest moja pozycja w tym domu?”

Och, tak, żeby to usłyszeć, ludzie powinni urządzać pielgrzymki.

Nie, musi wymazać z umysłu to, co teraz myśli; kim bowiem jest, aby dopatrywać się wielkich oszustw w tym, co wszyscy inni uważają za cudowne, a zresztą w przeszłości uważała to również za wspaniałe i przypuszczalnie będzie tak później, kiedy już ustalą się normalne wzorce i przyzwyczajenia, wróci znowu do rodziny i będzie zamiatać spódnicami po swoim domu i otwierać swoją wytworną koronkową parasolkę błyskawicznym ruchem białej dłoni.

„Jeszcze jeden ostatni wysiłek i będę wolna. Wolność i spokój, jak bardzo do was tęskniłam” – i wkrótce wszyscy wstali z miejsc, ażeby klaskać i klaskać, w ten sposób, w jaki robi się to u nas w teatrze (dłonie biją bez przerwy jedna o drugą w nieprzerwanej kanonadzie), tak jakby pragnienie aktorów, aby zyskać aprobatę, pragnienie widzów, aby aprobować, stanowiły pokarm dla jakiejś akcji, która nie ma nic wspólnego z tym, co zdarzyło się na scenie; nie ma nic wspólnego z tym, czy ukazane wypadki były brzydkie, piękne, zachwycające, ale jest rytualnym umocnieniem samoaprobaty widzów i aktorów, że poszli do teatru i w nim grali. Fantastyczny rytuał. Fantastyczny interes.



Kate klaskała razem z innymi i krzyczała: „Brawo!” – tak jak niektórzy entuzjaści z tylnych rzędów parteru i z galerii; wykrzywiła się do kobiety podobnej do kota, która straszliwie marszczyła się w jej kierunku (przypuszczalnie, ponieważ teraz wykrzykiwała słowa zachwyty, a przedtem krytyki), a potem znalazła się na chodniku zmieciona tam przez falę widzów, którzy stracili swoje zwierzęce maski i znowu stali się ludźmi.

Czekała uparcie na taksówkę i zauważyła, że wiele z nich nie zatrzymuje się przy niej – zwariowanym stworzeniu stojącym na brzegu chodnika. W końcu jakaś taksówka stanęła i kierowca powiedział: „Ale to jest przecież kilkaset kroków stąd!” – a ona odpowiedziała: „Tak, wiem o tym. Ale byłam chora”. Tak więc dojechała do hotelu i przemknęła przez foyer jak zbrodniarz, mając nadzieję, że nikt jej nie zauważy. Ale naturalnie spostrzegli ją i głowy odwróciły się za nią. Dotarła do swojego pokoju, podniosła ręczne lusterko – nie, na pewno nie miała sił usiedzieć prosto ani chwili dłużej – opadła na łóżko i popatrzyła na swoją twarz.

Od tego ranka, sucha, miedziana, zbita masa włosów nabrała jeszcze gorszego wyglądu, a twarz jej była obliczem starej kobiety. Natalia Pietrowna nawet przez moment nie pogodziłaby się z taką twarzą. Można było ją sobie wyobrazić, jak siedzi przed lustrem w ślicznym, białym peniuarze i wklepuje krem ogórkowy w twarz – Rosjanie lubili ogórki – w zwiotczałą skórę pod bystrymi, zaczerwienionymi oczami, mówiąc: „Stoję na skraju przepaści, ratujcie mnie!” Lub

w chwili gdy pokojówka rozpina setki guziczków jej sukni na plecach: „Czy ktoś kiedykolwiek był tak niešťęśliwy jak ja?”

Dawno temu młoda dziewczyna leżała w łóżku, trzymając lusterko blisko swojej twarzy i myślała: oto jest twarz, którą on zobaczy.

I on wkrótce zobaczył twarz, którą można było określić tylko jako „chochlikową” lub „pikantną”, poza oczami o głębokim odcieniu brązu, jakie mógł mieć tylko spaniel.

Przez całe lata Kate, która spędzała wymaganą ilość czasu przed wieloma lustrami, uświadamiała sobie dokładnie, co on widział, kiedy jego twarz była blisko jej twarzy. Och, to wszystko było tak uciążliwe, tak poniżające... Czy rzeczywiście spędziła tyle lat życia – prawie na pewno zsumowałoby się to w lata – przed lustrem? Tak samo jak wszystkie kobiety. Lata spędzone w uśpieniu lub w transie. Czy kobieta sama wybierała mężczyznę – lub pozwalała, aby on ją wybrał – ponieważ podziwiał tę twarz tak bardzo wypiełgowaną, klepaną, modelowaną w ten czy inny sposób – nie byłaby zdziwiona, nie byłaby wcale zdziwiona, gdyby tak było! Przez całe życie, od czasu gdy skończyła szesnaście lat – tak, dziewczyna, która kochała się w swojej twarzy, miała tyle lat – przeglądała się w lustrach i zastanawiała, jak inni ludzie będą ją oceniać. A teraz obraz zwinął się w rolkę i zaszył w jakiś kąt; pozostała tylko twarz chorej małpy.

Ci aktorzy mieli całkowitą rację. Nie pozwalali sobie, aby zamykać się w jednym zestawie cech, w jednym



uczesaniu, w jednym sposobie chodzenia i mówienia, nie, zmieniali się, nigdy nie byli tacy sami. Ale ona, Kate Brown, żona Michaela, pozwoliła sobie na to, że przez trzydzieści lat była po prostu szczupłą rudowłosą kobietą z miłymi brązowymi oczami.

Kate wyczyniała teraz miny przed lustrem, próbując, jak aktorka, różnych wyrazów twarzy – było mnóstwo takich, o jakich nie pomyślała, że mogłaby je przybrać. Ograniczała się do bardzo małego wachlarza, większość z nich była naturalnie godna uznania i przyjemna i nawet nie przykra dla innych; ale co z tego zostało w niej teraz, kiedy była chora (skóra jej znowu płonęła), kiedy buntowała się i wrzała jak armia rozdrażnionych mrówek? Ale miała jeszcze kilka tygodni, miała długi okres wolności przed sobą... Jak długi? Zaczęła szperać w poszukiwaniu listów Michaela, co oddaliło wszystkie inne uczucia prócz jednego: tęsknoty do niego, do otuchy płynącej z przebywania z nim i z rodziną, do swego domu. Zobaczyła teraz jego słowa, że nie wróci do Londynu przed końcem października, może nawet w połowie listopada, jeśli ona nie ma nic przeciwko temu. Nie przyjmie propozycji przedłużenia swojej wizyty, jeśli by wołała, aby tego nie zrobił. Z jej listów wynioskował, że ona również uważa swoje wakacje letnie za interesujące – no więc życzy jej szczęścia, jest zachwycony, czas już był najwyższy, aby miała urlop. Zobaczy ją jesienią, jeśli nie dostanie od niej zaraz wiadomości. Ale oczywiście nie mógł dostać, ponieważ Kate przeoczyła tę część listu i teraz wysłała telegram, donosząc, że powinien postępować, jak mu wygodnie.

Gdy tylko się rozwidniło, wykapała się, nałożyła sukienkę, która balansowała wokół niej, wyszczotkowała włosy i nie układając ich, związała je apaszką. Zamówiła suto śniadanie, którego nie była w stanie zjeść, i opuściła hotel, nie wiedząc, dokąd ma się udać.

Rachunek hotelowy uszczuplił jej skromne fundusze. Skromne – dla Kate Brown ze świata konferencji, ale wysokie dla zwykłej kobiety, która ma kilka tygodni wolnych w oczekiwaniu na powrót rodziny.